Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 51—52 (1202—1203) ROK XXIII 21—28 GRUDNIA 1980 R. CENA 5 ZŁ

WACŁAW OPACKI

# Manna z ziemi?

**Dramat, a może kolejna w tym roku katastrofa uszczuplająca państwowy skarb? Czy też dar natury, coś w rodzaju biblijnej kaszy mannej?**

**Gigantyczny gejzer z ogniem, ropy naftowej i ziemnego gazu, który wytrysnął we wtorek 9 grudnia 1980 roku**

**Dalszy ciąg na str. 6**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# PROGRAM

## (Z NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI — II)

Wydarzenia na frontach drugiej wojny światowej z nastaniem 1942 roku nie zapowiadały jeszcze zdecydowanej zmiany. 5 grudnia 1941 roku wojska radzieckie broniące Moskwy przeszły do przeciwnatarcia i zadały pierwszą strategiczną klęskę Wehrmachtowi, odrzucając wojska niemieckie o około 250—300 km od stolicy Kraju Rad. Również na Krymie odzyskano Półwysep Kerczeński i Teodozję. W ten sposób załamała się koncepcja pokonania Związku Radzieckiego w jednej błyskawicznie przeprowadzonej kampanii. Ale już latem 1942 roku wojska niemieckie uderzyły na południe ZSRR, zamierzając opanować Stalingrad i Kaukaz, usiłując zagrozić Moskwie i ZSRR od południa.

1 stycznia 1942 roku 26 państw podpisało deklarację Narodów Zjednoczonych, tworząc tym szeroką koalicję antyhitlerowską, zobowiązują się do zaangażowania w wojnie z państwami „osi" wszystkich zasobów materialnych i militarnych i zobowiązały się prowadzić wojnę aż do bezwarunkowej kapitulacji państw „osi" i ich sojuszników.

Nadal trwały walki w Afryce północnej. Prowadzono je ze zmiennym szczęściem. W lipcu 1942 roku wojska niemieckie i włoskie zostały zatrzymane pod El-Alamejn, gdzie pod koniec października 1942 roku rozegrała się decydująca bitwa, zmuszająca wojska niemieckie i włoskie do odwrotu w kierunku zachodnim. W listopadzie 1942 roku w rejonie Casablanki, Algieru i Oranu wylądował desant angielsko-amerykański. W maju 1943 roku Afryka północna znalazła się w rękach aliantów. 10 sierpnia 1943 roku wojska sprzymierzonych wylądowały na Sycylii, a 8 września pod Salerno.

**Dalszy ciąg na str. 4**

*Foto: E. Hartwig*

# MODLITWA ZA OJCZYZNĘ

## Rozmowa z księdzem biskupem ordynariuszem diecezji łódzkiej, dr JÓZEFEM ROZWADOWSKIM

**— Jak Ksiądz Biskup ocenia obecną sytuację w naszym kraju, tak w aspekcie gospodarczym, jak i społeczno-politycznym?**

— Do kompetentnej oceny wydarzeń, jakie w Polsce przeżywamy, potrzebny jest dystans czasowy i emocjonalny. Zbyt silnie nas one teraz nurtują i zbyt wiele przed nami stawiają znaków zapytania, żebyśmy potrafili się zdobyć na obiektywną ocenę. Niemniej możemy zaznaczyć dwa nurty. Jeden tworzą liczne niedogodności, których nie umiemy już rozwiązywać zgodnie z nawykami. Nieprzydatność posiadanych stereotypów myślenia i zachowania w całkowicie zmienionej sytuacji staje się przyczyną stresu. Podsuwa nam on katastroficzną wi-

**Dalszy ciąg na str. 5**

# AFERZYŚCI Z OKĘCIA CZY ROBOCZE KONIE?

## Rozmowa z piłkarzami RTS Widzew ZBIGNIEWEM BOŃKIEM I WŁADYSŁAWEM ŻMUDĄ

**— Obaj panowie jesteście „bohaterami słynnej już afery na lotnisku Okęcie". Spodziewacie się zapewne, że od tej sprawy zaczniemy rozmowę. Otóż nie. Chcę na początek zadać inne pytanie: dlaczego tak fatalnie przegraliście mecz z drużyną Ipswich Town?**

**Z. BONIEK:** — Bo to jest gra. Raz gra się lepiej, raz gorzej. Po wyeliminowaniu Juventusu byliśmy może mniej skoncentrowani, zbyt pewni. Popełniliśmy kilka błędów, które przeciwnik potrafił wykorzystać.

**W. ŻMUDA:** — Od początku sezonu graliśmy dobrze. Każdy mecz traktowaliśmy jako prestiżowy. Kiedyś musi przyjść załamanie. No i przyszło.

**— Ryszard Niemiec w krakowskim „Tempie" napisał, że kto „patrzył obiektywnie, bez szowinistycznej zaćmy" na wasze umiejętności i umiejętności waszych przeciwników, to musi dojść do wniosku, że i tak za daleko zaszliście. Zgadzacie się z taką opinią?**

**Z. BONIEK:** — Jak się czeka na czyjąś porażkę, to można się jej doczekać. Pan Niemiec nie pierwszy raz tak pisze o Widzewie. Dał mu ktoś pióro do ręki, to korzysta z tego.

**— Nie wiem, czy pan wie, że jest to „Złote pióro". To takie dziennikarskie wyróżnienie.**

**Z. BONIEK:** — Ja dostałem „Złote buty", byłem „Piłkarzem roku", a każdy może mówić o mnie i pisać, co tylko zechce.

**— Czy wasz zespół jest świadomy swoich zalet i wad? Czy uważacie, że jesteście równorzędnymi partnerami najlepszych drużyn piłkarskich Europy?**

**W. ŻMUDA:** — W tej formie, w jakiej byliśmy do tej pory, to możemy się uważać za jeden z czołowych zespołów Europy. Wprawdzie w gazetach pisze się coś innego. Pisze się, że w Europie nie liczy się ani nasza reprezentacja, ani nasze kluby. A przecież myśmy udowodnili coś zupełnie innego.

**— Pisze się nie tylko, że poziom polskiej piłki nożnej jest zły, ale, że w ogóle jest to jedno wielkie bagno. Co wy na to?**

**Z. BONIEK:** — Czy w kraju nie ma gorszych spraw? Ale niech będzie, że w piłkarstwie jest bagno. Tylko, kto je robi? My? Czy to my dzielimy pieniądze? Czy to my, piłkarze sprzedajemy i kupujemy mecze? A może to my sędziujemy? My jesteśmy od grania. Czasem coś powiemy i to się najbardziej nie podoba.

**— Macie tytuł mistrza jesieni. Czy przedłużycie go też na wiosnę?**

**Z. BONIEK:** — Jak nam pozwolą.

**— Dlaczego Widzew jest tak nie lubianą drużyną?**

**Z. BONIEK:** — Kto nas nie lubi?

**— Choćby niektóre gazety, niektórzy dziennikarze, niektórzy kibice.**

**Z. BONIEK:** — Myśli pani o gazetach i dziennikarzach z Warszawy.

**Dalszy ciąg na str. 12**

# POTRZEBNE SĄ KOMPROMISY

## Rozmowa z doc. dr hab. CEZARYM JÓZEFIAKIEM, kierownikiem Zakładu Teorii Wzrostu Gospodarczego na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ, członkiem Krajowej Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej.

**— Tyle się mówi o sytuacji gospodarczej w naszym kraju, że nawet trudno dziś sformułować pytanie na ten temat, które by nie trąciło banałem.**

— Rzeczywiście. Sytuacja jest zła, czasem mówi się nawet, że dramatyczna. I to, niestety, jest prawda. Jeśli wziąć pod uwagę najważniejsze sfery życia gospodarczego w kraju, to w każdej z nich stopień niezbilansowania jest duży, a możliwości przywrócenia równowagi są niewielkie. Przynajmniej w najbliższych miesiącach.

**— Społeczeństwo jest teraz najbardziej zainteresowane sprawami konsumpcji.**

— Nic dziwnego. Wszyscy doskonale wiedzą, że ludzie mają coraz więcej pieniędzy a coraz mniej jest towarów do kupienia. Ponadto rozwiązał się worek goryczy jako skutek nierówności społecznych. Żądania rewindykacyjne są w tych warunkach zrozumiałe. Niestety, możliwości spełnienia — niewielkie. Narósł nad nami — jak to niektórzy ekonomiści nazywają — nawis inflacyjny w postaci dochodów pieniężnych, a jednocześnie nastąpiło zmniejszenie podaży dóbr konsumpcyjnych, która — jak sądzę — w przyszłym roku będzie się nadal zmniejszać. Jest to związane zarówno z wielkimi trudnościami, jakie przeżywa obecnie rolnictwo, jak i z bardzo ograniczonymi możliwościami importu. Nawet jeśli w 1981 roku zbiory w rolnictwie będą dobre, to i tak nie wpłynie to jeszcze na zwiększenie hodowli, która do tego czasu spadnie. Import gotowych dóbr konsumpcyjnych, hamowany trudnościami płatniczymi, nie wyrówna tych strat. Słowem, w nadchodzącym roku sytuacja na rynku konsumpcyjnym w Polsce rysuje się bardzo niepomyślnie. Pewną ochronę przed skutkami tej głębokiej depresji ma stanowić reglamentacja podstawowych dóbr konsumpcyjnych. Ale projekty systemu kartkowego wskazują, że chodzi w istocie o ochronę minimum socjalnego w zakresie odżywiania. Takie są przewidywania w dziedzinie konsumpcji na rok przyszły.

**— To smutne.**

— Ale prawdziwe. Wszyscy musimy to przyjąć do wiadomości, jeśli nie chcemy wzbudzać nowych rozczarowań obiecując, że „jakoś to będzie".

**— Czy mamy chociaż jakieś rezerwy?**

— Kiedy w dziedzinie konsumpcji jest źle, sięga się zaraz do rezerw tkwiących w działalności inwestycyjnej. W napiętych sytuacjach mówi się zawsze i niezmiennie: zmniejszymy inwestycje. Teraz też tak się mówi, jakby to była recepta na wszystko.

**— Na co w tej sytuacji można liczyć?**

**Dalszy ciąg na str. 3**

POLITYKA

# KOMU PRZYDA SIĘ SZCZEROŚĆ

Któregoś dnia w Dzienniku Telewizyjnym wypowiadali się robotnicy z Zielonej Góry — o ile dobrze pamiętam. Zresztą nie jest to najważniejszy szczegół. Jeden z nich powiedział, że jego zdaniem „rok 1981 należy ogłosić rokiem milczenia". Wypowiedź ta mocno mnie zbulwersowała. Co to znaczy „rok milczenia"? Koniec wszelkich dyskusji?

Rozumiem potrzebę rzetelnej pracy. Jest ona nam niezbędna. Cały kraj czeka na wyniki pracy każdego z nas. Jest to prawda niepodważalna. Nie można jednak pracy, solidnej, rzetelnej, przeciwstawiać dyskusji. Są to bowiem dwie różne sprawy. Rodaków rozmowy o naszej teraźniejszości nie mogą zastępować pracy. I praca nie może zastępować koniecznej wymiany myśli na temat tego, co robić, aby w całym kraju było lepiej, aby lepiej się pracowało i aby można było wreszcie wyjść z kryzysu. Musi być czas na pracę i musi być czas na dyskusję.

W czasie narady, jaka miała miejsce w Łodzi 9 grudnia 1980 roku, a w której uczestniczył członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier Mieczysław Jagielski, też mówiono na ten temat. Powiedziano tam między innymi, co przeszkadza w dobrej pracy. Po pierwsze — brak surowców. Po drugie — brak energii. Po trzecie — brak dyscypliny. A brak dyscypliny nie jest czymś nowym, nie jest to zjawisko, które pojawiło się w drugiej połowie 1980 roku. Ono w tym czasie pogłębiło się tylko. I nikt nie ma zamiaru przekonywać, że jest to zjawisko korzystne, że dzięki temu łatwiej wyjdziemy z kryzysu. Przeciwnie. Jest to zjawisko zawsze, w każdych warunkach niekorzystne. Przyczyny tego są bardzo różne. Między innymi wynika ono też z dezintegracji społecznej, z poczucia nikłego wpływu jednostki na losy grupy, z poczucia nikłego wpływu grupy na losy zakładu pracy, miasta, kraju.

Jaskrawym przykładem tego może być kryzys energetyczny. Wiadomo powszechnie, że mamy mniej energii elektrycznej niż jej potrzebujemy. W związku z tym Krajowa Dyspozycja Mocy ogłasza codziennie jakiś tam stopień zasilania i w tych czy innych fabrykach wyłącza się dopływ elektryczności lub zatrzymuje się te czy inne maszyny. Ludzie nie mają co robić, czyszczą maszyny, sprzątają, czują się zupełnie niepotrzebni, niewykorzystani. Jest to bardzo niekorzystne, gdyż pogłębia dezintegrację społeczeństwa. Wzmaga poczucie bezradności, gdyż ludzie nabierają przekonania, że i tak niewiele od nich zależy, wszystko decyduje się nadal poza nimi.

Czy jest z tego jakieś wyjście?

Na wspomnianej naradzie, z 9 grudnia 1980 roku, z pewnymi propozycjami wystąpił Krzysztof Pawlak (ŁZR Fonica). Zaproponował on mianowicie, aby stosować system planowych wyłączeń. W Fonice wyłączanie energii elektrycznej powoduje zatrzymanie wtryskarek. A to pociąga za sobą zatrzymanie następnego dnia taśmy produkcyjnej, gdyż nie ma z czego montować gramofonów. Gdyby natomiast cały zakład zatrzymać na jeden dzień, dać załodze w tym dniu wolne, a następnie przez pozostałe 5 dni fabryka szłaby normalnie, to są możliwości znacznego odrabiania strat powstałych w tym dniu. Od stycznia 1981 roku mamy w ogóle przejść na system pracy pięciodniowy. Być może załoga Foniki zgodziłaby się przejściowo mieć wolne dni ruchomo, przez okres szczytu energetycznego, w czasie którego powszechnie wiadomo, że będą wyłączenia. A później przeszłaby już na regularnie wolne soboty.

Czy Fonika jest jedną fabryką w takiej sytuacji? Nie. Nie jest jedną. Mówi się już o takiej, planowej potrzebie wyłączeń energetycznych dość powszechnie. Wychodząc z założenia, że są fabryki, które mogą dowolnie włączać sobie maszyny i takie, w których przynosi to znacznie większe straty, bo wpływa na tok produkcji w dniach następnych. I propozycje te przechodzą bez echa. — Dlaczego? — pytają ludzie i nie znajdują na to pytanie odpowiedzi.

Niepotrzebny jest nam zatem „rok milczenia". Przeciwnie. Potrzebny jest nam rok dalszych dyskusji nad tym, co zrobić, aby słuszne uwagi i propozycje załóg znajdywały posłuch i były realizowane. Ludzie chcą bowiem odpowiadać za to, co robią i jak robią. I chcą mieć na to wpływ. Z bardzo prostego powodu. Czują się gospodarzami kraju. I chcą, aby to nie była teoria, ale aby to była zwykła, codzienna praktyka.

Tadeusz Gibas (Biuro Projektów „Chemitex") zaproponował wykorzystanie maszyn do produkcji włókien chemicznych polisterowych przeznaczonych pierwotnie dla mającej powstać fabryki w Pile. Dziś wiadomo, że takiej fabryki nie będzie. Ale zdaniem projektantów z „Chemitexu" zakupione za 100 mln dolarów maszyny można wykorzystać w toruńskiej „Elanie" i łódzkiej „Anilanie". Nieważne dla mnie są techniczne szczegóły tej propozycji, ważne dla mnie jest stwierdzenie, że — według Tadeusza Gibasa i jego kolegów z „Chemitexu" — komisja planowania, podejmująca decyzje, nie konsultuje się z projektantami, nie traktuje ich w tej istotnej dla przemysłu włókien sztucznych sprawie jako partnerów. A przecież oni są fachowcami i chcą odpowiadać za losy tego przemysłu.

Jak z tego widać dyskusje są bardzo potrzebne. Nie jałowe dyskusje dla samego dyskutowania. Tego mieliśmy już dość. Ale dyskusje nad konkretnie postawionymi problemami, w poszukiwaniu konkretnych rozwiązań w konkretnych sprawach. Nie widzę innego sposobu wykorzystania intelektualnego potencjału społeczeństwa.

Być może są jednak ludzie, którzy boją się dyskusji. Być może w starciu na argumenty w różnych sprawach okazałoby się, że nie mają oni ani argumentów, ani racji, ani monopolu na mądrość i wyłączność w proponowaniu rozwiązań. Czy to źle, gdyby tak się okazało? Dla ludzi mądrych, patrzących szeroko na świat, otwartych na propozycje i kontrpropozycje innych, nie. Ale nie wszyscy są takiego zdania. Niektórym wydaje się, że gdyby ich poglądy spotkały się z krytyką, gdyby zwyciężyło inne zdanie, to taki fakt podważyłby ich autorytet. Tego uczyli się, że stanowisko daje mądrość i nieomylność. A to nie jest prawdą. Mądrością jest przede wszystkim umiejętność korzystania z rad, pomocy i przemyśleń innych. Dla naszego wspólnego dobra.

Dyskusja potrzebna jest też w partii. Za dyskusją opowiedziało się też VII Plenum KC PZPR. W uchwale tego Plenum znalazło się następujące stwierdzenie:

„Przywrócić trzeba w pełni jawność życia wewnątrzpartyjnego, zapewnić wszelkie warunki autentycznej dyskusji, krytyki i samokrytyki".

VII Plenum KC opowiedziało się też za przywróceniem statutowej roli zebraniom partyjnym:

„Umacnianie autorytetu podstawowych organizacji partyjnych w życiu zakładów pracy, wsi i instytucji stanowi podstawowy warunek skuteczności działania partii".

Wzrost roli podstawowych organizacji partyjnych jest bowiem niezbędny dla sprawności funkcjonowania całej partii. Tu, właśnie w POP, musi dokonywać się realizacja programu partii, tu spełnia się też jej przewodnia rola. Tu, w organizacjach partyjnych, musi dokonywać się kontrolna rola partii i to zarówno nad funkcjonowaniem administracji, jak i samej partii. Ale bez dyskusji nad wszystkimi sprawami partii w partii nie umocni się autorytetu podstawowych organizacji partyjnych.

Nie jest to sprzeczne ze stwierdzeniem I sekretarza KC PZPR — Stanisława Kani, że „partia nie może być ani klubem dyskusyjnym, ani luźnym zrzeszeniem sympatyków", gdyż jest ona silna „zarówno autentyzmem wewnętrznej demokracji, jak i dyscypliną, zarówno dyskusją, jak i jednolitym działaniem, wykorzystywaniem praw, jak i wypełnianiem obowiązków przez wszystkich członków partii". Ale musi być też silna poparciem klasy robotniczej, trwałymi więzami ze społeczeństwem. A więzy te, się partii można odbudować tylko w rozmowie z klasą robotniczą, w rozmowie ze społeczeństwem, w rozmowie w samej partii. Tematów do rozmowy jest wiele. W rozmowie tej trzeba sobie wzajemnie wyjaśnić wiele istotnych spraw, jak choćby prawidłowy sposób funkcjonowania ciał przedstawicielskich w partii. Co zrobić na przykład, aby aparat partyjny, a więc aparat wykonawczy nie utożsamiano z instancjami wybieralnymi, które rzeczywiście sprawują władzę i aby rzeczywiście tę władzę sprawowali. Proponuje się między innymi ograniczenie aparatu wykonawczego i zastąpienie go przy przygotowywaniu i rozwiązywaniu konkretnych spraw komisjami problemowymi, powoływanymi doraźnie, jak też komisjami działającymi stale. Dla sprawowania roli przewodniej partii proponuje się między innymi daleko idące rozdzielanie funkcji partyjnych od funkcji administracyjnych. Ale, czy to wystarczy? Jak z tego widać tematów do dyskusji, do rozmów jest wiele.

Przy różnych zakrętach, kryzysach, przemianach, odnowach przywołuje się zwykle leninowskie normy postępowania, działania, życia partyjnego. Pojęcie to służy bardzo często jako swoiste zaklęcie. „Leninowskimi normami!" zasłaniają się na ogół wszyscy, i ci, którzy są za odnową, i ci, którzy są przeciw, i ci, którym jest to obojętne, a najchętniej chcieliby, aby był „święty spokój". I podejrzewam, że każdy zupełnie co innego rozumie pod tym pojęciem.

A jak Włodzimierz Lenin widział partię nowego typu? W „Dziecięcej chorobie „lewicowości" w komunizmie" pisał:

„... na czym opiera się karność rewolucyjnej partii proletariatu? Co jest sprawdzianem? Co ją umacnia? Po pierwsze, uświadomienie awangardy proletariackiej i jej wierność rewolucji, jej hart, ofiarność, bohaterstwo. Po drugie, jej umiejętność nawiązania łączności, zbliżenia się, jeśli chcecie, do pewnego stopnia zespolenia się z najszerszymi masami ludu pracującego, przede wszystkim z masami proletariackimi, lecz również z nieproletariackimi masami pracującymi. Po trzecie, słuszność kierownictwa politycznego, urzeczywistnianego przez awangardę, słuszność jej strategii i taktyki politycznej, pod warunkiem, by jak najszersze masy z własnego doświadczenia przekonały się o słuszności tego wszystkiego. Brak tych warunków czyni niepodobieństwem utrzymanie karności w partii rewolucyjnej, rzeczywiście zdolnej do tego, aby być partią klasy przodującej, która ma obalić burżuazję i przekształcić całe społeczeństwo. W braku tych warunków próby zaprowadzenia karności nieuchronnie stają się czczym dźwiękiem, frazesem, błazeństwem. Z drugiej zaś strony warunki te nie mogą powstać od razu. Zostają one stworzone jedynie dzięki długotrwałej pracy i ciężkiemu doświadczeniu: do stworzenia ich przyczynia się słuszna teoria rewolucyjna, która z kolei nie jest dogmatem i kształtuje się ostatecznie jedynie w ścisłym związku z praktyką ruchu rzeczywiście masowego i rzeczywiście rewolucyjnego".

Mamy właśnie w partii taką sytuację, kiedy w wyniku szczerej rozmowy wszystkich członków partii musi nastąpić krytyczna ocena doświadczeń i sformułowanie taktyki i strategii partii na najbliższe lata. Proces ten nie może dokonywać się tylko odgórnie, niejako na zadany temat, musi on jednocześnie dokonywać się również oddolnie, gdyż członkowie partii chcą mieć wpływ na opracowywanie programu na IX Nadzwyczajny Zjazd Partii. Chcą być współtwórcami tego programu i mają do tego pełne prawo.

Przypomnę tu jeszcze słowa Włodzimierza Lenina z cytowanej już książki:

„... ten, kto chciałby wymyślić dla robotników receptę, która z góry dawałaby gotowe rozwiązanie we wszystkich sytuacjach życiowych, albo kto obiecywałby, że w polityce proletariatu rewolucyjnego nie będzie żadnych trudności ani żadnych zawikłanych sytuacji — ten byłby po prostu szarlatanem".

A przecież bardzo długo uczyliśmy się czekać na gotowe recepty, postępować według tych recept i dziś wielu z nas jeszcze się tego do końca nie oduczyło, jeszcze spokojnie oczekują na instrukcje, polecenia, wytyczne, aby spokojnie je wykonywać, nie biorąc za nic żadnej odpowiedzialności. Ale i są tacy, którzy tę odpowiedzialność śmiało biorą, którzy samodzielnie organizują działanie organizacji partyjnych, rozumiejąc, że umiejętność reagowania partii na wszystko co się wokół niej dzieje jest jej siłą, a oczekiwanie na wytyczne, jej słabością.

Jest potrzebna w partii szeroka, przedzjazdowa wymiana poglądów. I nie tylko w organizacjach partyjnych, ale również między nimi, na różnych szerszych płaszczyznach, w komisjach problemowych, w zespołach doraźnie powoływanych. W Krakowie na przykład powołano konferencję robotniczą, do której w organizacjach partyjnych wybrano delegatów. W Warszawie działa komisja porozumiewawcza komitetów uczelnianych partii. W Łodzi obradowało, o czym pisałem już, konwersatorium Komisji Ideologicznej KŁ PZPR i KZ PZPR ŁZR Fonica. To właśnie w czasie obrad tego konwersatorium, w którym uczestniczyli działacze partyjni, dziennikarze, naukowcy, lektorzy KŁ i robotnicy, Tadeusz Nowacki, ślusarz z Foniki, powiedział, że po raz pierwszy zdarzyło mu się w życiu dyskutować razem z profesorami uniwersytetu. A przeżył już sporo lat. I właśnie chodzi między innymi o to, aby wymieniać poglądy nie tylko „we własnym kółku", gdzie się wszyscy dobrze znają i wiedzą z góry, kto i co powie, ale, żeby wymieniać poglądy i doświadczenia z różnych kręgów działania politycznego i społecznego, aby w wyniku takiej dyskusji realizowała się zbiorowa mądrość partii.

Partia dysponuje znacznym potencjałem intelektualnym swoich członków, dysponuje wielkimi zasobami doświadczeń, chodzi więc o to, aby ten potencjał, te zasoby wykorzystać dla dalszego rozwoju partii i socjalizmu w Polsce, aby nauczyć się wyciągać wnioski z własnych błędów. Tu znów muszę powołać się na słowa Włodzimierza Lenina z cytowanej książki:

„... właśnie ogromna porażka przynosi partiom rewolucyjnym i klasie rewolucyjnej prawdziwą i najpożyteczniejszą naukę — naukę dialektyki historycznej, naukę pojmowania umiejętności i sztuki prowadzenia walki politycznej".

Nam dziś tej umiejętności bardzo potrzeba. Organizacje partyjne muszą bowiem nauczyć się działania w skomplikowanych warunkach politycznych. A uczyć się tego trzeba w marszu. Pomocną w tej nauce może być rozmowa, dyskusja, w trakcie której wynikałyby dyspozycje dla partyjnej polityki praktyki. Musi więc to być rozmowa szczera, otwarta, taka, aby nikt nie bał się wygłaszać swoich poglądów, bo mogłyby one być uznane za „nieprawomyślne", za „wrogie".

Komu więc przyda się szczerość? Nam wszystkim. Całej partii.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# GRUDZIEŃ

Miesiące w Polsce mają wartość nie tylko kalendarzową, jako wyróżnik pór roku. Posiadają one bowiem także swoją miarę emocjonalną, nie mającą nic wspólnego z ekliptyką słońca. Bo tę miarę wyznacza waga i znaczenie, a czasem tragizm czysto ziemskich wydarzeń. To więc, że wydarzenia te przybierają potem nazwę od miesięcy, ma znaczenie nie tylko porządkujące.

Grudzień 1970 roku nie zapowiadał się wcale jako miesiąc, który przejdzie do historii Polski. Fala niepokojów społecznych, spowodowanych wcześniejszymi o ponad dwa i pół roku wydarzeniami marcowymi, zaczęła się już opadać, przeciwnicy władzy byli rozbrojeni albo wyjechali za granicę, kraj wchodził w kolejny etap małej stabilizacji. Ale cena, jaką przyszło zapłacić za to uspokojenie nastrojów był wysoka.

Hasła pomarcowej stabilizacji nie były zbyt odkrywcze, nie były to nawet, w konkretnej sytuacji, hasła naprawcze. Znów mówiło się o przechodzeniu od ekstensywnych do intensywnych metod gospodarki, podnoszono potrzebę wprowadzania nowych zasad polityki inwestycyjnej, postulowano wreszcie zwiększenie roli badań naukowych i zaplecza naukowo-technicznego.

Stagnacja ta dała o sobie znać już na długo przed wydarzeniami grudniowymi. Pierwszym symptomem impasu gospodarki było nadużywanie terminologii ekonomicznej w prasie i przemówieniach politycznych. Żargon naukowy zawsze budzi w naszym społeczeństwie podejrzenia, bo tym językiem przemawia się wówczas, gdy do wrót stuka kryzys. Wprawdzie na ekranach telewizorów widać było wciąż składające się do oklasków ręce, a z głośników dolatywały głośne skandowania, ale za progiem czuło się oddech kryzysu.

Trudności tłumaczono zarazem wpływem tylko jednego czynnika: nieurodzajem. Był to urastający do wszechpotęgi eufemizm. U każdego myślącego człowieka rodziło się natychmiast pytanie: czy gigantyczne kopalnie węgla brunatnego i kopalnie siarki, zakłady azotowe i petrochemiczne, pracujące bez wytchnienia stocznie i fabryki przemysłu maszynowego nie potrafią zrównoważyć niekorzystnych wpływów deszczu czy nadmiaru słońca? Zbiory rzepaku stawały się w ten sposób podstawowym gwarantem pomyślności społecznej. Były to zbyt proste, aby przekonać kogokolwiek, nic jeszcze nie zapowiadało jednak narodowej tragedii.

Wprost przeciwnie. W pierwszym tygodniu grudnia 1970 roku podpisany został w Warszawie doniosły akt: układ o podstawach normalizacji stosunków między PRL a RFN. Wygasało w ten sposób jeszcze jedno ognisko napięcia w stosunkach międzynarodowych, sezon polityczny na świecie zapowiadał się pod znakiem europejskiego odprężenia.

Porozumieniom politycznym towarzyszą z reguły układy handlowe i gospodarcze, poparte kredytem silniejszego ekonomicznie partnera.

Można się dziś głowić, dlaczego właśnie ten moment, nie podyktowany bezwzględną koniecznością, wybrano na przeprowadzenie niepopularnej zawsze w naszym społeczeństwie podwyżki cen mięsa.

Opis grudniowych wydarzeń na Wybrzeżu, mimo upływu dziesięciu lat, jest właściwie niemożliwy, bo zbyt skąpe są relacje agencyjne z tamtego czasu.

Ze skąpych relacji naocznych świadków, którzy przebywali w tamtym czasie na Wybrzeżu, z listów mieszkańców Pomorza do rodzin w głębi kraju jawi nam się ponury obraz dramatu.

Mówimy dziś o tragedii stoczniowców, ale to tylko część prawdy, był to także dramat władzy.

Był to wreszcie dramat całego kraju. Trzy ukrzyżowane kotwice, które na pomniku poległych stoczniowców urosną do rangi ostrzegawczego symbolu, będą w sobie kryły także nasze zakrzepłe myśli i uczucia, dławiący ból, którego nie zatarł upływ czasu.

Do tej pory musiała nam wystarczać tylko pamięć nie ujawniania otwarcie ani w przekazach historycznych ani nawet w literaturze. Jeden Wajda, w swoim „Człowieku z marmuru" ośmielił się zaprowadzić bohaterkę pod bramę stoczni i w ten sposób dopowiedzieć losy współczesnego polskiego romantyzmu, poddanego śmiertelnej próbie. Ten romantyzm, któremu już raz usiłowano siłą zagrodzić drogę na ulicach Poznania, nie ugiął się także w roku 1970.

Już wtedy stało się jasne, że naród utożsamia się z socjalizmem i dlatego nie będzie się biernie przyglądał wszystkim poczynaniom, które ten socjalizm wykrzywiają i deformują. Współczesny polski romantyzm ma jednoznacznie socjalistyczne zabarwienie. Jego sztandarem są ideały sprawiedliwości społecznej, od której nie może być żadnych wyjątków. Jeśli mówimy dziś o robotniczej godności, jeśli powołujemy się na rozum klasy robotniczej, to nie wolno zapominać, że wyrosły one z tragicznych doświadczeń czerwca 1956 roku i grudnia roku 1970.

Środki naprawcze, jakie podjęto po tragedii, miały charakter czysto ekonomiczny, chociaż nie równie ważniejszy był aspekt moralny zdarzeń. Nie chodzi tu o proste pociągnięcie do odpowiedzialności ludzi, którzy dopuścili do konfrontacji, zachęcali do niej i sprawili, że miała ona krwawy charakter. Ludzie ci zniknęli bowiem ze sceny politycznej, a niektórych z nich objęła już nawet biologiczna amnestia.

Mówiąc o aspekcie moralnym mam na myśli woluntaryzm tych przywódców którzy oderwali się od partii i klasy robotniczej, w imieniu, której sprawowali swoje mandaty. Woluntaryzm, słowo, które robi dziś zawrotną karierę, oznacza przecież nie tylko dowolność w podejmowaniu decyzji gospodarczych i nieliczenie się z realiami. Oznacza ono w konkretnym przypadku sobiepaństwo i nie liczenie się z ludźmi.

W tym znaczeniu doświadczenie tragicznego grudnia 1970 r. zostało w pewnej mierze zaprzepaszczone i między innymi dlatego znaleźliśmy się na kolejnym zakręcie historii. Zakręcie dramatycznym, ale pozbawionym już akcentów martyrologii i tragedii. W tym sensie niecały kapitał grudnia został zaprzepaszczony, kosztowna dla narodu lekcja zaowocowała mimo wszystko w posunięcia nie tyle rozważne, ile właśnie czyste moralnie. Podpisując gdańskie porozumienie Wałęsa powiedział, a Jagielski potwierdził, że „dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem" Była to oczywista prawda, ale było też prawdą, że składając swoje podpisy pod protokołem porozumienia dogadywała się zarazem klasa robotnicza i robotniczo-chłopski rząd. Był to więc w pierwszym rzędzie doniosły akt polityczny, choć nie pozbawiony pierwiastków patriotycznych.

Wkroczyliśmy w etap odnowy. Wkroczyliśmy w okres, który charakteryzuje się wrastaniem w pejzaż społeczny Polski nowego ruchu związkowego, jako czynnika kontroli, ale też gwaranta równowagi. Niezależny, ale socjalistyczny charakter tego ruchu, który ogarnął cały kraj, świadczy o tym, że ofiary jakie poniosła polska klasa robotnicza w tragicznych dniach grudnia 1970 roku nie były daremne.

Tamten grudzień odchodzi w oddalenie, nabiera, wobec upływu lat, historycznej perspektywy. Możemy dziś o nim mówić bez emocji, choć wciąż jeszcze ze ściśniętym gardłem, jako o dramacie przeszłości i to przeszłości bezpowrotnej. Jego przeciwieństwem jest dzisiejszy proces odnowy i przyjęte przez partię rozwiązania nabrzmiałych spraw w interesie klasy robotniczej i całego społeczeństwa, w interesie socjalizmu.

Ale historyczny wymiar tamtego grudnia, zamazywanego coraz bardziej przez czas, winien pozostać na stałe w narodowej pamięci. Nie dla pustego przypomnienia, ani nie po to, aby rozdrapywać świeżo zagojone rany. Ku przestrodze. Pomnikiem ofiar spłacić można tylko pamięć. Ale prawdę spłacić można tylko faktami.

* * *

Trzeba było dziesięciu lat, aby w bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej wyrosły trzy metalowe krzyże, których symbolika jest nie tylko chrześcijańska, jako reminiscencja Golgoty. Każdy z tych krzyży znamionuje przecież zarazem trzy groźne przesilenia najnowszej historii Polski. Wyznaczają je daty: 1956, 1970, 1976. To, że zabrakło tam jeszcze jednego krzyża, który zastąpił wiecznie płonący ogień nadziei i solidarności, jest dowodem zbiorowej mądrości Polaków, którzy dali przykład całemu światu, że nabrzmiałe konflikty społeczne można rozwiązać bez użycia siły. Nikt przecież lepiej od nas, tyle razy tragicznie doświadczonych przez historię, nie wie w całej Europie jaką wartość ma błogosławieństwo pokoju.

Wyszliśmy z tej ostatniej próby nie rozdarci i podzieleni, ale połączeni wspólnym poczuciem odpowiedzialności za losy naszej Ojczyzny. Nic tak przecież nie jednoczy, jak prawda, bo tylko prawda jest fundamentem trwałej nadziei. Wiążemy ją z odnową o socjalistycznym obliczu, rugując z naszego systemu wszystko co go osłabiało i odbierało mu wiarygodność. Jednoczy nas wola naprawy, jednoczy nas ufność, że zbiorowym wysiłkiem przezwyciężymy zło zagrażające nam wszystkim.

JERZY DARNAL

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (I z-ca redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MĄDEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ CZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.
Korekta: MARIA GRABSK A, KRYSTYNA SARDECKA.

# Potrzebne są kompromisy

Dalszy ciąg ze str. 1

**— Myślę, że na bardzo mało. Nie wystarczy przecież wydanie zakazu rozpoczynania nowych inwestycji i nakazu przerwania niektórych, będących w toku realizacji. Powinna ponadto istnieć możliwość skierowania zwolnionych w ten sposób sił i środków do produkcji dodatkowych dóbr konsumpcyjnych lub na eksport. Otóż, zwolnione materiały i sprzęt budowlany można wykorzystać dla przyśpieszenia wykonawstwa najpotrzebniejszych inwestycji, np. w przemysłach konsumpcyjnych i w budownictwie mieszkaniowym. Gorzej jest z wykorzystaniem maszyn i urządzeń produkowanych nadal, chociaż zrezygnowano z budowy obiektów, w których miały być zainstalowane. Obecnie mamy takich jeszcze nie zainstalowanych, a już zbędnych maszyn o wartości 50 miliardów zł, z czego połowa pochodzi z importu. A przemysł, np. obrabiarkowy, nie może nagle zacząć produkcji, powiedzmy, maszyn dla rolnictwa. Co z tym zrobić? Zmniejszyć produkcję, zwalniając część załóg? Produkować na skład? Gdyby można było eksportować te nagle zbędne maszyny, bardzo by nam to pomogło, ale z tym nie jest łatwo.**

**— Dlaczego?**

— Z wielu powodów zewnętrznych i wewnętrznych. Eksportujemy dużo wyrobów przemysłu elektromaszynowego; jest to prawie połowa naszego eksportu, który z roku na rok rośnie. Teraz chodziłoby o jego skokowe zwiększenie. Nie chodzi przy tym o wyroby zamówione przez odbiorców, lecz takie, które nam są niepotrzebne. Ich jakość też nie zawsze odpowiada standardom światowym. Na Zachodzie nadal istnieje dekoniunktura, na innych rynkach istnieje duża konkurencja, dla zacofanych technicznie lecz bogatych krajów, nasze towary nie zawsze są atrakcyjne, a biedni, którzy by je kupili ale na kredyt, nie są dla nas atrakcyjni bo my pilnie potrzebujemy gotówki.

**— Duże nadzieje pokładamy w pomocy krajów RWPG.**

— Tak, zwłaszcza, że z całości naszego eksportu do tych krajów, więcej niż połowa to wyroby przemysłu elektromaszynowego. Ale i tu jest problem. Kraje te mają swoje plany i lista towarów które między sobą wymieniają, jest zawsze ustalana z góry. Ostatecznie nie uniknie się pewnie ograniczenia wielkości produkcji w dziale wytwarzającym dobra inwestycyjne, bo nie ma sensu produkować na skład, tym bardziej, że ta produkcja pochłania część importu i zużywa brakującą nam energię.

**— Zatem gwałtowny manewr gospodarczy jest trudny i kosztowny.**

— Istotnie. Pewne przestawienie w strukturze produkcji jest możliwe ale zawsze trzeba temu przestawieniu pomóc przez stworzenie w określonych fazach procesu technologicznego nowych zdolności wytwórczych. Skąd wziąć na to środki? Ogromne sumy, równe naszym dwuletnim wydatkom inwestycyjnym, tkwią zamrożone w budowach zaawansowanych zaledwie w połowie. Z nimi żadnego manewru już się nie zrobi. Euforia inwestycyjna z lat siedemdziesiątych ściska dziś naszą gospodarkę za gardło.

**— Nie pozostaje nic innego jak zrezygnować z określonych inwestycji będących w trakcie budowy.**

— Tak jest. Gdybyśmy wszystkie chcieli dokończyć, przez trzy lata nie moglibyśmy inwestować w nic innego. To byłby absurd. Trzeba wybrać mniejsze zło i zgodzić się na to, że pewnych środków już się nie odzyska i że nie przyniosą żadnej produkcji.

**— Niestety, coraz częściej oglądamy w telewizji obrazki z zatrzymanych inwestycji.**

— I będzie ich więcej. Musimy zharmonizować zdolności wytwórcze różnych współzależnych gałęzi, a nie tworzyć nowe „wąskie gardła".

**— Każdego dnia z ciężkim sercem myślimy o naszym bilansie płatniczym, o tym ogromnym długu zagranicznym który dźwigamy z takim trudem.**

— Tak, to może spędzać sen z powiek. Nie jest nawet największym zmartwieniem wysokość tego długu, choć jest on znacznie większy, niż był w połowie tego roku. A i na tym nie uda nam się zatrzymać. Ale, jak powiedziałem nie to jest największym zmartwieniem. Są kraje o większym zadłużeniu, a nie odczuwają go aż tak boleśnie. Kłopot polega na tym, że myśmy się zadłużyli nie mając gospodarki dość sprawnej, aby mogła przetworzyć kredyty na opłacalny eksport, którym spłacano by zadłużenia oraz, aby pozostała jeszcze nadwyżka służąca konsumpcji. Nie chodzi tu przede wszystkim o sprawność poszczególnych przedsiębiorstw, ale głównie o fatalne decyzje centralne, które pogłębiły dysproporcje między działami i gałęziami. Majątek rósł szybko a produkcja wolno z braku surowców, materiałów, środków transportu itp. Import materiałów i części stawał się więc coraz większy i coraz bardziej niezbędny. Jednocześnie spłaty należności z powodu długu zaczęły pochłaniać coraz większą część wpływów z eksportu. Trudno więc obecnie powiązać koniec z końcem.

**— Innymi słowy, trzeba pożyczać dalej.**

— Niestety, tak. Na początku lat siedemdziesiątych zaciąganie kredytów zależało od tego, czy chcieliśmy to robić czy nie, teraz zaś jest to przymus. Bez kredytów poziom produkcji obniżyłby się niebezpiecznie. A przecież i z ich pomocą dochód narodowy będzie w przyszłym roku niższy, niż w tym. Zapowiedział to jeden z wicepremierów na konferencji prasowej.

**— Tylko czy nasi wierzyciele zechcą nam udzielać pożyczek na warunkach najkorzystniejszych dla nas, to znaczy długoterminowych i niskooprocentowanych...**

— ...i w dodatku dużych. Otóż to. Z pożyczaniem też są trudności, bowiem tych trzech warunków naraz spełnić nie sposób. Jednak zarówno nasi przyjaciele jak i nasi wierzyciele rozumieją nasze problemy. Są już tego dowody. Ekonomiści postulują ponadto poczynienie starań o moratoria, czyli uzyskanie zgody naszych wierzycieli na przesunięcie na parę lat terminów spłaty długów. Na generalne moratorium nie można liczyć, ale, być może, coś się uzyska w tym zakresie. Ogólnie więc biorąc, prognoza na najbliższe lata nie jest optymistyczna. Nie chcę siać grozy, tylko uzasadnić jak potrzebne są energiczne poszukiwania dróg wyjścia z kryzysu.

**— Zechciałby pan zapoznać naszych czytelników z własnymi przemyśleniami na ten temat?**

**— Spraw jest bardzo dużo, wybierzmy więc najbardziej istotne. Najważniejsza, to osłabienie dysproporcji w produkcji i na rynku. Wymaga to rozważnego przygotowania i zdecydowanego wykonania rządowego programu doraźnej polityki gospodarczej. Program taki jest, według informacji, w przygotowaniu. Druga sprawa, to rozwinięcie i umocnienie nowego ładu społecznego i politycznego. Takiego ładu, w którym nowe związki zawodowe ugruntują swój status niezależnego partnera administracji gospodarczej, instytucje przedstawicielskie na szczeblach: państwowym i terenowym, będą miały faktyczny nadzór nad organami wykonawczymi, samorządy pracownicze staną się rzeczywistymi gospodarzami przedsiębiorstwa a kontrole społeczne będą naprawdę społeczne, a nie dyrygowane przez administrację. Wszystko to jest tym potrzebniejsze, że wobec niełatwych warunków życia, będzie dość powodów do zadrażnień i sprzeczności interesów. Powinny więc istnieć zdrowe mechanizmy rozwiązywania sprzeczności.**

**Kolejną sprawą jest modernizacja systemu** ekonomicznego. Potrzebny jest nowy sposób tworzenia planu centralnego i nowe narzędzia centralnego sterowania procesami gospodarczymi w kierunkach zgodnych z planem. Nowy system powinien przywrócić przedsiębiorstwom samodzielność decyzji, a stosunkom między różnymi przedsiębiorstwami oraz między handlem a konsumentami — charakter rynkowy. Narzędzia ekonomiczne, takie jak ceny, dochody, podatki, oprocentowanie kredytów, itp. powinny odzwierciedlać układ warunków w świecie realnych wielkości gospodarczych i aktywnie wpływać na decyzje przedsiębiorstw. Krótko mówiąc, potrzebne są ekonomiczne mechanizmy funkcjonowania gospodarki.

**— Co w tej sytuacji zrobić ze starym mechanizmem administracyjnym?**

— Właśnie. Przeciwstawieniem mechanizmów ekonomicznych są mechanizmy administracyjne: nakaz, zakaz, przydział, limit, i tak dalej. Dzisiaj widać, i nie ulega to wątpliwości, że do tego głębokiego stanu rozkojarzenia gospodarki, jaki obecnie przeżywamy, doprowadziły, zupełnie nieodpowiedzialna polityka gospodarcza oraz mechanizmy administracyjnego zarządzania. Są to dwie strony tego samego medalu, jedna nie istnieje bez drugiej. Dziś, do tej rozkojarzonej gospodarki nie da się nagle, od ręki, wmontować nowego systemu jej funkcjonowania, opartego na mechanizmach ekonomicznych. Po prostu dlatego, że dysproporcje są zbyt wielkie. Jednak już dziś musimy mieć wizję tego systemu ekonomicznego, jaki wprowadzimy po wydobyciu gospodarki z kryzysu. Jednocześnie powinniśmy już wiedzieć — im prędzej, tym lepiej — jak nasza gospodarka ma funkcjonować do tego czasu. Nie chcę tutaj stawiać wyraźnej granicy między systemem przejściowym a systemem późniejszym, już bardziej stabilnym, ponieważ oba będą się na siebie częściowo nakładać. Oczywiście, w przeciągu najbliższych dwóch, trzech lat ów przejściowy system funkcjonowania gospodarki, tak go nazwijmy, będzie zawierał jeszcze sporo elementów zarządzania administracyjnego. W niektórych przypadkach wystąpi nawet regres, na przykład wprowadzenie reglamentacji podstawowych dóbr żywnościowych. Wszędzie, gdzie będzie można, trzeba jednak rezygnować z reglamentacji na rzecz więzi rynkowych.

Ostatnio Rada Ministrów podjęła uchwałę w sprawie planowania produkcji przez przedsiębiorstwa w 1981 roku. Uchwała zmniejsza liczbę wskaźników dyrektywnych do czterech rodzajów oraz postanawia, iż przedsiębiorstwo będzie oceniane za wynik syntetyczny w postaci produkcji netto. Na mocy tejże uchwały znosi się zupełnie śmieszny, ale dotąd funkcjonujący, podział środków w przedsiębiorstwie na takie szufladki jak: osobowy fundusz płac, bezosobowy, delegacyjny, itp., itd. Dotychczas nie wolno było mieszać tych szufladek i wyglądało na to, że złotówka na płace, to nie była ta sama złotówka, którą wydawano, na przykład, na delegacje czy reprezentację. W ten sposób pieniądz przestawał być pieniądzem, stawał się przydziałem na różne cele, nabierając tym samym cech jakiegoś narzędzia administracyjnego.

**— A zatem krok do przodu.**

— Tak, mały jeszcze, ale jednak. Myślę, że to administracyjne jeszcze działanie w okresie przejściowym powinno polegać na racjonalnym rozdziale skromnej ilości czynników produkcji: surowców, materiałów i in., pochodzących tak z krajowej produkcji, jak i zagranicznej, między przedsiębiorstwa przetwarzające je. Wszystko to jest nażeżone trudnościami, bowiem nawet ten racjonalny rozdział czynników produkcji nie jest kwestią, którą można rozwiązać nie mając miary ekonomicznej, a są nią ceny. Jeśli ta miara będzie fałszywa, to i decyzja podjęta w oparciu o nią będzie również fałszywa. Otóż my, niestety, mamy ceny fałszywe. Nie odzwierciedlają one ani warunków produkcji, tj. kosztów, ani warunków rynkowych, to jest stosunku między popytem a podażą. Nie może być inaczej, skoro ceny koryguje się bardzo rzadko. Po każdej tzw. reformie cen, zastygały one na dłuższy czas, mimo iż zmieniały się płace, ceny importowanych dóbr i inne pozycje kosztów. Aż do następnej zmiany ceny były więc niewłaściwe. Model takiego konwulsyjnego doprowadzania cen do odpowiednich wielkości powodował, że praktycznie rzecz biorąc, nigdy nie informowały one odbiorców o tym, które produkty wymagają więcej, a które mniej pracy społecznej. Teraz znowu stoimy przed koniecznością zreformowania cen zarówno zaopatrzeniowych, jak i detalicznych.

**— Czy należy rozumieć, że istnieją dwa rodzaje cen?**

— Raczej dwa rodzaje nabywców: producenci i konsumenci. Zmiany cen zaopatrzeniowych, czyli płaconych przez przedsiębiorstwa nie muszą pociągać za sobą zmiany cen, płaconych przez indywidualnego konsumenta. Między jednymi cenami a drugimi nie ma, oczywiście, chińskiego muru. Od cen zaopatrzeniowych zależą koszty produkcji również dóbr konsumpcyjnych. Zatem wzrost cen zaopatrzeniowych pociąga za sobą zwykle potrzebę wzrostu także cen detalicznych. Kłopot polega na tym, że ten ekonomiczny problem był fatalnie rozwiązywany i stał się ostrym problemem politycznym. Nie może on być jednak bez końca odkładany, bo bez jego rozwiązania nie uzdrowimy gospodarki. Jeśli rząd będzie działał w porozumieniu ze związkami zawodowymi, jeśli płace najniższe nie będą się kształtować poniżej minimum socjalnego, jeśli działać będzie mechanizm dodatku drożyźnianego, to będzie możliwe naprawienie proporcji cen. System kartkowy, zapewniający wszystkim zaopatrzenie w podstawowe artykuły żywnościowe według ustalonych norm, może nawet sprzyjać spokojnemu przeprowadzeniu reformy cen.

**— A więc oparcie cen na rachunku ekonomicznym?**

— Tak, po to, aby następnie rachunek ekonomiczny opierać na prawidłowych cenach. Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na sposób korygowania płacy nominalnej stosownie do zmiany kosztów utrzymania. Dodatek drożyźniany powinien być liczony w stosunku do płacy średniej i w tej wysokości powinien być wypłacany także niżej i wyżej zarabiającym. Byłaby to jedna z dróg łagodzenia nierówności społecznych, gdyż mniej zarabiający otrzymywaliby trochę więcej niż pełną rekompensatę, a więcej zarabiający trochę by tracili. Oczywiście nie chodzi o zatarcie wszelkich różnic płacowych. Jest zrozumiałe, iż ludzie o wysokich kwalifikacjach zawodowych, specjaliści, pracownicy o wysokiej wydajności pracy czy zatrudnieni w zawodach niebezpiecznych dla zdrowia lub życia itp. powinni zarabiać więcej. Chodzi o to, aby różnice dochodów nie raziły poczucia sprawiedliwości społecznej.

A wracając do cen, jestem zdania, że ich porządkowanie powinno się rozpocząć w najbliższym czasie, a więc już w okresie, który nazwałem przejściowym. Nie można dłużej tolerować, na przykład, takiego zjawiska, żeby nasze podstawowe bogactwo narodowe: węgiel — było nieopłacalne według obowiązujących cen. Ewidentny nonsens. Utrzymywanie jednych nonsensów rodzi drugie, więc trzeba je usuwać i to możliwie pilnie.

**— Proponuje pan zmianę całej filozofii cen?**

— Nie. Podzielam tylko opinię innych ekonomistów w tej sprawie. Muszę też dodać, że nie chciałbym sprawiać wrażenia, że zarówno zmianę cen, jak i ich wykorzystanie dla racjonalizowania decyzji gospodarczych wyobrażam sobie jako bardzo proste i łatwe. Zwłaszcza, że wszystko to trzeba będzie robić przy pomocy starego aparatu administracyjnego zarządzania gospodarką.

**— Niełatwe to warunki do reformy systemu.**

— No tak, bowiem od lat ten aparat jest nastawiony na zupełnie inne metody działania.

**— O jego zmianie mówi się w Uchwale VII Plenum Komitetu Centralnego.**

— Ale mimo to, ciągle jeszcze nie mamy jasnej koncepcji w tej sprawie. A nie jest ona prosta. Chodzi o armię ludzi, których umiejętności nie są wystarczające dla nowego systemu, a nawyki nawet przeszkadzają. Ich praca polega na przyjmowaniu, przetwarzaniu i przekazywaniu informacji, nakazów, zakazów, limitów itp., itd. No i, oczywiście, na ciągłej kontroli podległych jednostek gospodarczych. Ta kontrola nie przeszkadzała, jak wiadomo, fałszowaniu informacji i w górę, i w dół. Nie można sobie wyobrazić, że ta kadra zacznie od razu pracować inaczej. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że jest to duża grupa społeczna, która zawdzięcza dotychczasowej pracy określony standard życiowy i pozycję społeczną. Teraz trzeba tę grupę przekwalifikować. Podczas wykonywania tego zadania można bardzo łatwo wyprodukować armię ludzi niezadowolonych, sfrustrowanych, naładowanych agresją. Takie efekty są nie do przyjęcia. Chodzi o stworzenie pracownikom likwidowanego aparatu jakiejś innej szansy życiowej.

**— Problem istotnie trudny ale przecież do rozwiązania.**

— Naturalnie. Na przykład szeroką perspektywę na zatrudnienie powinien im stworzyć nowy system bankowy. W nowym systemie ekonomicznym rola banków ma niepomiernie wzrosnąć. Mają one aktywnie oddziaływać na procesy inwestycyjne, zgodnie z kierunkami wytyczonymi przez plan centralny. Mają być także ekonomicznym, działającym na zasadach handlowych, partnerem przedsiębiorstw, uwolnionych od administracyjnego nadzoru, a więc ekonomicznie samodzielnych. Potrzebni będą do tej pracy odpowiednio przygotowani ludzie. Jedni będą mogli podjąć pracę w bankach, inni gdzie indziej, na przykład w instytucjach zajmujących się problematyką cen. Słowem, dla dobra odnowy systemu ekonomicznego należy szybko przygotować koncepcję stworzenia możliwości podnoszenia kwalifikacji, czy też zmiany zawodu, dla pracowników obecnej administracji gospodarczej, która już stopniowo powinna być likwidowana. Im prędzej, tym lepiej.

Pierwszym warunkiem powodzenia tego przedsięwzięcia jest chęć władzy do zastąpienia tego aparatu, aparatem ekonomicznym. Jeśli władza nie zechce tego zrobić, to nie dokonamy uzdrowienia gospodarki narodowej, żyjąc w permanentnym chaosie ekonomicznym i, co za tym idzie, społecznym.

**— Czy można się tutaj spodziewać jakichś trudności?**

— Moim zdaniem, można. Aparat administracji gospodarczej jest jednym z ramion władzy. Nie jest to wprawdzie ramię działające precyzyjnie, ale za to wypróbowane i silne, a poza tym, jak wskazują doświadczenia, potrafiące się skutecznie bronić. Czy władza nie przeceni ilościowego okrojenia i zmniejszenia roli administracji i czy władza będzie dość stanowcza, aby łamać opory aparatu wykonawczego? Nie przesądzając sprawy sądzę, że środowiska ekonomistów i ludzi nauki w ogóle, środowiska twórcze, związki zawodowe, organizacje partyjne i wszystkie inne siły społeczne, które są zainteresowane w poważnej, dogłębnej reformie systemu ekonomicznego, powinny taki postulat wyraźnie głosić, domagać się jego realizacji. Wierzę, że władza, której przecież leży na sercu reforma gospodarcza w Polsce, nie ulegnie argumentacji i bezwładowi aparatu administracji gospodarczej.

**— Czytałem niedawno, że Polskie Towarzystwo Ekonomiczne postuluje likwidację ministerstw branżowych.**

— To prawda. PTE wyraźnie formułuje taki postulat. I to jest logiczne. Jeśli wzajemne więzi między przedsiębiorstwami mają mieć charakter ekonomiczny, to ten miecz Damoklesa, jakim są ministerstwa branżowe, musi być złożony do lamusa.

**— Pracownicy tej administracji wytoczą z pewnością argumenty uzasadniające potrzebę istnienia tego aparatu.**

— Na pewno, i w wielu wypadkach w dobrej wierze. Przecież już całe pokolenie wyrosło, wychowało się i dożywa renty, działając w tradycyjnych strukturach władzy i aparatu. Nie mogło to nie zostawić śladów w mentalności wielu ludzi. Niektórym może się nawet wydawać, że nasz wszechogarniający kryzys powstał niezależnie od tych tradycyjnych struktur i że został zawiniony przez parę nieodpowiedzialnych osób we władzach i w aparacie. Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że winę ponosi system instytucjonalny, który nie potrafił rugować w porę błędnych decyzji wraz z ich autorami. Dziś powinniśmy rozszerzać świadomość, że reforma nie jest wymierzona przeciw ludziom, także tym z aparatu, lecz przeciw skostniałym formom związków między ludźmi, narzuconych przez system arbitralnego rządzenia i administracyjnego zarządzania. Nie można liczyć na zracjonalizowanie arbitralności i uelastycznienie biurokracji. Trzeba je zastąpić instytucjami demokratycznymi i mechanizmami ekonomicznymi.

Władza deklaruje obecnie większe zrozumienie takiej konieczności, niż kiedykolwiek dawniej. Jest to ogromna szansa. Ale nie zwalnia ona środowisk społecznych, zainteresowanych reformą z obowiązku wspierania tej szansy. Podkreślę, żeby nie było żadnej wątpliwości: nie chcemy mieć władzy słabej, lecz silną. Ale silną nie swoim aparatem wykonawczym, lecz szerokim poparciem społecznym. Dlatego pojawia się i będzie stale powracał problem ordynacji wyborczej.

**— W niektórych środowiskach mówi się o utworzeniu drugiej izby parlamentarnej.**

— Wysuwa się taką propozycję. Izba składałyby się z ludzi wybieranych przez załogi zakładów pracy lub pośrednio przez samorządy robotnicze. Zajmowałaby się ona problematyką gospodarczą. Nie wiem, czy taka izba mogłaby nam w czymś pomóc. Nie przemyślałem dostatecznie tego projektu. Traktuję go jako wyraz postulatu od dawna głoszonego na przykład przez prof. Oskara Langego, aby gospodarkę oddzielić od władzy politycznej. Jest to pociągające, ale wszędzie na świecie tendencje są inne: procesy gospodarcze są coraz silniej uzależniane od motywacji politycznych. Może więc bardziej realne jest zdemokratyzowanie sfery politycznej, dzięki czemu nowy system ekonomiczny mógłby powstać i działać, niż oddzielenie gospodarki od polityki.

**— Jak pan widzi udział związków zawodowych w procesie odnowy gospodarczej kraju?**

— Moim zdaniem, związki zawodowe powinny być niezależnym partnerem administracji gospodarczej. Będzie to zapobiegało deformacjom w pracy administracji, takim, jak niehonorowanie zbiorowych układów pracy, podporządkowanie spraw pracowniczych zadaniom wykonania planu, itp. Trzeba temu zapobiegać, a nie ubolewać, kiedy zło już się rozprzestrzeni.

Także w skali gospodarki narodowej związki zawodowe mają do odegrania istotną rolę. Powinny być partnerem przy ustalaniu najważniejszych proporcji gospodarczych. Potrzebujemy planów, które byłyby rezultatem uzgodnień nie tylko z fachowcami, ale przede wszystkim ze społeczeństwem. A związki zawodowe reprezentują ważną zbiorowość społeczną. Dzięki ich wpływowi na decyzje, plan gospodarczy może być swego rodzaju kompromisem społecznym. Myślę, że bardzo są nam potrzebne takie kompromisy. Mamy dość wizjonerskich planów, które miały nas wprowadzać w XXI wiek, a pociągnęły wstecz.

Są to, oczywiście, dość luźne refleksje. O roli związków zawodowych w procesie odnowy ekonomicznej szeroko mówiono na grudniowej konferencji nt.: „Reforma gospodarcza a warunki realizacji porozumień społecznych", którą — pod auspicjami NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej — zorganizował parę dni temu Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny UŁ.

**— Dziękuję za rozmowę.**

**Rozmawiał:**
**WŁODZIMIERZ STOKOWSKI**

# PROGRAM

## (Z najnowszej historii Polski — II)

Dalszy ciąg na str. 1

**20 listopada 1942 roku na froncie wschodnim wojska radzieckie przeszły do ofensywy nad Wołgą. 23 listopada 1942 roku zamknięty został pod Kałaczem pierścień okrążający wojska niemieckie pod Stalingradem. 2 lutego 1943 roku zakończyła się słynna bitwa pod Stalingradem. Do niewoli radzieckiej dostało się 90 tysięcy żołnierzy niemieckich i ich sprzymierzeńców. Wojska radzieckie przeszły do ofensywy na froncie od Woroneża do Kaukazu wypierając Wehrmacht na zachód od 150 do 500 km. 5 lipca 1943 roku rozpoczęła się inna słynna bitwa, pod Kurskiem. 25 września 1943 roku wolny był już Smoleńsk. 12 października 1 dywizja Wojska Polskiego im. T. Kościuszki stoczyła bitwę pod Lenino. 6 listopada 1943 roku wolny był już Kijów.**

**Coraz silniej rozwijał się ruch oporu w krajach okupowanych przez hitlerowskie Niemcy.**

I.

**Powstanie Polskiej Partii Robotniczej** zmieniło układ sił politycznych w okupowanej Polsce. PPR stosunkowo szybko wyrosła na liczną, scentralizowaną siłę polityczną. Już pod koniec lipca 1942 roku PPR liczyła około 6 tysięcy członków. Powstały komitety obwodowe PPR w Lublinie, Krakowie i Łodzi. W obwodzie krakowskim działały komitety okręgowe: rzeszowski, tarnowski, krakowski, Zagłębia Dąbrowskiego, bielski. W obwodzie centralnym działały komitety okręgowe: Warszawa Miasto, Warszawa Praga Podmiejska, Warszawa Lewa Podmiejska, Radom, Częstochowa — Piotrków W Łodzi — Łódź Miasto i Łódź Podmiejska. Pod koniec 1942 roku PPR liczyła już 8 tysięcy członków. Wielu członków partii aresztowało gestapo.

28 listopada 1942 roku zamordowany został **Marceli Nowotko.** W styczniu 1943 roku powołano nowe kierownictwo PPR. Sekretarzem KC PPR został **Paweł Finder,** a w skład Sekretariatu KC PPR weszli: **Władysław Gomułka** i **Franciszek Jóźwiak.** Po aresztowaniu Pawła Findera sekretarzem KC został **Władysław Gomułka.**

**W swojej pierwszej odezwie „Do robotników, chłopów i inteligencji! Do wszystkich patriotów polskich!"** Polska Partia Robotnicza wysunęła hasło utworzenia frontu narodowego do walki z najeźdźcą.

**„Taki front narodowy, front narodowy bez zdrajców i kapitulantów, może być urzeczywistniony i zwycięży tylko wtedy, kiedy w jego pierwszych szeregach walczyć będzie zespolona i zwarta klasa robotnicza.**

**Polska klasa robotnicza musi przede wszystkim położyć kres rozbiciu we własnych szeregach. Tego zjednoczenia klasy robotniczej dokonać może tylko bojowa partia robotnicza, która z doświadczenia polskiego ruchu robotniczego, z tradycji walk wyzwoleńczych narodu polskiego weźmie wszystko, co dobre, co czyste, co zdrowe, co cenne, a odrzuci, co zgnile, co nie wytrzymało próby życia. Musi to być partia klasy robotniczej, która zawsze i wszędzie broni interesów mas pracujących i walczy o ich ostateczne wyzwolenie spod jarzma kapitalizmu, partia robotnicza związana tysiącami nici z życiem, losami, przyszłością własnego narodu, partia, która w całej swej działalności kieruje się dobrem narodu polskiego."**

W tych słowach został wstępnie zarysowany program PPR jako partii nowego typu. W dyskusjach w łonie Grupy Inicjatywnej w ZSRR, w kontaktach z sekretarzem generalnym Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, **Georgi Dymitrowem,** uznano, że tradycyjna partia rewolucyjna już nie odpowiada nowym potrzebom, że musi to być partia która w swoim programie musi zespalać klasowe interesy proletariatu z interesami wyzwolenia i postępu całego narodu. Stawiając na pierwszym miejscu sprawę zbrojnej walki o wyzwolenie Polski spod okupacji, PPR rysowała jednocześnie wizję przyszłej wolnej i niepodległej Polski.

Tak zarysowany program partii nie od razu spotkał się z uznaniem wielu byłych działaczy KPP. Niektórzy z nich kwestionowali nazwę partii. W tradycji Międzynarodówki Komunistycznej było, że w nazwach partii komunistycznych przede wszystkim podkreślano ich internacjonalistyczny charakter. Wyrażało się to w sformułowaniach: Komunistyczna Partia Polski, Komunistyczna Partia Francji, Komunistyczna Partia Włoch. Zastanawiając się nad przyszłą nazwą odrodzonej partii w Polsce członkowie Grupy Inicjatywnej proponowali początkowo nazwę Polska Partia Robotniczo-Chłopska, aby w nazwie wykazać jej polski, narodowy charakter, a po drugie — wykazać szeroką bazę społeczną. W rezultacie jednak przyjęto nazwę: Polska Partia Robotnicza.

Pod koniec 1941 roku w Kuszmarenkowie (80 km od Ufy) w szkole partyjnej Międzynarodówki Komunistycznej spotykały się dwie Grupy Inicjatywne. Toczyły one ożywione spory nad przyszłym programem partii i jej nazwą, a także stosunkiem partii do Międzynarodówki Komunistycznej. Kierownikiem kursu był wówczas **Jakub Berman.** Zachowały się jego notatki z tych dyskusji. Cytuje je **Marian Malinowski** w książce **„Geneza PPR".** Oto fragmenty tych notatek:

**„Nowej partii nie nazwano komunistyczną z następujących pobudek:**

**1. By wrogowie nie mogli operować straszakiem komunizmu.**

**2. Są liczne jeszcze elementy nawet w klasie robotniczej, które z nieufnością odnoszą się do komunistów na skutek poprzednich błędów i fałszywej polityki byłej KPP.**

**3. Po tym, co zaszło, partia, jak zaznaczył G. Dymitrow, zanim nazwie siebie komunistyczną, powinna swą pracą zasłużyć na tę nazwę.**

**4. Konieczne jest, aby masy widziały w naszej partii organizację ściśle związaną z narodem polskim, z jego najżywotniejszymi interesami i aby wrogowie nie mogli jej nazwać agentura obcego państwa.**

**5. Pod nową nazwą łatwiej będzie skupić dookoła siebie szerokie masy robotników, chłopów i inteligencji i zorganizować pod swoim kierownictwem jednolity front narodowy dla walki z niemiecko-faszystowską okupacją..."**

Dlaczego nie przyjęto nazwy „Robotniczo-Chłopska"?

**„Taka nazwa byłaby, naturalnie, niesłuszna, gdyż PPR to partia proletariatu, a nie mas pracujących w ogóle. Słowo „robotnicza" w nazwie jest konieczne, skoro nie ma określenia „komunistyczna". Inaczej robotnicy nie widzieliby w niej swojej partii, swojej awangardy, zdolnej do zniszczenia nie tylko narodowej niewoli narodu polskiego, lecz również ucisku kapitalistycznego i wyzysku. Określenie „robotnicza" nie odepchnie od partii przodujących elementów pracującego chłopstwa, które stanęły na stanowisku proletariackim, a przecież tylko takich możemy przyjmować do partii."**

Idea antyhitlerowskiego frontu narodowego była w programie partii nowym elementem. Był to nowy element w całym ruchu komunistycznym. Został on sformułowany teoretycznie, a dopiero praktyka partyjnego działania pod okupacją miała potwierdzić — i potwierdziła — jego słuszność i pożyteczność.

Wkrótce po powstaniu PPR jej działacze podjęli próby porozumienia się z Delegaturą rządu londyńskiego i z AK w celu współpracy i wspólnej walki z okupantem. Próby te nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Przedstawiciele PPR i Delegatury rządu londyńskiego spotkali się trzykrotnie: 18, 22 i 25 lutego 1943 roku. W trakcie rozmów aresztowany został przez gestapo delegat rządu na kraj, ludowiec, **Jan Piekałkiewicz,** a delegatem został **Jan Stanisław Jankowski,** reprezentujący prawicę Stronnictwa Pracy.

Rozmówcy ze strony Delegatury postawili 5 warunków:

— uznanie zwierzchnictwa władz przebywających na emigracji,

— uznanie zwierzchnictwa Delegatury w kraju,

— zadeklarowanie całkowitej niezależności od pozapolskich ośrodków dyspozycyjnych,

— zadeklarowanie gotowości bezkompromisowej walki „z każdym ktokolwiek by nim był, najeźdźcą na ziemie Rzplitej",

— uznanie nienaruszalności granic Polski sprzed 1939 roku.

W liście skierowanym do przedstawicieli PPR rozmówcy ze strony Delegatury rządu londyńskiego stwierdzili. List ten cytuje **Maria Turlejska** w książce **„Spór o Polskę".**

**„Niestety z rozmów, jakie z Panami przeprowadzono, wynika, że Panowie do powyższych zasad, którymi się kierują organizacje niepodległościowe, zajęli stanowisko niedostatecznie pozytywne. Odnośnie zaś p. 5** (sprawa granic sprzed 1939 roku — przyp. L. W.) **wręcz negatywne."**

W tej sytuacji PPR, pragnąc tworzyć antyhitlerowski front narodowy, musiała poszukać innych sojuszników.

II.

1 marca 1943 roku PPR ogłosiła deklarację **„O co walczymy?".** Był to jak by program minimum partii. Rozszerzony i uzupełniony w **DEKLARACJI PROGRAMOWEJ POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ O CO WALCZYMY?,** która ukazała się jesienią 1943 roku. W deklaracji tej sformułowany został pełny program PPR, określone zostały cele walki narodowo-wyzwoleńczej i społecznej, reformy w przyszłej niepodległej Polsce.

**„Ster władzy państwowej** — stwierdzono w Deklaracji „O co walczymy?" — **w przyszłej Polsce przejść musi w ręce przedstawicieli najszerszych warstw narodu, reprezentujących interesy robotników, chłopów i inteligencji. W przyszłej Polsce linia wewnętrznej i zagranicznej polityki, musi być dostosowana do potrzeb i interesów całego narodu, musi wpadać w nurt tego nowego, postępowego prądu rozwojowego, który znajdzie swój wyraz w dążeniach mas ludowych również w innych krajach świata.**

**Tylko wówczas, gdy fundamenty przyszłej Polski opierać się będą na twórczych i z natury swojej postępowych interesach mas pracujących, czyli na interesach olbrzymiej większości narodu — będzie ona naprawdę Wolna i Niepodległa."**

PPR opowiadała się za swobodnym rozwojem samorządów w miastach i na wsi, jako podstawie demokracji. Uznawała, że tak, jak w walce z hitleryzmem narodowi powinien przewodzić front narodowy wszystkich sił przeciwnych hitleryzmowi i walczących o wolność, tak i po wojnie **„Rząd Tymczasowy winien oprzeć się na antyfaszystowskim froncie narodowym, a wszystkie jego zarządzenia muszą być zgodne z duchem demokracji i wolności."** Odrzucała wszelkie poczynania rządu londyńskiego w kraju w celu przejęcia władzy po wojnie, jak też konstytucję z kwietnia 1935 roku. Zapowiadała powrót do Polski wszystkich ziem polskich, uznając jednocześnie prawo Ukraińców i Białorusinów z dawnych kresów Rzeczypospolitej do powrotu ich ziemi do radzieckich republik Ukrainy i Białorusi. Takie rozwiązanie problemu granic przyszłej Polski miało zapewnić **„pokój na wschodzie"** i wzmocnić pozycję Polski na **„zachodzie i nad Bałtykiem".**

Była to więc koncepcja silnej zjednoczonej Polski, ukształtowanej w granicach etnicznych, w starych piastowskich granicach państwowych Polski demokratycznej, opierającej swój rozwój na sojuszu wszystkich sił postępowych, demokratycznych. Było to więc dalsze rozwinięcie idei frontu narodowego już w warunkach polskowych, frontu narodowego, jako podstawy władzy i rozwoju kraju, jako gwarancji postępu. Program zapowiadał bowiem wolę budowy w przyszłej wolnej Polsce socjalizmu.

„W ramach państwa demokratycznego klasa robotnicza i masy pracujące dążyć będą do przejścia do ustroju socjalistycznego, by raz na zawsze położyć kres wyzyskowi człowieka przez człowieka i przeciąć źródła wojen imperialistycznych, by stworzyć nową erę w życiu narodu — erę wolności i dobrobytu."

Deklaracja programowa PPR zapowiadała też szereg reform:

— powołania milicji ludowej dla zwalczania anarchii i spekulacji,

— utworzenie armii demokratycznej, w której mogliby znaleźć się wszyscy ci, którzy walczyli o wolność Polski,

— wprowadzenie swobody słowa, druku, zgromadzeń, stowarzyszeń oraz wyznań religijnych,

— skonfiskowanie na rzecz narodu majątku Niemców i tych, którzy z nimi współpracowali,

— zwrot majątku tym, którym odebrali go Niemcy,

— nacjonalizację wielkiego przemysłu, banków i transportu,

— wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy dla dorosłych i 6-godzinnego dla młodzieży,

— określenia wspólnie ze związkami zawodowymi minimum płac oraz zasad ochrony pracy kobiet i młodocianych,

— zagwarantowanie pracy wszystkim zdolnym do pracy,

— wywłaszczenia bez odszkodowania majątków obszarniczych i majątków tzw. martwej ręki i rozdzielenie tej ziemi między chłopów i robotników rolnych,

— zapowiadała planową odbudowę zniszczeń i planową rozbudowę potencjału produkcyjnego Polski.

Deklaracja programowa PPR zapowiadała:

— uprzemysłowienie kraju w duchu potrzeb, przezwyciężenie zacofania gospodarczego, przekształcenie Polski w kraj przemysłowo-rolniczy,

— wprowadzenie nauki i techniki do rolnictwa w celu podniesienia jego poziomu,

— likwidację głodu mieszkaniowego i niskiej kultury mieszkań,

— rozwój kultury polskiej przez rozbudowę jej bazy materialnej,

— rozbudowę sieci komunikacyjnej w kraju,

— stworzenie demokratycznej, dostępnej dla wszystkich sieci placówek oświatowych.

Niezwykle interesujący i właściwie do dziś aktualny był program socjalny PPR. Oto pełne brzmienie sformułowań z deklaracji **„O co walczymy?":**

**„Ustawodawstwo socjalne powinno być wzorem troski o zdrowie, tężyznę fizyczną i rozwój narodu a szczególnie winno zabezpieczyć:**

**1. Prawo do pracy wszystkim obywatelom kraju i prawo do odpoczynku wszystkim pracującym.**

**2. Bezpłatną pomoc lekarską wszystkim, którzy jej potrzebują; da się to urzeczywistnić przez rozbudowę lecznic publicznych i utrzymanie ich na koszt państwa i samorządów.**

**3. Wszechstronną opiekę nad matką i dzieckiem oraz pomoc dla niezamożnych rodzin mających po kilkoro dzieci.**

**4. Rozbudowę instytucji ubezpieczeń społecznych do takiego poziomu, aby zapewniały one światu pracy dostateczną pomoc materialną i opiekę na wypadek choroby, inwalidztwa, niezdolności do pracy i na starość, sanatoria i uzdrowiska przekazuje się na własność instytucji ubezpieczeń społecznych.**

**5. Szczególną opiekę roztacza państwo nad ofiarami obecnej wojny i gwarantuje dostateczną pomoc rodzinom, których żywiciele padli na polu walki z okupantem, lub też w inny sposób stracili swe życie w tej walce."**

Poza tym Deklaracja PPR zapewniała, że w przyszłej Polsce muszą być stworzone dobre warunki dla rozwoju ruchu spółdzielczego w miastach i na wsi, musi ten ruch być otoczony szczególną troskliwością, **„jako pozytywny czynnik w ogólnonarodowym rozwoju społecznym".** Nasz stosunek do spółdzielczości w minionych 36 latach Polski Ludowej nie zawsze był taki, co szkodliwie odbijało się i odbija na rozwoju gospodarczym kraju.

III.

Rok 1943 przyniósł poważne zmiany w układzie stosunków politycznych w kraju, a i również za granicą. 1 marca 1943 roku ukazał się w Moskwie pierwszy numer **„Wolnej Polski"** pisma tworzącego się Związku Patriotów Polskich. W maju zaczęła się formować Dywizja Piechoty Wojska Polskiego im. T. Kościuszki w ZSRR. 15 maja 1943 roku rozwiązano Międzynarodówkę Komunistyczną.

Wniosek w sprawie rozwiązania III Międzynarodówki otrzymał KC PPR. W podjętej uchwale w tej sprawie stwierdzono między innymi:

**„1. Wniosek ten odpowiada wymogom sytuacji ruchu robotniczego.**

**2. Będzie on sprzyjać konsolidacji antyhitlerowskiego bloku co stanowi zadanie obecnego okresu.**

**3. Winien on ułatwić partiom komunistycznym stworzenie jedności ruchu robotniczego w poszczególnych krajach i sprzyjać konsolidacji antyfaszystowskiego frontu narodowego.**

**Wychodząc z tych przesłanek i opierając się na naszym własnym doświadczeniu półtorarocznej działalności jako narodowej partii robotniczej, rozwiązanie Kominternu uważamy za celowe."**

W kwietniu 1943 roku odbył się w Warszawie **II Zjazd Polskich Socjalistów.** Postanowiono przekształcić tę organizację lewicy socjalistycznej w **Robotniczą Partię Polskich Socjalistów.** Zjazd wypowiedział się przeciw współpracy z PPR, uznając PPR jako **„organizację powołaną do życia przez czynniki sowieckie i nie mającej samodzielnej linii politycznej".** Zjazd uznał też, że **„rząd w Londynie stanowi na czas wojny reprezentację kraju na zewnątrz, w szczególności organizuje siły zbrojne na emigracji i prowadzi politykę zagraniczną",** ale jednocześnie uznano, że **„rząd londyński nie jest rządem jedności narodowej, gdyż potężny odłam narodu, klasa robotnicza nie ma swoich przedstawicieli w rządzie".** Na czele KC RPPS stanął **Piotr Gajewski.**

Mimo takiego stanowiska RPPS znalazła się na lewicy ówczesnego układu sił politycznych. Nawiązała ona współpracę z innymi ugrupowaniami demokratycznymi, tworząc wspólnie **Polską Armię Ludową.**

We wrześniu 1943 roku odbył się w Warszawie **III Zjazd RPPS.** Zjazd ten rozwinął uchwały II Zjazdu, uznając RPPS jako jedynego reprezentanta polskiej klasy robotniczej. W przyjętej rezolucji stwierdzono:

**„Mamy obecnie trzy wyraźne obozy polityczne:**

**1. Reakcja objęta paktem czterech, oparta o wojsko sanacyjno-ozonowe w postaci Armii Krajowej;**

**2. Partia polskiego proletariatu RPPS;**

**3. PPR, reprezentująca wpływy sowieckie wśród polskich robotników i chłopów.**

**Wśród tych trzech obozów tylko my jesteśmy ruchem, który liczy na własne siły rewolucyjne robotników i chłopów."**

Jeszcze we wrześniu 1943 roku RPPS nawiązała kontakt z **Polskim Stronnictwem Demokratycznym** i **Polską Ludową Akcją Niepodległościową,** tworząc **Naczelny Komitet Ludowego Zjednoczenia Stronnictw Demokratycznych i Socjalistycznych,** na czele którego stanął **Wacław Barcikowski,** a sekretarzem został **Stanisław Chudoba.**

Jednocześnie z RPPS wyodrębniła się grupa jednolitofrontowa, zmierzająca do współpracy z PPR i aprobująca sojusz z ZSRR. W grupie tej byli między innymi: **Feliks Baranowski, Jan Haneman, Antoni Kamiński, Eugeniusz Kembrowski, Leon Malinowski, Edward Osóbka, Robert Słubski, Krystyna Strusińska, Stanisław Szwalbe, Michał Szyszko, Aleksander Żaruk-Michalski.** Nawiązali oni rozmowy z PPR. Również w ruchu ludowym wyłoniła się grupa lewicowych działaczy zmierzających do porozumienia z PPR. Utworzyli oni organizację **SL „Wola Ludu".** Natomiast KC RPPS nie wyraził aprobaty dla nawiązania wspólnych działań z PPR.

*Mimo tych trudności PPR realizowała w praktyce koncepcję antyfaszystowskiego frontu narodowego, prezentując pogląd, że taki front powinien nie tylko mobilizować naród do walki z najeźdźcą, ale i później skupiać społeczeństwo wokół programu przebudowy społecznej kraju.*

W grudniu 1943 roku z inicjatywy KC PPR opublikowany został w **„Trybunie Wolności" MANIFEST DEMOKRATYCZNYCH ORGANIZACJI SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH I WOJSKOWYCH W POLSCE.** W Manifeście tym czytamy:

**„Podpisani przedstawiciele demokratycznych organizacji społeczno-politycznych i grup wojskowych w Polsce świadomi powagi chwili obecnej i odpowiedzialności za losy narodu polskiego i przyszłości Polski podejmują inicjatywę stworzenia KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ, jako faktycznej reprezentacji politycznej Narodu Polskiego, jedynie upoważnionej do występowania w imieniu narodu, do kierowania jego losami do czasu wyzwolenia Polski spod okupacji.**

**Krajowa Rada Narodowa wyłania się z najlepszych przedstawicieli całego obozu polskiej demokracji, jak również bezpartyjnych działaczy społecznych. Krajowa Rada Narodowa dążyć będzie do przyspieszenia klęski okupanta i wywalczenia wraz z narodem WOLNEJ NIEPODLEGŁEJ I SUWERENNEJ POLSKI** opierającej swój byt i przyszłość o szerokie masy ludu pracującego miast i wsi.

**Krajowa Rada Narodowa chce oprzeć przyszłość Polski na gruncie szczerej przyjaźni i współpracy ze wszystkimi aliantami, w pierwszym rzędzie ze Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją, jako bezpośrednimi sąsiadami Polski.**

**Krajowa Rada Narodowa dążyć będzie:**

**— do włączenia w granice państwa polskiego wszystkich ziem polskich i zgermanizowanych przez przemoc niemiecką obecnie i w ciągu wieków,**

**— do ustalenia wschodnich granic państwa polskiego, zgodnie z wolą ludności zamieszkującej ziemie wschodnie na zasadzie przyjaznego porozumienia z ZSRR.**

**Krajowa Rada Narodowa dążyć będzie do przebudowy Polski w duchu szerokiej demokracji nie tylko politycznej, lecz i gospodarczej przez:**

**— wywłaszczenie bez odszkodowania ziemi obszarniczej i oddanie jej chłopom i robotnikom rolnym,**

**— nacjonalizację wielkiego przemysłu, banków i transportu, mających decydujące znaczenie dla gospodarki."**

W nocy z 31 grudnia 1943 roku na 1 stycznia 1944 roku powstała w Warszawie **Krajowa Rada Narodowa.** Na jej czele stanęło prezydium, w skład którego weszli: **B. Bierut** — przewodniczący, **E. Osóbka** — wiceprzewodniczący **W. Kowalski** i **M. Żymierski** — członkowie, **K. Mijal** — sekretarz. Z początkiem 1944 roku zaczęto tworzyć wojewódzkie, powiatowe, miejskie i gminne rady narodowe.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

zję powszechnego kryzysu, na którą część ludzi reaguje poczuciem zagubienia, tymczasowości, bezradności, a może nawet zniechęcenia. Nie wydaje się jednak, żeby to był nurt rozległy i głęboki. W moim odczuciu na pierwszy plan wysuwa się nurt ogromnej, wyzwolonej dziś energii społecznej, która stanowi dla Polski wprost niezwykłą szansę. Ludzi nie potrzeba dziś przekonywać, że są gospodarzami własnego kraju, bo to jest dla nich oczywistością. Myślę, że wielu czuje się za ten kraj odpowiedzialnymi i są gotowi tej odpowiedzialności dowieść. Istnieje także powszechne przekonanie że Polaków stać na samodzielne rozwiązanie nawet najtrudniejszych zadań. Chodzi właśnie o to, żebyśmy wszyscy dzisiejszą sytuację podjęli jako ambitne zadanie na miarę naszych możliwości. Wtedy kłopoty staną się subiektywnie mniej dotkliwe i zamienią we współczynniki zadania.

**— Domyślam się, że taka właśnie ocena stanu politycznego, społecznego i gospodarczego Polski leżała u podłoża ostatniego listu Episkopatu, zatytułowanego: „Biskupi polscy wzywają do chrześcijańskiej odpowiedzialności za Ojczyznę". Czy mogę prosić o przypomnienie głównych jego tez?**

— Bardziej celowe byłoby opublikowanie listu Episkopatu na łamach prasy, ponieważ w krótkim streszczeniu nie sposób oddać istotnych motywacji. Główne tezy listu sprowadzają się do następujących twierdzeń: Ojczyzna jest wspólnym dobrem wszystkich bez wyjątku Polaków i dlatego wszyscy są zobowiązani do czynnej miłości Ojczyzny w poczuciu, że jej los zależy od każdego obywatela i od całego społeczeństwa. Przeżywany okres napięć społecznych i braków materialnych wymaga od wszystkich ofiar i wyrzeczeń, a działalność zmierzająca do naprawy Rzeczypospolitej — odpowiedzialności, roztropności i rozwagi. Nikt nie ma prawa narażać na szwank bezpieczeństwa i suwerenności narodowej, społecznej, kulturalnej i gospodarczej. Dla przywrócenia koniecznej stabilizacji kraju i normalnego życia potrzeba wysiłku wszystkich warstw społecznych. Każda jest zobowiązana nie tylko do wniesienia własnego wkładu, ale także do przeprowadzenia rzetelnego rachunku sumienia z własnych win względem Ojczyzny. Obecnie nie pora na wzajemne oskarżenia, potrzeba bowiem solidarnego zespolenia wysiłków. Powinny one zmierzać w dwu kierunkach: poprawy warunków bytowania oraz głębokiej odnowy moralnej. Zerwanie więzi między ekonomią a moranością prowadzi do wynaturzeń w życiu społecznym, ekonomicznym i politycznym. Dlatego nie można dłużej tolerować zła moralnego. Należy je nazywać po imieniu, z pełnym poszanowaniem prawdy. Każdy obywatel ma nienaruszalne prawo do jawnego mówienia o bolączkach życia społecznego i do podjęcia skutecznego przeciwdziałania. Nie wolno pozwalać się zastraszyć i zwalniać z odpowiedzialności za własne zadanie w życiu zbiorowym. Trzeba zapobiegać powstawaniu nowych mechanizmów ucisku. Należy jednak pamiętać, że odnowa życia narodu wymaga również odnowy życia osobistego, a także rodzinnego. Każdy powinien zastanowić się nad tym, co powinien odmienić we własnym życiu, aby dołączyć małą cząstkę do powszechnej naprawy Rzeczypospolitej.

**— List Episkopatu, jak i towarzysząca mu „Modlitwa za Ojczyznę" są wymownymi wyrazami tego, że Kościół w Polsce nie zamierza uchylać się od współodpowiedzialności za losy kraju, za przyszłość narodu. Nie po raz pierwszy przecież — tak teraz, jak i w przeszłości — Kościół podejmuje wysiłki zmierzające do zjednoczenia wiernych wokół dobra Ojczyzny. Czy wysiłki te przynosiły zawsze pożądane rezultaty? Czy przyniosą je również teraz? Jak można ocenić dziś siłę i zasięg oddziaływania Kościoła na wierzących Polaków?**

— Zadał mi pan redaktor trudne pytanie, na które miałbym ochotę odpowiedzieć porzekadłem: „Pożyjemy — zobaczymy". Przypomina mi się tutaj także z „Potopu" wielce inspirujący przebieg rozmowy pomiędzy panem Zagłobą i królem szwedzkim przy uwalnianiu Rocha Kowalskiego. Na poważnie — Kościół jest faktem społecznym, którego oddziaływanie ma charakter uniwersalny, a więc nie zawęża się do określonej kategorii ludzi. Gdy Kościół wzywa do zespolenia wysiłków w pracy dla wspólnego dobra, trudno byłoby nawet zakładać, że apel ten zostanie dosłyszany i przyjęty wyłącznie przez katolików. Od czasów II Soboru Watykańskiego wolimy posługiwać się pojęciem „ludzi dobrej woli", jako bardziej odpowiadającym pluralistycznej rzeczywistości dzisiejszego świata. Czy wezwanie Kościoła zostanie zrealizowane na zasadach konformizmu? Myślę, że nie. Nie podważam jednak tym twierdzeniem sensu wychowawczego trudu. On zawsze przynosi rezultaty, jeśli oddziałuje na postawy. Wymaga to ciągłego stwarzania i wykorzystywania wychowawczych sytuacji, a nie sporadycznych wystąpień. Oczywistym tedy warunkiem efektywności oddziaływania Kościoła jest nieutrudnianie mu tego działania. Kościół nie uchyla się od formowania prawidłowych postaw społecznych, bo to należy do jego misji. Innym jest natomiast zagadnieniem, czy zawsze mógł to swobodnie czynić, albo raczej czy zawsze wierzący Polacy mogli się bez przeszkód z Kościołem kontaktować.

Skuteczność niekonformistycznego oddziaływania wychowawczego jest zależna od autorytetu wychowawcy. Dodajmy — od autorytetu osobowego, a nie rzeczowego. Jestem przekonany, że Kościół w świecie współczesnym cieszy się tym autorytetem, czemu bardzo sprzyja głęboki humanizm i urzekająca osobowość papieża-Polaka, Jana Pawła II. Społeczeństwo w naszym kraju nie odmawia Kościołowi rangi powagi moralnej. Wyraźnie tego dowiodły wydarzenia sierpniowe, gdy Kościół w imię nadrzędnego dobra narodu musiał stawiać zadania mało wówczas popularne. Niemniej je postawił tak, jak stawia je dziś. Czy potrafi oddziaływać na ludzką strefę motywacyjną? Na pewno tak, choć to jest proces długotrwały. Nie trzeba go tylko komplikować administracyjnym przeciwdziałaniem, które prowadzi do bezideowości, oportunizmu, a nawet cynizmu. Polsce potrzeba ludzi prawych i zaangażowanych. W wychowaniu takiego pokolenia solidarnie powinni ze sobą współdziałać: dom rodzinny szkoła i Kościół.

**— Czy Ksiądz Biskup zgodzi się ze stwierdzeniem, że Sierpień zapoczątkował wielką odnowę moralną narodu?**

— Wolałbym zastąpić słowo „zapoczątkował" terminem „wyzwolił". Korzenie wydarzeń sierpniowych sięgają o wiele głębiej. Składa się na nie również wychowawcza praca Kościoła, który już za pontyfikatu Jana XXIII wystąpił pełnym głosem w obronie godności, praw i obowiązków każdego człowieka. Służbę człowiekowi szczególnie wyraziście zadeklarował Jan Paweł II w encyklice „Redemptor hominis". Trudno nie przytoczyć tu orędzia naszego rodaka, które wygłosił podczas audiencji generalnej w dniu 21 lutego 1979 r.: *„Służba prawdzie, jako uczestnictwo w proroczej posłudze Chrystusa, jest zadaniem Kościoła, który stara się je wypełnić w różnych kontekstach historycznych. Trzeba nazywać właściwym imieniem niesprawiedliwość, wyzysk człowieka przez człowieka czy wyzysk człowieka przez państwo, przez instytucje, przez mechanizmy systemów ekonomicznych (...). Trzeba nazywać po imieniu każdą niesprawiedliwość społeczną, każdą dyskryminację, gwałty, stosowane wobec ciała i ducha ludzkiego, wobec sumienia człowieka i jego przekonań (...). O prawdzie tej należy mówić w sposób jasny i prosty, i to nie dlatego, by potępiać ludzi, ale by służyć sprawie człowieka"*. Nie tylko miliony osób zgromadzonych na krakowskich Błoniach, ale pewnie większość Polaków za pośrednictwem środków masowego przekazu wsłuchiwało się z uwagą w słowa, wypowiedziane 10 czerwca 1979 roku przez żegnającego się z Ojczyzną papieża: *„Zanim stąd odejdę, proszę Was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością — taką, jaką zaszczepia w nas Chrystus na chrzcie świętym; — abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się i nie zniechęcili; — abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy. Proszę Was, — abyście mieli ufność nawet wbrew każdej swojej słabości, abyście szukali zawsze duchowej mocy u Tego, u którego tyle pokoleń ojców naszych i matek ją znajdowało, — abyście od Niego nigdy nie odstąpili; abyście nigdy nie utracili tej wolności ducha, do której On wyzwala człowieka"*. W takim to klimacie zakwitł polski Sierpień. Nie mamy tu do czynienia z nieoczekiwanym incydentem. To, co wybuchło [illegible] — kiełkowało od dawna. Czy zaowocuje odnową moralną narodu? Ufam, że tak. Wszyscy musimy o to zadbać. Nie możemy dopuścić, aby wyzwolona energia duchowa rozładowała się we wzajemnych pretensjach i sporach.

*Foto: R. Łucyszyn*

*ks. bp. JÓZEF ROZWADOWSKI: „Każdy powinien zastanowić się nad tym, co powinien odmienić we własnym życiu, aby dołączyć małą cząstkę do powszechnej naprawy Rzeczpospolitej".*

**— Spotkałem się niedawno z postawą, która jest podobno dość powszechna w pewnych kręgach osób wierzących i praktykujących, zwłaszcza wśród ludzi młodych. Otóż modlą się oni ponoć o wojnę, która w ich mniemaniu miałaby być próbą ostateczną, próbą oczyszczającą naród, stanowiącą przecież przerażające rozwiązanie kryzysu, w jakim znalazł się nasz kraj. Postawa ta jest chyba nie tylko zgubna, ale i sprzeczna z oficjalnym stanowiskiem Kościoła?**

# MODLITWA ZA OJCZYZNĘ

— Szczerze mówiąc, jestem trochę zaskoczony treścią zadanego mi pytania. Czy nie jest ono przypadkiem spóźnione o 150 lat? O ile sobie przypominam, w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" zamieszczona została „Litania pielgrzymska", w której istotnie znajduje się wezwanie: *„O wojnę powszechną za wolność ludów, prosimy Cię, Panie!"* Mam powody sądzić, że jestem trochę zorientowany w życiu religijnym naszej diecezji, ale nie słyszałem, żeby ktokolwiek modlił się w taki sposób. Prawdą jest natomiast, że w ramach zarządzonych przez Episkopat modlitw powtarzaliśmy podczas niedzielnych mszy św.: *„Od powietrza głodu, ognia i wojny, wybaw nas, Panie!"* Stosunek Kościoła do problemu pokoju najdobitniej określa encyklika Jana XXIII „Pacem in terris".

**— Skoro mowa o oficjalnym stanowisku Kościoła, chciałbym poruszyć jeszcze jeden temat, a mianowicie kwestię stosunku wierzących do niewierzących. Kościół walczy o tolerancję dla przekonań religijnych. Również i oficjalnie sam Kościół jest tolerancyjny wobec wyznawców innych religii, a także wobec ateistów. Gorzej jest jednak z codzienną praktyką: często osoby wierzące zachowują się w sposób wielce nietolerancyjny wobec ludzi niewierzących zwłaszcza w środowiskach małomiasteczkowych i wiejskich. Co Kościół robi, aby eliminować takie postawy, aby upowszechniać tolerancję dla obu stron jednakową?**

— Wszyscy chłopcy w pewnym wieku uwielbiają grę w „policjantów i złodziei". Do jej reguł należy, że schwytany zamienia się w goniącego, przez co akcja nabiera dynamizmu. To jest bardzo miła zabawa, lecz nie byłoby dobrze, gdyby jej prawidła przenosić do życia społecznego. Kościół uznaje się za rzecznika praw człowieka, a nie tylko za obrońcę uprawnień ludzi wierzących. Za rzecznika praw każdej ludzkiej osoby, ponieważ — jak czytamy w encyklice „Redemptor hominis" — *„człowiek — każdy bez wyjątku — został odkupiony przez Chrystusa, ponieważ z człowiekiem — każdym bez wyjątku — Chrystus jest w jakiś sposób zjednoczony, nawet gdyby człowiek nie zdawał sobie z tego sprawy"*. Soborowa „Deklaracja o wolności religijnej" jednoznacznie stanowi że *„wszyscy ludzie powinni być wolni od przymusu ze strony czy to poszczególnych ludzi, czy to zbiorowisk społecznych i jakiejkolwiek władzy ludzkiej, tak aby w sprawach religijnych nikogo nie przymuszano do działania wbrew jego sumieniu ani nie przeszkadzano mu w działaniu według swego sumienia, prywatnym i publicznym, indywidualnym lub w łączności z innymi, byle w godziwym zakresie"*. Choć więc ludzie obowiązani są moralnie do szukania prawdy, przede wszystkim w dziedzinie religii, to niemniej prawo do owej wolności *„przysługuje trwale również tym, którzy nie wypełniają obowiązku szukania prawdy i trwania przy niej; korzystanie zaś z tego prawa nie może napotykać przeszkód, jeśli tylko zachowywany jest sprawiedliwy ład publiczny"*.

Pan redaktor pyta o podejmowane przez Kościół działania dla praktycznego wprowadzenia przedstawionych zasad w życie. Rzecz ma się podobnie, jak ze sprawą światowego pokoju. Obejmuje tedy i pracę pozytywną, i rozładowywanie powstających napięć. Praca pozytywna polega na długookresowym oddziaływaniu wychowawczym, formującym postawę bezwarunkowego poszanowania godności i uprawnień każdego człowieka. Rozumiemy bowiem dobrze, że arbitralne odmawianie praw jakiejkolwiek kategorii ludzi jest rozbijaniem samych fundamentów ludzkiej solidarności, przy którym — prędzej czy później — musi runąć mozolnie wznoszony gmach.

Drugi aspekt zagadnienia, czyli rozładowywanie napięć, odnosi się do poszczególnych incydentów, ale przede wszystkim do zinstytucjonalizowanej dyskryminacji człowieka z racji jego przekonań światopoglądowych oraz stosunku do praktyk religijnych. Nie ulega jednak wątpliwości, że zgoła odmienną ma rangę jakiś odosobniony wybryk w zestawieniu z administracyjnie stosowanym systemem dyskryminacyjnym. Bez daleko posuniętej obłudy nie można nakłaniać pojedynczych ludzi do ścisłego przestrzegania zasad wolności religijnej, jeżeli oficjalnie i na co dzień spotykają się z jej łamaniem. Obowiązuje przecież tylko jedna moralność — ta sama dla władz, jak i dla obywateli. Dopuszczanie w tej dziedzinie rozróżnień zawsze prowadzi do katastrofy. Trudno mi dyskutować z twierdzeniem, że „często osoby wierzące zachowują się w sposób wielce nietolerancyjny wobec ludzi niewierzących". Daruje pan redaktor, że uznam je za tezę gołosłowną. Nie znam ani jednego przypadku nieprzyjęcia człowieka do pracy albo pozbawienia go awansu dlatego, że nie wierzy. Znamy jednak obydwaj liczne, bardzo liczne kategorie zawodowe, w których trzeba się kryć ze swoją religijnością lub zgoła udawać albo nawet deklarować niewiarę. Sam byłem zmuszony publicznie zaprotestować przeciwko jawnemu nawoływaniu do dyskryminacji wierzących nauczycieli. Nie mamy tu do czynienia tylko z odmiennością zasad i praktyki, ponieważ w oficjalnie rozprowadzanych publikacjach nieraz stawia się wymóg niewiary jako kryterium kwalifikacyjne przy powierzaniu pewnych funkcji publicznych.

Dziś nie jest pora na dokonywanie wzajemnych rozliczeń. Uważam, że konstytucyjne gwarancje udzielone obywatelom wierzącym i niewierzącym mogą obecnie stanowić wystarczającą podstawę do naprawy klimatu społecznego w naszym kraju. Pod jednym wszakże warunkiem — że będą przestrzegane, i że przestanie się inspirować, popierać oraz tolerować wszelką dyskryminację religijną.

**— Wiem, że Ksiądz Biskup aktywnie uczestniczy w pracach Komisji do Spraw Rodzin, działającej przy Episkopacie. Temat „rodzina" — mimo że w minionym okresie bywał przez władze państwowe nadużywany czy wręcz wypaczany — nie przestał być tematem pierwszoplanowym dla życia naszego narodu. Jakie są poczynania Kościoła w tej dziedzinie? Nad czym obecnie pracuje komisja?**

— Rozmiary tego wywiadu zaczynają się niepokojąco rozrastać. Toteż zasygnalizuję tylko problem, który zasługuje na oddzielne przedstawienie. Wiadomo, że prawidłowe funkcjonowanie społeczeństwa jest między innymi uzależnione od właściwego wywiązywania się ze swoich zadań przez rodzinę, w której powstają i formują się przyszli obywatele. Powinno to stawiać rodzinę w centrum uwagi oraz troski społecznej. Niestety, w odniesieniu do rodziny przeważało u nas podejście deklaratywne, nie mające wpływu na obiektywnie coraz trudniejsze warunki życia rodzin. Stąd kryzys dosięgnął polską rodzinę dużo wcześniej, nim się ujawnił w kraju. Symptomy tego kryzysu są znane. Wystarczy wymienić plagę rozwodów, niechętny stosunek do prokreacji — przynajmniej w takim jej wymiarze, który zabezpiecza reprodukcję społeczeństwa, masowe zabijanie poczętych dzieci, alkoholizm, zaniedbania wychowawcze, a wreszcie przed- i pozamałżeńskie kontakty płciowe, znajdujące wyraz w epidemicznie rosnącym poziomie schorzeń wenerycznych. U podstaw tego stanu, generalnie rzecz biorąc, tkwią: brak należytego przygotowania młodego pokolenia do odpowiedzialnych zadań rodzinnych, rozliczne i nawarstwiające się zagrożenia życia rodzinnego — zarówno spontaniczne, jak i prowokowane dla określonych celów oraz skomplikowane warunki bytowe. Dokonywane przez Kościół świadczenia na rzecz rodziny dotyczą wszystkich omawianych przekrojów, choć nie wszędzie są jednakowo wystarczające i skuteczne.

Przede wszystkim Kościół w Polsce zorganizował i permanentnie przeprowadza przygotowywanie młodzieży do życia małżeńskiego i rodzinnego. Większość narzeczonych, którzy ubiegają się o ślub kościelny, jest objętych pracą szkoleniowo-formacyjną, prowadzoną przez specjalistów duchownych i świeckich. Program przygotowania przedmałżeńskiego między innymi przewiduje zaznajomienie młodych z kulturą pożycia małżeńskiego, odpowiedzialnym rodzicielstwem oraz z metodami naturalnej regulacji poczęć, opartej na biologicznym rytmie płodności. Mamy nadzieję, że doprowadzi to w przyszłości do eliminacji sztucznych poronień, które są nie tylko gwałtem popełnianym na bezbronnym człowieku, ale pociągają za sobą także poważne zagrożenie biologiczne na skutek wtórnej niepłodności.

Walka ze współczesnymi zagrożeniami życia rodzinnego jest trudniejsza, gdyż wymaga przeciwstawiania się opinii publicznej zdominowanej przez negatywne wzory, a także prostowania błędnych poglądów i nastawień formowanych niekiedy przez szkołę. Zdarza się bowiem, że wprowadzane w szkołach uświadomienie seksualne dokonuje się z całkowitym pominięciem zasad etycznych, a nawet z jawnym lekceważeniem norm moralności chrześcijańskiej, co wywołuje u młodzieży daleko posuniętą dezorientację w sferze zachowań płciowych. Kościół wielokrotnie zwracał uwagę, że demoralizacja nie może być narzędziem walki ideologicznej, bo prowadzi do nihilizmu moralnego. Wychowanie do życia w rodzinie powinno służyć dobru rodziny, a nie być traktowane w sposób instrumentalny, dla osiągnięcia ubocznych celów. Ideologiczna manipulacja rodziną godzi w jej spójność i utrudnia wykonywanie powierzonych jej funkcji.

Kościelna pomoc rodzinie obejmuje szereg aspektów, poczynając od opieki nad samotną matką, której stwarza się warunki dla donoszenia ciąży i urodzenia dziecka pod fachową opieką lekarską oraz przyjmuje się odpowiedzialność materialną za dalsze losy matki i dziecka, poprzez pomoc charytatywną dla rodzin z liczniejszym potomstwem, pedagogizację rodziców oraz poradnictwo małżeńskie, wychowawcze i rodzicielskie. Kościół organizuje także samopomoc rodzin i usiłuje im stworzyć oparcie w rozmaitych problemach życiowych.

Od szeregu lat Kościół systematycznie występował do władz państwowych wskazując na postępujące trudności i zagrożenia rodziny oraz zgłaszając ze swej strony propozycje konkretnych rozwiązań. Dotyczy to również społecznej plagi alkoholizmu, która nie jest możliwa do pokonania bez solidarnego współdziałania wszystkich ludzi dobrej woli.

**— Wiadomo, jak ogromne kłopoty nękają obecnie naszą służbę zdrowia i opiekę społeczną. Do pięknych tradycji Kościoła — również i w naszym kraju — należy samarytańska służba sióstr zakonnych na rzecz ludzi chorych, starców i sierot. Czy teraz — w związku z kolejnym etapem rozwoju stosunków między Kościołem a Państwem — realna jest sprawa powrotu zakonnic do szpitali, sierocińców i domów starców?**

— Nie można na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć. Kościół poczuwa się do obowiązku wychodzenia naprzeciw potrzebom społecznym, ale po administracyjnym odsunięciu żeńskich zgromadzeń zakonnych od właściwych im dzieł miłosierdzia — siostry przecież nie usiadły z założonymi rękami. Czynnie włączyły się do prac parafialnych, zwłaszcza do katechizacji dzieci i młodzieży. Trudno sobie wyobrazić, żeby mogły ją teraz porzucić, nawet, jeśli stworzone zostaną perspektywy nowych pól działania. Myślę więc, że odpowiedź na postawione pytanie przyniesie samo życie, przede wszystkim w postaci wzrostu powołań zakonnych.

**— Czego Ksiądz Biskup życzyłby naszym Czytelnikom — wierzącym i niewierzącym — w nadchodzącym nowym roku?**

— Całym sercem Wszystkim życzę pokoju i wzajemnej miłości, aby zniknęły pomiędzy rodakami umowne podziały, żebyśmy się wreszcie przestali spierać o przymiotniki i odnaleźli się w jednym słowie: „Polska", której zgodnie oddamy nasze siły. Niech nowy rok będzie milowym krokiem w pogłębianiu naszej narodowej świadomości i braterstwa.

**Wywiad przeprowadził:**
**JACEK INDELAK**

# MANNA Z ZIEMI?

Dalszy ciąg ze str. 1

w okolicach Karlina, koło Koszalina — rozbudził ludzkie namiętności, pobudził do kalkulacyjnych dyskusji i rozważania ocen i szans, jakie on stwarza dla kraju.

Wśród największych dotychczasowych osiągnięć powojennych nauki polskiej w zakresie geologii i innych nauk o ziemi są wymieniane:

— udokumentowanie zasobów wód podziemnych kraju,

— opracowanie kompleksowej hydrograficznej mapy przeglądowej Polski,

— udokumentowanie przez Jana Wyżykowskiego złóż miedzi w okolicach Lubina; jak i odkrycie innych pokładów surowców, będących podstawą rozwoju współczesnego przemysłu,

— rozwinięcie przez geofizyków badań nad rozkładem głębokościowym trzęsień ziemi.

W tym zestawie brakowało odkrycia podstawowego, obok węgla, surowca energetycznego — ropy naftowej, oraz innych masowych surowców organicznych i gazów. Ich brak powodował to, że w 1965 r. zapotrzebowanie na nie było w 87 proc., a w 1970 r. w 84 proc. pokrywane przez karbochemię. Ponieważ ceny surowców petrochemicznych, w tym przede wszystkim ropy, poszły w górę, wydawał się słuszny cel dalszego rozwijania karbochemii, czyli syntetycznego poszukiwania surowców energetycznych. Jednocześnie jednak w tychże latach ogromnie wzrosło zapotrzebowanie, co z konieczności powodowało wzrost wydatków na import, przede wszystkim ropy. „Rosną w tempie przyśpieszonym miliardowe kwoty w dewizach na zakup ropy — mówił w grudniu 1977 roku podczas Zgromadzenia Ogólnego Polskiej Akademii Nauk prof. Stanisław Pawłowski — której konsumpcja w 1976 r. wyniosła ponad 15 mln ton".

Czy „koszaliński pożar" stworzy nam szansę wyjścia z ogromnego deficytu energetycznego? Panoramę naszych ewentualnych gospodarczych możliwości w tym zakresie niewątpliwie określi czas.

Tymczasem trzeciego dnia po erupcji na miejscu pożaru ustaliłem tyle:

Zmianą dowodził Augustyn Lorbiecki. Na wiertni Daszewo — 1, położonej w miejscowości Krzywopłoty, byli jeszcze: pierwszy pomocnik dołowy Bronisław Sommerfeld, otworowi Ryszard Grzeca i Przemysław Sitkowski, wieżowy Lech Paczkiewicz, motorowi Jan Karbowik i Kazimierz Wawrzyniak oraz palacz Zenon Bigler. A także tak zwany asystent Grzegorz Czmoch i elektryk Roman Borkowski. Wszyscy z Przedsiębiorstwa Poszukiwań Nafty i Gazu w Pile.

Zgodnie z projektem, we wtorek mieli świdrować do planowanej głębokości 4100 metrów. Była godzina 17.20. Kiedy koronka świdra zbliżała się do głębokości 2779 metrów, Lorbiecki stwierdził nagle coraz silniejsze drganie. Nie, nie niepokoi się. Jest to normalne, jeśli natrafi ona na jakieś twarde przeszkody. Jest spokojny także dlatego, że w wypadku pojawienia się ropy lub gazu, równocześnie zadziałają urządzenia zabezpieczające. Koronka zaczyna jednak podskakiwać, a w chwilę potem następuje wytrysk mieszaniny gazu ziemnego i ropy naftowej. W ułamku sekundy — potężna erupcja z równoczesną detonacją ropy.

Do dzisiaj nie mogą sobie wytłumaczyć dlaczego znajdowali się w miarę bezpiecznej dla życia odległości, gwarantującej przeżycie. Czterech zostało jednak poparzonych. Najgorzej wyszli na tym Karbowik i Wawrzyniak. Pomyśleli o odcięciu dopływu prądu do „chodzących" silników. Dostali się w ogniowe pole. Nieprzytomnych, w stanie ciężkim, przywieziono ich potem do szpitala. Najważniejsze — powiedzą po kilku dniach — że uratowały się oczy.

Lorbiecki opowie, że urządzenia zabezpieczające jak gdyby zadziałały chwilę, ale potem gwałtownie puściły.

Ci, którzy uszli „jako tako cało", z poświęceniem ratowali dobytek. Uratowano wiele cennych urządzeń. Natychmiast ewakuowano znajdujące się w pobliżu gospodarstwo. Zjawiła się milicja i straż pożarna. Wstrzymano ruch na pobliskiej szosie Koszalin—Szczecin.

Tego samego dnia powołano sztab akcji ratunkowej, którego szefem został — zgodnie z prawem górniczym — Eugeniusz Wójcik, zastępca kierownika ruchu pilskiego przedsiębiorstwa (stało się to na „jego" terenie), równocześnie główny specjalista do spraw wiertnictwa.

Następnego dnia przyjeżdża z Bytomia mgr inż. Henryk Bądzelewicz pełnomocnik Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego, a z Krakowa mgr inż. Henryk Dranka — dyrektor wyspecjalizowanej w akcjach naftowych Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego.

•

Oto migawka z pociągu jadącego z Warszawy do Koszalina:

Starszy pan podejmuje rozmowę i oczywiście mówi o tym, gdzie on, jak i ja, jedzie. — Są to największe pokłady ropy, jakie po wojnie odkryto w Europie — mówi.

Twierdzi, że jest geologiem. Pisał kiedyś swoją pracę magisterską o rozwoju prognoz surowcowych dla kraju, w której przewidywał — i to w pracy ujął, ale nie pozwolili mu tego wydrukować — że w tym rejonie znajdują się pokłady ropy i gazu, a może i rudy.

— Niech pan posłucha, — mówi — Na Morzu Północnym odkryto potężne pokłady, na Morzu Bałtyckim też, więc i tam w rejonie koszalińskim ropa musi się znajdować jako naturalne ich przedłużenie. Zresztą, z tego co wiem, nie jest to pierwszy wytrysk i ropy i gazu ziemnego w tym rejonie. Tylko dziwnym trafem nikt poza wiertniczymi i samymi mieszkańcami o nich nie wiedział. Społeczeństwo nie było informowane o tym.

W sąsiedniej kabinie dwaj fotoreporterzy. Jeden robił zdjęcia podczas wojny irańsko-irackiej.

— Tam, to są dopiero pożary. W telewizji pokazywali, że ten gejzer jest potężny, ale żadnego porównania z tamtymi nie ma. Dziw bierze, że tak długo się z tym bawią.

•

Wyjeżdżamy z Koszalina. Szosą na Białogard. Po drodze zatrzymuje nas milicyjny patrol, który blokuje przejazd. Można przejechać, ale ze specjalną przepustką ze sztabu ratowniczego akcji

Potem jednak wrócimy, pojedziemy do Karlina. Mijamy Lulewice. Łuna jest coraz wyraźniejsza. Z naszego miejsca, z odległości około 10 km widać „bijący" w górę ogień, czuć zapach ropy. Nie pomaga zamknięcie okien.

Przy restauracji „Na Skarpie" stoi autobus z Górniczego Pogotowia Ratunkowego Bytom. Dwie godziny później oglądałem ich w akcji.

Na sygnale mija nas wóz z Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej w Koszalinie. Później ocenię to jako trochę groteskowy akt. Z najbardziej zbędnych rzeczy, jakie widziałem na miejscu akcji, wydały mi się właśnie te wozy. Jeden ze strażaków opowiadał mi, jak to oficer tamtego dnia uprzedzony o niespotykanej sile wybuchu i wielkości ognia, powiedział do nich:

— Co to, pożaru takiego nie można ugasić?

Dopiero potem, na miejscu, rozważał możliwość tak zwanego „ścięcia" ognia przy pomocy dużych pomp...

Jeszcze jeden posterunek, jeszcze jeden patrol milicji. Dalej stoi duży, milicyjny osinobus. W ominięciu przedłużających się formalności pomaga radiowóz, który pilotuje nas do Karlina.

Zbliżamy się do słupa ognia. Wraz z otaczającym dymem obejmuje on średnicę około 50 metrów. Robi się coraz goręcej, trzeba przysłonić się szalem. Bliżej jak na 10 metrów niepodobna podejść. Robi to fotoreporter, który wchodzi — przedtem szczelnie owijając się — w obłoki dymu. Nie jest tam sam. Krążą tam żołnierze, tyle że w większości ubrani w azbestowe mundury ochronne.

Najwięcej jest żołnierzy. Widać, że są tu dzień i noc, niektórzy padają z nóg. Szeregowy Wacław Skiba usypuje z kolegami od wczesnego ranka wał ochronny, który zapobiegnie wylewowi ropy i zatruciu miejscowego terenu, a może i jego pożarowi.

Na miejscu znaleźli się już drugiego dnia, czyli w środę z rana. Dużo ludzi — potrzebnych i zbędnych. Nie było ludzi kompetentnych, przynajmniej sądząc po decyzjach nic nie wskazywało na to, żeby były one wydawane z pełnym przekonaniem, że są dobre i trafne. Po trzech dniach niewiele się zmieniło.

Akcją ratowniczą dowodzi ze strony wojska płk Makedoński. Na miejscu obecny cały czas jest jego zastępca mjr Zdzisław Leśniewski, absolwent Akademii Sztabu Generalnego.

— W ogóle przebywa tutaj 80 ludzi, 4 wywrotki, dźwig, 3 spychacze i dwa ciągniki czołgowe. Wykonujemy obwałowanie, żeby utworzyć sztuczny zbiornik, na wszelki wypadek, gdyby ujście ropy miało dalszy nie kontrolowany przebieg. Inna metoda przewiduje ugaszenie pożaru, w której byłyby użyte gaśnice pianowe z potężną ilością wody.

Metoda kolejna przewiduje przygotowanie — w wypadku niepowodzenia poprzedniej — wykonanie dwóch bocznych odwiertów, które po połączeniu z otworem płonącym doprowadziłyby do zmniejszenia w nim ciśnienia i zaczopowania go. Może to potrwać miesiąc, dwa, a może i dłużej. Ponadto przewiduje się zdmuchnięcie płomienia przy pomocy zespołu silników odrzutowych tłoczących gaz lub płyn tłumiący ogień.

W tej chwili ciągniki czołgowe ściągają z bliskiego sąsiedztwa otworu metalowe konstrukcje, które uprzednio tworzyły szyb wiertniczy. Elementy metalowe usunąć trzeba koniecznie, ponieważ rozgrzane mogą spowodować ponowne zapalenie.

Major Leśniewski uważa, że na miejscu akcji jest za mało grup ratowniczych. Wczoraj było zaledwie 7 osób, a potrzeba przynajmniej osób 40 — i to w żaroodpornych ubraniach.

— Uważam także, że potrzeba tutaj człowieka z władz wojewódzkich do koordynacji wszelkich poczynań, którego tutaj nie widać. Niby jest sztab ratowniczy, ale...

Przybywają tutaj specjaliści z WAT, którzy przygotowują też własną koncepcję zlikwidowania ognia. Wraz ze specjalistami z ratowniczych przedsiębiorstw ze sztabu akcji mają wybrać optymalny wariant.

Foto: CAF

Przygotowywany jest obecnie przez żołnierzy II zbiornik, awaryjny z utworzoną tak zwaną palową zaporą dla umożliwienia przepływu wody, która obecnie rozmywa grunt.

Kapitan Jerzy Szymonko, współpracownik:

— II wał musi mieć wysokość minimum 9,5 metra i długości 22 m. Nie jest bezpiecznie pracować w takich warunkach. Temperatura — ponad 1000 stopni zmusza do wykazywania nie tylko dużo sprytu i odwagi ale przede wszystkim — do rozwagi. Nie można bowiem ryzykować życiem. Taki spryt i odwagę wykazała wczoraj załoga ciągnika czołgowego „Kraz" w składzie dowódca — sierż. Grzegorz Sulecki i kierowca — st. szerg. Bogdan Tomas. Ogromnie dużo sprzętu wyciągnęli, w tym m.in. dwa samochody.

W nocy słup ognia dochodzi do 200 metrów wysokości. Wszyscy są raczej zgodni co do tego, że gdyby nie wojsko, to w tym tempie akcja by się nie posuwała.

Widzę 3 ludzi podchodzących blisko ognia. Podchodzę. Są inżynierami węgierskimi, specjalistami z zakresu górnictwa i poszukiwań naftowych.

Zapisują swoje nazwiska w moim notesie: Tibor Götz i Erno Buda.

Najpierw wrażenia: nie, na pewno takiego wybuchu nie widzieli na oczy, mimo że już niejedno w życiu widzieli. Są ekspertami z miasta Szeged — placówki, która specjalizuje się w ramach RWPG w gaszeniu takich pożarów. Pożaru tego rodzaju i o takiej skali nie było w ostatnich latach w Europie, a może w świecie. Nie myśleli, że będzie to wytrysk ropy o takiej sile. Trudno im jednak będzie powiedzieć, czy znajdują się tu bogate złoża. Na to potrzeba trochę czasu, w którym by można było przeprowadzić badania. Teraz najważniejszym zadaniem jest ugaszenie ognia, zabezpieczenie i ochrona terenu przed jego rozprzestrzenianiem się.

Ależ panowie — mówię. — Trwa wojna iracko-irańska i tam — przynajmniej można to zobaczyć z nakręconych filmów — skala pożarów jest nieporównywalnie większa. A więc jaki w tym problem.

— Szanowny panie, — śmieją się. — Tylko, że tam pożary obejmują otwarte zbiorniki, które i u nas prawdopodobnie bez trudności byśmy ugasili. Tu ropa wydobywa się na skutek ogromnego podciśnienia!

Wspólnie z nimi oglądam opuszczone gospodarstwo. Po rozrzuconych naczyniach, poprzewracanych narzędziach, można się domyślać pośpiechu, a może i popłochu.

W budynku znajdują się strażacy z Białogardu: st. kapr. Zbigniew Lisowski i st. strażak Janusz Sioch. Twierdzą, że na razie ich rola jest ograniczona, sprowadza się do osłaniania budynków. Dysponują pianą i wodą.

Zatrzymuję się przy milicyjnym radiowozie. W środku siedzi porucznik, z którym zamieniłem kilka zdań. Mówi — zastrzegając się nieoficjalnością wypowiedzi — że niedaleko stąd w miejscowości Wierzchowo znajduje się kopalnia gazu ziemnego, całkowicie zaopatrująca Koszalin. Druga nitka z tej kopalni jest skierowana do Szczecinka.

— Wie pan, tutaj nie szukali na ślepo. Już poprzednio w czasie wierceń natrafiano na tryskającą ropę. Rezygnowano z obudowywania szybu tylko dlatego, że postanowiono poszukać takiego miejsca, gdzie znajduje się być może największe złoże. Także tutaj, proszę pana, ten wybuch nie był zaskoczeniem, a pojawienie się ropy tu i przedtem w innych miejscach zostało zlekceważone przez wiertniczych.

Podchodzi major Leśniewski.

— Wielu jest za alternatywną metodą użycia potężnych motopomp w celu ścięcia ognia, a także w celu równoczesnego ciągłego chłodzenia terenu. Jesteśmy także przygotowani na gaszenie przy pomocy materiałów wybuchowych. Ale „ugaszenie na siłę", bez zabezpieczenia terenu, nie tylko nic nie daje, ale i grozi rozszerzeniem się ognia na dalsze połacie.

Henryk Bądzelewski:

— Nie mamy doświadczeń ratowniczych w przypadku ognia o takiej sile i takiej skali. Za chwilę będą ratownicy z Bytomia z pełnym oprzyrządowaniem, w tym oczywiście z aparatami tlenowymi.

Istotnie pojawia się autobus. Jest także dyr. Dranka, który uzgadnia z ratownikami zarys pierwszej ich tutaj akcji.

Bezpośrednim przełożonym ratowników jest inż. Leon Wieczorek.

— Kombinezony wytrzymają temperaturę do 500 stopni, aparaty tlenowe pozwalają na pobyt nie dłuższy niż 30—40 minut.

— Jakie jest ryzyko narażenia ich życia?

— W takich temperaturach i warunkach nie przebywali nawet podczas zajęć ćwiczebnych. Są liny asekuracyjne, które ubezpieczają, jest także cały system znaków umownych, ale nie można wykluczyć tragicznego wypadku, zwłaszcza w nie sprawdzonych warunkach.

Przedstawia zespół: Jan Król, Zbigniew Sięzak, Franciszek Seweryn, Tadeusz Dyga, Marek Stych, Stefan Sikora.

Jeszcze kilka miesięcy temu tworzyli większe grono. Ratownicy częściej jednak, niż kto inny rozliczają się przed samymi sobą z własnego życia. Ratownicy mają to do siebie, że do ich obowiązków należy ratowanie życia ludzi, mniej pamiętają o sobie. Ale bez zbędnej brawury. W praktyce wygląda to tak, że nie zawsze wielkość przedsiębranych środków odpowiada osiągnięciu koniecznego celu. Są one najczęściej wydzielane na wyrost, bowiem własne życie zatraca swój sensowny wymiar w obliczu groźby straty innego.

W autobusie towarzyszę ich przebieraniu się w kombinezony.

— Sikora, weź ten drugi kask, a tego górniczego już nie bierz.

— Nie zapomnijcie o asekuracji.

— Wie pan, jedni ubezpieczają, drudzy wchodzą w ogień. Potem zmiana. Rzecz w tym, żeby w obydwu przypadkach zachowywali się z jednakową bystrością, z trzeźwością umysłu.

Kieruję do nich pytanie, które zadałem inż. Wieczorkowi.

— Idziemy w nieznane, ale z zachowaniem maksymalnych środków bezpieczeństwa. Bez zbędnej brawury.

— Kolega zginął w lipcu w kopalni „Pokój". Było wtedy poparzonych jeszcze 4 naszych kolegów.

— Przyjechaliśmy tutaj prosto z pracy. Nie widzieliśmy się nawet z rodziną, ale taka nasza praca i nasz obowiązek, nie tylko zawodowy, ale też i ludzki. Wychodząc do pracy rano, nie wiemy czy wrócimy na noc. Czy też w ogóle wrócimy. Ale to dotyczy także wszystkich górników...

— Ja sam poszedłem do pracy o szóstej rano wczoraj — mówi kierowca autobusu, Norbert Iwczok, też ratownik — i już umawiałem się z żoną, gdy nagle otrzymałem zawiadomienie...

Spotykam Kazimierza Jasiewicza jednego z wiertników z Krakowa, z Okręgowej Stacji Ratownictwa.

— Wracam z miesięcznej akcji gaszenia, a raczej lokalizowania wybuchu gazu koło Gorzowa. Tam w przeważającej części był siarkowodór. Ropa leci otworem z rury o średnicy 9 cali, w środku której na niższej głębokości jest jeszcze druga rura o średnicy 5 cali. Zwykle się wierci do głębokości 50 m, potem ruruje się i cementuje. Potem znowu wierci się do głębokości 200 m, znowu ruruje i cementuje.

Przed wyjazdem z Koszalina zajeżdżam do Urzędu Wojewódzkiego.

Wojewody nie ma.

Zastępuje go wicewojewoda Tadeusz Galik.

— Czy wiążecie jakieś nadzieje z pokazaniem się ropy?

— Musimy najpierw z całą pewnością ustalić wielkość złoża. Po jednym dużym wytrysku nie można domniemywać istnienia dużych pokładów. Mówi pan, że były uprzednio wytryski ropy. Tak, owszem były, ale to były tak zwane ślady...

WACŁAW OPACKI

# GMINA BEZPRAWIA

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: R. Łucyszyn

**Mówili z goryczą, pisali listy, prosili, złorzeczyli, modlili się gorąco, lecz nikt ich nie słuchał; nawet górujący nad chałupami klasztor salezjanów pozostawał głuchy na prośby, zamknięty w obpjętności swych kamiennych murów. Nie było jedności, ludzie rozproszeni, mieszkający w 30 sołectwach a wokół potężniejące z dnia na dzień fasady znieczulicy. Petycje sygnowane pięciuset podpisami grzęzły w zakamarkach szuflad Sejmu, Urzędu Rady Ministrów, Komitetu Centralnego i Urzędu Wojewódzkiego, a ludzie piszący owe petycje byli straszeni, szykanowani, prowadzono przeciwko nim dochodzenia. Stanisław Nowacki, którego dziś ludność przyjmuje takimi owacjami, stracił zdrowie w obronie interesów gminy. Trzęsą mu się ręce, zrezygnował ze stanowiska dyrektora szkoły, ostatnio wziął bezpłatny urlop, aby poddać się prywatnie leczeniu.**

**Oderwani wbrew własnej woli od Łodzi mieszkańcy popadli w czarną rozpacz, bo nie wysłuchał ich nawet ich poseł, Mieczysław Rakowski. W ciągu pięciu lat nie doszło tutaj do żadnego spotkania z władzami. Wprawdzie na początku I sekretarz KW zapewniał, że na poprawę warunków życia mieszkańców nie zabraknie pieniędzy, ale później poszły one gdzie indziej.**

Po reformie administracyjnej w 1975 r. związany od setek lat z Łodzią Lutomiersk znalazł się na rubieżach woj. sieradzkiego Kiedyś, jak wieść niesie, pośród miast prywatnych w dobie feudalnej zajmował jedno z pierwszych miejsc w kraju; teraz stał się zapyziałą wiochą pogrążoną w marazmie i stagnacji. I był właściwie niczyj. Albo też, jak się później okaże, ponownie stał się własnością prywatną, tym razem naczelnikowską. Zły to jednak właściciel, bo włości jego brudne, ciemne, zabłocone, a jedyną oznaką szczodrej pańskiej ręki są niebieskie, lakierowane tabliczki z nazwami ulic, zawieszone na wybrzuszonych ścianach drewnianych chałup o konstrukcji zrębowej, z wysokimi dachami o silnie wystających okapach, z kolorowo, odpustowo zaszpachlowanymi belkami i małymi okiennicami. Ano, jak Kuba Panu Bogu, tak Bóg Kubie. Sieradz obraził się śmiertelnie na Lutomiersk, a powodem owej obrazy były petycje słane do wszelkich władz. Za dużo w tych pismach wyrażano chęci przyłączenia do Łodzi, za wiele wskazywano nonsensów, bezprawia, sobiepaństwa i kacykostwa. Ludzie postulowali i podkreślali m.in. to, o czym pisałem już w artykule „Na mapie i poza mapą". Że do Sieradza jest 45 km i tylko cztery bezpośrednie połączenia autobusowe, a do centrum Łodzi 17 km i można się tam dostać tramwajem lub 30 autobusami w ciągu doby. Że muszą się leczyć w odległym o 100 km Wieluniu, chociaż pracują w Łodzi. Że 90 proc. absolwentów szkół podstawowych z gminy podejmuje naukę w Łodzi. Wskazywano na takie paradoksy, jak ten np., że mieszkańcy Łodzi zatrudnieni w urzędach Lutomierska muszą jeździć na różne narady do Sieradza. W Lutomiersku nie buduje się mieszkań, a w pobliskim Konstantynowie i Aleksandrowie działają sprawnie spółdzielnie mieszkaniowe. W bezsensowny sposób traci się masę pieniędzy, ponieważ transport idzie drogą okrężną, np. żywność dowozi się do Lutomierska z Łodzi przez Zduńską Wolę.

**W sierpniu ludzie stwierdzili, że w Lutomiersku odnowa zatrzymała się w pół kroku. Ja bym powiedział, że w ogóle tam nie dotarła. Tzn. mieszkańcy chcieli nią żyć, ale nie władze gminy.** Kiedy w dniu 5 września aktyw społeczny zorganizował zebranie, aby przedstawić swoje wnioski i postulaty, i przyszło niewiele osób. Urząd Gminy bardzo się z tego ucieszył. Zobowiązano Urząd do zorganizowania kolejnego zebrania, ale urzędnicy śmiali się, twierdząc, że jak przyjdzie 20 osób, to góra. Minęły dwa miesiące i do zebrania nie doszło. Wówczas działacze z Lutomierska zażyli Tymczasowy Komitet Środowiskowy i udowodnili, że można jednak zwołać wiec ogólnogminny.

23 listopada br., o godz. 15 w sali OSP przy ul. Kościuszki, gdzie zainstalowano aparaturę nagłaśniającą, mikrofony, magnetofony, zjawili się przedstawiciele 30 sołectw w liczbie około pół tysiąca. W większości stali, także na schodach i przed remizą. Tworzący służbę porządkową strażacy w cywilnych ubraniach czuwali przy wejściach nie wpuszczając na salę nietrzeźwych.

Starym zwyczajem w prezydium zasiedli przedstawiciele władz gminnych i instytucji obsługujących rolnictwo. Tylko, że tym razem stół prezydialny miał spełnić rolę ławy oskarżonych. I zaraz, na początku, na salę podniósł się nastrój niezadowolenia. Nie przybył przedstawiciel prokuratury. Pytano, dlaczego naczelnik gminy nie zaprosił prokuratury. Nie mógł sprowadzać władzy przeciwko sobie!

**— A gdzie jest sekretarz partii?**

**— Wstydził się! Ludzie za wiele o nim wiedzą!**

To była smutna, gorzka prawda. Sekretarz KG PZPR, Stanisław Wierzbicki, mieszka w Pabianicach i niewiele go łączy ze sprawami mieszkańców Lutomierska. Rozgoryczkowani ludzie mówili z żalem, że kiedyś w KG był jeden człowiek, sekretarz, który coś pomógł, a teraz jest sześć osób i nic. Po co więc to dublowanie administracji, która nic nie robi i nie pomoże? Miano zbudować dom kultury, ale trzy pokoje z góry przeznaczone dla KG. A gdzie zespoły artystyczne, kółka zainteresowań? „Od tego mamy jeszcze piwnice" — oświadczył sekretarz.

**Po co w kioskach leżą stosy tygodnika „Nad Wartą"? Gazeta nie włączyła się od początku do procesu odnowy, a na dodatek kłamie.** Podaje, że w województwie sieradzkim oddano do użytku ponad 30 gminnych szkół zbiorczych, a zbudowano dwie. Była też informacja, że w Lutomiersku oddano do użytku dom kultury, a tego domu nie ma! Tak jak nie ma kina od lat, bo je zlikwidowano.

Myślę, że dziennikarze z „Nad Wartą" informacji nie wyssali z palca, ktoś im je podał, więc napisali. A sprawy partii? Na wiecu władze wojewódzkie reprezentował wicewojewoda Kobiela. Partia nie przyszła na spotkanie ze społeczeństwem. Jeżeli mówimy, że kierownictwo partii w Warszawie oderwało się od mas, to nie jest to pełna prawda. Przykład Lutomierska świadczy, że „na dole" także było i jest nie najlepiej.

Wreszcie popularny w środowisku geodeta, Andrzej Bujnowicz, wybrany na przewodniczącego zebrania, uciszył salę. Z pewnymi oporami i wahaniami, bo ludzie nie przywykli jeszcze do demokracji, wybrano komisję uchwał i wniosków oraz członków powołanego Niezależnego Komitetu Kontroli Społecznej. Kiedy Bujnowicz poprosił o zabranie głosu w dyskusji na sali zapadła cisza. Chłopi czuli się przez wiele lat ciemiężeni. Wiedzieli jednak, że za ich ciężką pracę należy im się szacunek i ludzkie traktowanie w urzędach, ale nigdy jeszcze nie mówili o tym władzy prosto w oczy, a już na pewno nie z mównicy i do mikrofonu. Pierwsza zdobyła się na odwagę chroma kobieta, która powiedziała krótko, że miała działkę pośrodku pól spółdzielni. Podczas komasacji bezprawnie zabrano jej łąkę i dano człowiekowi, który nie był rolnikiem.

Wtedy się dopiero zaczęło. Na mównicę śmiało zaczęli wchodzić chłopi, starzy, spracowani siwowłosi i z trudem dobierając słowa, zaczęli mówić gorzką, bolesną prawdę. Patrzyłem na twarze przedstawicieli władz gminnych. Jedni przyjmowali to z ponurą zaciętością, inni z drwiącym uśmiechem, bez skruchy. A Białasiński z Kazimierza pytał gromkim głosem:

**— Gdzie jest służba rolna? Dlaczego podczas komasacji przesunięto nam działki i one teraz leżą w wodzie, nie zmeliorowane, nie można ich zaorać ani zebrać kartofli, które wygniły? Za co płacimy podatki, skoro nic nie sprzątamy? Czemu nie ubezpiecza się bydła i koni? Płacimy za inseminację, czekamy wiele miesięcy, rodzi się martwe cielę, i za odebranie płodu też płacimy. Pasza leży w GS, a magazynier mówi, że nie ma. Więc dla kogo jest ta pasza? Jeżeli nie usunie się ludzi z gminy, którzy się nie nadają, to będzie jeszcze gorzej!**

Ob. Baryński z Mirosławia opowiadał, jak cztery razy dziennie chodził do filii SKR w Babicach, aż dali mu wreszcie kosiarkę ze starą, tępą kosą. Traktorzysta ujechał sto metrów, stanął i mówi, że musi wracać do domu. Baryński wsadził go do samochodu i zawiózł do bazy. Stała tam zepsuta kosiarka ale z dobrą kosą. Niestety, nie mogli wymontować tej kosy i koszenia nie było. Dlaczego, pytał Baryński, nawozy można kupić w Konstantynowie, a w Lutomiersku nie? Czemu zamawia się towary w odległym o 100 km Wieluniu? Dlaczego wzniesiony pawilon przeznacza się na inne cele, a małe ciasne sklepiki mieszczą się w prywatnych mieszkaniach? Józef Karpik, sołtys z Puczniewa, kontynuując myśl poprzednika, stwierdził, że ten podział administracyjny ktoś zrobił chyba złośliwie, i że przy takiej gospodarce będziemy dziadami. Bo w Aleksandrowie i Konstantynowie węgiel leży na składzie, a w Lutomiersku nigdy go nie ma. Po co w Lutomiersku ma robić meliorację Wieluń, jak w Konstantynowie jest firma melioracyjna? Z Wartkowic przywozi się produkty mleczarskie, mleko spod Sieradza, a mleczarnia jest blisko Lutomierska... A odpadki mleczarskie płyną kanałami ściekowymi...

Głos rolnika, który musi walczyć, jak Ślimak z „Placówki":

**— Osiadłem na poniemieckiej ziemi. Przeżyłem Stalina, kołchozy, komasację, podciągnąłem gospodarkę do odpowiedniego poziomu, ale teraz już nie mam siły. Jestem sąsiadem spółdzielni produkcyjnej, która zniszczyła rowy i zalała mi pola. Przyszedł pijany „agromelant" i mówi, że to moja wina. I nie ma żadnego ratunku, żadnego wsparcia, nie pomagają listy, prośby, podania. Naczelnika dla chłopa nigdy nie ma w urzędzie. A ja przed wojną mogłem się widzieć z wojewodą, bo on służył obywatelom! Służba rolna, a jest ich dwunastu ludzi, też nie przyjdzie, nie ich interes. A jak taka panienka potraktuje w gminie starego, siwego chłopa, to płakać się chce! Do GS w Lutomiersku i Szydłowie chłop przyjeżdża zawsze albo za wcześnie, albo za późno. Nic nie dostanie. Bo oni nie myślą o chłopie, tylko o swoich interesach, o zbijaniu kapitału!**

Ob. Kierzkowski z Malanowa zapytał kiedy wreszcie ujawni się i ukarze tych członków partii, którzy nam przynieśli wstyd.

**— W naszej wsi — wyjaśnił Kierzkowski — partyjny sołtys pobił rolnika, który mu „przeszkadzał" przy komasacji. I kogo ukarało kolegium przy naczelniku gminy? Pobitego rolnika! Za zakłócenie ciszy, bo wołał ratunku! A myśmy potem dostali eksmisję z działek. Mnie zabrano najlepszą działkę na PFZ i dalej poszła na handel!**

Atmosfera na sali rosła, ale nie doszło do bezładnego krzykactwa. Na mównicy znalazł się Stanisław Stachowicz z Lutomierska. Oznajmił spokojnie, że nie doszłoby do podziału administracyjnego, gdyby wcześniej mogły odbywać się takie zebrania, jak dzisiaj. Bechcice nie byłyby podzielone idiotycznie na połowy, które leżą w innych województwach. W dzień powszedni i w wolne soboty można by było kupić chleb w Lutomiersku. Teraz chleba nie ma, ale to też inna sprawa, bo naczelnik nie zezwolił na uruchomienie prywatnej piekarni w Kazimierzu. I nie dochodziłoby do takich sytuacji, jak w zimie „stulecia", gdy ludzie nie mogli wrócić z pracy do domów. Dzwoniono o pomoc do Sieradza, który spytał: „A gdzie oni pracują? W Łodzi? To niech ich Łódź przywiezie!"

Następnie Stachowicz przeszedł do spraw osobistych, które chyba mają znaczenie bardziej ogólne.

**— Jak wiecie — powiedział — w nocy z 5 na 6 listopada wybuchł u mnie pożar. Pobiegłem na pocztę, ale dyżurująca pani nie znała żadnego numeru telefonu straży pożarnej! Zdenerwowałem się, byłem w szoku, bo płonął przecież mój dom! Udałem się z prośbą o wszczęcie alarmu na posterunek MO. Radiowóz stoi, wnętrze oświetlone, a trzech dyżurnych milicjantów ani śladu. Oni siedzieli w całkiem innym miejscu, wiecie, w jakim... Później milicjant Wojtas powiedział do mnie: „Uspokój się, bo ci przyleję". Jak mogłem być spokojny, kiedy palił mi się dom, a oni o trzeciej w nocy robili mi przesłuchanie, grożąc, że za fałszywe zeznania pójdę siedzieć. Nazajutrz w „Głosie Robotniczym" ukazała się podana przez sieradzką KW MO informacja, że u mnie wybuchła butla z gazem, co było nieprawdą. A jak potrzebowałem akt własności do spisania strat, urzędniczka z gminy nie chciała mi go nawet wypożyczyć. Była zajęta, nie miała czasu dla pogorzelca i musiałem jechać po ten dokument do Łasku. Tak się przedstawia praworządność w gminie Lutomiersk...**

Z obowiązku reporterskiego muszę donieść czytelnikom, że ostatnio w Lutomiersku spaliła się poczta i telefony w ogóle są nieczynne.

Z tego samego obowiązku muszę odnotować dwa głosy niemal tragiczne.

**— Przez miesiąc chodziłem do SKR we Wrzącej — mówił z rozgoryczeniem stary, schorowany rolnik, zbowidowiec — i nie dostałem kosiarki. Padałem z nóg, męczyłem się z kosą. Czy po to walczyłem o Polskę, po to przez pięć lat siedziałem w obozie, żeby tak mnie dziś traktowano? A dla innych miękki fotelik, willa i samochodzik! Przez takich ludzi chłop musi teraz patrzeć ze zgrozą, jak małe prosięta idą pod nóż!**

**— Chcieliśmy być dobrymi rolnikami — mówiła przez łzy młoda jeszcze kobieta. — Chcieliśmy dawać ludziom żywność. Nie pozwolono nam na to, prześladowano, ciemiężono! Zawaliła się obora, a nowa stoi bez dachu już trzy lata i nikogo to nie obchodzi! Zabrano nam pół hektara ziemi i w ciągu trzech dni sprzedano rencistce, która nie jest rolniczką. Poszłam do naczelnika, a on mówi, że nic nie wie o sprzedaży! Nawieźliśmy na tę działkę obornika, przyoraliśmy, zasialiśmy trawę. Wjechał traktor spółdzielczy, zaorał wszystko, zniszczył naszą pracę! I nie było siły, nikt nam nie pomógł! Ludzie, tak dłużej nie może być! Głód będzie w kraju!**

**Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.** Naczelnik gminy, Wacław Wójtowicz, oświadczył publicznie, że „chłopki" go nie interesują. Popierał i będzie popierać tylko sektor uspołeczniony.

Wójtowicz od siedmiu lat jest naczelnikiem Lutomierska, ale mieszka w Łodzi. Za jego działalności wiele się w Lutomiersku zmieniło. GS wycięła kawałek lasu, zbudowała gospodę, lecz terenu do dziś nie uporządkowano. Zarosły cztery stawy rybne, chociaż można je było wykorzystać do hodowli karpia na potrzeby gminy. Ale za to na teren gminy „wdarła się" aleksandrowska „Sandra" i świetnie zagospodarowała ośrodek rekreacyjny, dostępny dla wszystkich, z czego władze w Sieradzu były wielce niezadowolone. Wzrosła liczba specjalistów w ośrodku zdrowia, ale co drugi dzień któryś ze specjalistów nie przyjmuje. Ostro wzięła się do pracy „gospodarka komunalna". Zbudowano garaże z posadzką leżącą 20 cm poniżej poziomu gruntu i w garażach stanęła woda. Wówczas do garaży wykopano rów długości 50 m i szerokości 6 m, żeby woda spłynęła. W ten sposób powstał staw i do garaży nie można było wjechać. Przyszedł spychacz, nawieziono stali, płyt betonowych i „staw" zasypano ziemią. Jak dobry gospodarz ma dużo państwowych pieniędzy, wie, co z nimi zrobić.

Położono chodniki. Dziury takie, że nogi można połamać. Trudno dojść do kościoła, a naród wierzący, ma swojego papieża. Wzięto się także za zieleń. Ponieważ bhp ostrzega, że przy ścinaniu gałązek można piłką dotknąć drutów i nieszczęście gotowe, pod 50-letnie lipy podjechały traktory. Zakładano stalowe linki i ciągnięto całą parą, odrywając całe konary. I teraz w Lutomiersku sterczą same straszne kikuty, jakby przez ulice przeszło tornado. Owszem, sadzono też młode drzewka, ale bez palików, i robiły to siedmioletnie dzieci, toteż mimo ich trudu nic nie wyrośnie.

Jedna z robotnic powiedziała, że jak o czwartej rano kobiety idą do tramwaju, aby dostać się do pracy w Łodzi, ulice są ciemne, woda chlupie w butach, mnożą się wypadki i napady. A po lasach, np. we Wrzącej, światło płonie przez całą dobę. Na działkach, w pięknych stylizowanych domkach i okazałych willach. Kobiety z Lutomierska nie mogą się doprosić o gaz z butli. Przepisy mówią, że nie wolno instalować urządzeń gazowych w budynkach bez kominów. A tymczasem butle z gazem wozi się na działki, do domków letniskowych. Mieszkańcy Lutomierska nie mają wodociągów. Pod pretekstem doprowadzenia wody na stadion podciągnięto wodociąg na działki.

**W gminie jest 400 domków i willi należących do ludzi spoza gminy. Działek jest chyba więcej, nikt ich dotąd nie policzył.** Naczelnik Wacław Wójtowicz również ma domek oraz działkę. Albo może nawet dwie działki. Nie wiadomo, ponieważ działki były przydzielane „po cichu". Wiadomo natomiast, że niewłaściwi ludzie otrzymywali je za symboliczną opłatą: złotówka za metr kwadratowy. Kiedy mieszkańcy Lutomierska zwrócili się do naczelnika o przydział działki pod budownictwo mieszkaniowe, otrzymali wielce zachęcającą propozycję: 60 tys. zł za 10 arów.

Wystarczy przejechać przez gminę i popatrzeć uważnie, aby stwierdzić bez cienia wątpliwości, że są tam działki rekreacyjne o powierzchni 0,5 ha, a nawet 1 hektara! Można także zobaczyć lasy pocięte na działki, na których w sposób okrutny i bezsensowny powalono setki drzew. To jest dopiero wandalizm, to jest kryminał! Albo te pola przedzielone działkami! Maszyny budowlane wjeżdżają tam bez pardonu i niszczą chłopskie zasiewy. Kto i z czego tam buduje? Może są to maszyny SKR, a materiały budowlane z GS w Lutomiersku? Jeżeli prokuraturę sieradzką sprawa ta nie interesuje, niech się nią zajmie „Solidarność", niech pomoże Niezależnemu Komitetowi Kontroli Społecznej z Lutomierska.

**Nie sposób wymieniać wszystkich głosów, jakie padły na wiecu ludowym w Lutomiersku. Wszystkie jednak są prawdziwe, nagrane na taśmę i dostępne do przesłuchania.** Jest tam również głos naczelnika Wójtowicza, który na wstępie oznajmił, że ponieważ z sali padały same zarzuty, on będzie mówił o sukcesach. Nie pozwolono mu na to. Wobec tego naczelnik oświadczył, że ponieważ był przygotowany do innego wystąpienia, będzie teraz musiał improwizować. Zebrani nie zaakceptowali jego wyjaśnień. We wnioskach i uchwałach naczelne miejsce zajmują dwa postulaty: zmiana władz w Urzędzie Gminy, w SKR, GS i KG partii oraz przyłączenie Lutomierska do Łodzi.

Można postawić pytanie: kto następny? Ale należy też postawić pytanie, czy powinno dojść do takiej sytuacji? Myślę, że gdyby przedstawicieli władz gminnych nie wprowadzono do Lutomierska na zasadzie desantu, gdyby władzę reprezentowali ludzie miejscowi, chodzili tymi samymi ciemnymi, zabłoconymi ulicami, stali w kolejkach po chleb, martwili się o węgiel na zimę, to byłoby inaczej. Błąd polega na tym, że w krajach kapitalistycznych premier może jeździć do pracy na rowerze i jeść posiłek wspólnie z robotnikami, u nas natomiast urzędnik gminy jest już maleńkim carewiczem, a zatyrany chłop intruzem, który przeszkadza mu w piciu kawy. **Chłop z Lutomierska został bezsilny i poniżony, ponieważ zniszczono wszelkie formy samorządu, który mógłby go bronić.** Stało się tak nie tylko w Lutomiersku.

Foto: R. Łucyszyn

BERNARD KOWALSKI

# BARBARZYŃCY W OGRODZIE

*Nie było nas, był las.*

(porzekadło ludowe)

Sława tej miejscowości ma swój początek w ubiegłym wieku, kiedy to pierwsi właściciele manufaktur Łodzi i Pabianic odkryli, że tutejsze powietrze znakomicie regeneruje, nadwątlone wielkomiejskim pyłem i zaduchem, zdrowie. Wielkie kompleksy leśne, dziewicze w swym pięknie i majestacie, zaczęły spełniać rolę różnych badów i kurortów. Szczególnie cenne były wysokopienne sosny ociekające aromatyczną żywicą, mającą zbawienny leczniczy wpływ na schorzałe gardła i płuca.

Sława rosła. Wzdłuż traktu łączącego Łódź z Kaliszem zaczęły pojawiać się pierwsze rozległe drewniaki z przestronnymi oknami, oszklonymi werandami, z tarasami i balkonami. W większości wznosili je bogaci Żydzi, gdyż oni w latach późniejszych niemal całkowicie opanowali leśne tereny leżące nad Grabią. Stąd, po dziś dzień, starzy ludzie nazywają Kolumnę „Palestyną". Jeszcze po ostatniej wojnie, w latach czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych, łódzcy Żydzi tłumnie zjeżdżali do osady płacąc każdą cenę za możliwość spędzenia urlopu w sosnowych lasach.

Będąc podrostkiem, potem już jako działacz kulturalny w pobliskim Łasku, często przyjeżdżałem do Kolumny w sprawach służbowych lub w odwiedziny do przyjaciół. Pamiętam więc jeszcze owe piękne lasy, rzadkie domki ukryte w ich cieniu, leśne ścieżki kluczące wśród wypłowiałej ściółki, ostry zapach żywicy... Minęło trzydzieści kilka lat, i miejscowość wypoczynkowa stała się zwyczajną zurbanizowaną osadą, w końcu pozbawioną samodzielnego statusu administracyjnego, przyłączoną do Łasku, jako jedna z jego dzielnic. Jedynym usprawiedliwieniem tego posunięcia jest chyba to, że z dawnej Kolumny niewiele pozostało, że dziś jest to kompleks ulic, murowanych domów, asfaltowych dróg i powietrza przesyconego spalinami. Bo lasu tu coraz mniej, wiewiórki stały się rzadkością, wyginęły grzyby, przepadły raki z Grabi, a sama Grabia, szczególnie latem zawiera w wodzie więcej środków do mycia samochodów, niźli substancji odżywczych dla ryb...

*Niszczycielska dewastacja naturalnych zasobów leśnych rozpoczęła się gdzieś w latach pięćdziesiątych i trwa do dziś.* Zezwolenia na budowę domów otrzymywało się łatwo, na wycinanie drzew — jeszcze łatwiej. Pod piłami i siekierami padły setki i tysiące wiekowych sosen. A dopełnieniem zagłady stał się fakt przyłączenia Kolumny do Łasku, co nastąpiło w 1973 r. Śmiem podejrzewać, że ówczesnemu przewodniczącemu Powiatowej Rady Narodowej w Łasku, który jak wielu innych prezesów, dyrektorów i naczelników przed nim (po nim także), właśnie wzniósł swoją okazałą siedzibę w miejscu wyciętych drzew, nie w smak było mieszkać w jakiejś tam osadzie. Chciał koniecznie mieszkać w mieście. Stąd pomysł połączenia miasta z Kolumną. Przewodniczącego od dawna nie ma (odsiaduje swój dość długi wyrok za nadużycia), ale sztuczny twór administracyjny pozostał, jak pozostał zeszpecony przez wznoszone „domki jednorodzinne" wygląd Kolumny.

Kilka lat temu, kiedy na mapie kraju pojawiło się województwo sieradzkie, rozmawiałem z architektem wojewódzkim Janem Michalewiczem, który mówił o swojej wizji Polski, o jej budownictwie, o tym, że każdy region posiada własny i jemu właściwy styl architektury, że przez trzydzieści lat panowała u nas w tej dziedzinie anarchia, że budowano bez jakiegokolwiek przemyślenia spraw infrastrukturalnych, że zeszpecono krajobraz itp. Były to słowa słuszne, czułem w nich ogromną troskę o urbanistyczny wygląd kraju.

I co? Co się zmieniło?

Słowa architekta wojewódzkiego pozostały słowami. W Kolumnie nadal buduje się jak budowało dotąd: „dach kopertowy i dwa okna po froncie". Wystarczy pojechać na ulicę Traugutta, Lipową, Wrzosową, Piekarniczą, Letnią, Sportową. A ile takich budynków jest przy ulicy Wileńskiej, Łanowej, Torowej, Gdańskiej, Brzoskwiniowej, Miłej i Brackiej? A przy innych?

Wizytówką Kolumny jest ulica Armii Ludowej, przez którą biegnie trasa E-12. Niegdyś po obu jej stronach ciągnęły się kompleksy leśne, dziś za betonowymi ogrodzeniami wznoszą się potężne budowle. Po drzewach nie został nawet ślad.

W Wydziale Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Miasta i Gminy Łask, oglądam kolorową mapę przedstawiającą stan istniejącej zabudowy miasta oraz to, co powstanie tu za kilka lat. Kolumna jest z boku, mimo oficjalnego jej przyłączenia do Łasku. Nawet tu, na mapie, wygląda to dość sztucznie: oba te skupiska oddzielają bowiem łąki, rzeka i lasy. Pytam o sprawy budownictwa, którego ekspansja jest katastrofą dla Kolumny. Pracownicy wydziału pokazują mi uchwałę nr XIII/56/80 Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Łasku w sprawie zatwierdzenia planu przestrzennego miasta i gminy. Uchwała nosi datę 12 maja 1980 r. Jest to dokument, który, moim zdaniem winien był powstać co najmniej 20 lat temu, gdyż z jego treści wynika, że zalew budownictwa jednorodzinnego w Kolumnie, przynajmniej w jej części zalesionej, zostanie powstrzymany. Najistotniejszym punktem uchwały jest zalecenie, że jeśli na działce budowlanej rośnie las — budować się można jedynie wówczas, gdy nie ulegnie wycięciu ani jedno drzewo. Zgłaszając chęć budowy trzeba przedstawić plany geodezyjne z inwentaryzacją drzewostanu. A przy tym wielkość normatywna działek na terenie zalesionym może wynosić do 1.000 m kw.

Plan przestrzennego zagospodarowania miasta i gminy Łask zakłada, że budować można jedynie na starych terenach działkowych, tj. tam, gdzie już stały uprzednio stare drewniaki. Tych drewniaków, wzniesionych jeszcze przed pierwszą wojną, jest sporo. Jedne są odnawiane, restaurowane i wyglądają jeszcze zupełnie znośnie, inne muszą pójść pod spychacz. Na ich miejscu staną nowe domy, murowane. I taka jest kolej rzeczy. Tylko chciałoby się, aby nie były to znowu owe budowle „z dachem kopertowym i dwoma oknami po froncie".

Mam przed sobą arkusze spisowe dotyczące Kolumny, Rokitnicy Ostrowa i Sięganowa a noszące nazwę „Budownictwo letniskowe: syntetyczna charakterystyka poszczególnych realizacji". Są tu wyszczególnieni właściciele wraz z adresami, jest podany rodzaj władania, rok zabudowy, powierzchnia całkowita, charakter wzniesionej na działce budowli, jej wyposażenie, a także zgodność realizacji budowy z obowiązującymi przepisami. *W sumie w Kolumnie sprzedano 102 działki pochodzące z prywatnego podziału.* Różnica pomiędzy działką nabytą z Państwowego Funduszu Ziemi a tą od właściciela jest taka, że na tej z PFZ należy w ciągu dwóch lat postawić dom, natomiast na ziemi kupionej od właściciela takiego przymusu nie ma. Stąd też często cała rodzina (ojciec, matka i dzieci) nabywają działki obok siebie, potem je łączą i wznoszą jeden wspólny obiekt budowlany, pozostawiając resztę terenu na pastwę zielska i przypadkowych krzewów. Praktycznie wielkość działki letniskowej nie powinna przekraczać 600 m kw., lecz są to jedynie pobożne życzenia tych, którzy opracowywali przepisy prawne.

Także sprawa posiadania jednego domu lub mieszkania (decyduje zameldowanie na pobyt stały) stała się także fikcją. Fikcją jest i to, że na wykupionych działkach wznoszą się jedynie domki letniskowe (budynek do 70 m kw. powierzchni uważa się za letniskowy, wszystko co przekracza tę normę — wchodzi tu powierzchnia wszystkich kondygnacji, galerii, poddaszy itp. — klasyfikuje się już jako dom mieszkalny). *Z reguły wznoszone są obiekty zajmujące ponad 100 m kw., a niektóre osiągnęły nawet 260 m kw powierzchni użytkowej. Właściciele tych domów są na stałe zameldowani w Łodzi lub Pabianicach. Część działek zagospodarowano bez zezwolenia, wznosząc na nich budynki.*

Ponieważ wielkości działek są ograniczone, rodzina *Podgórskich* z ul. Matejki 6, m. 37 kupiła ich aż trzy i w sumie ogrodziła 2 100 m kw., po dwie nabyli *Tokarzowie* z ul Grabieniec 11a, *Wosielowie* z Limanowskiego 42, *Banachowie* z ul. Marchlewskiego 47, *Noroiewscy* z Piotrkowskiej 172, *Bednarzakowie* z Cieszkowskiego... Część z nich pobudowała się, inne działki są tylko ogrodzone, choć od podpisania aktu kupna-sprzedaży minęło około 15 lat.

Tak jest w Kolumnie. Natomiast w pobliskim *Dobroniu*, dwa lata wstecz, dokonano komasacji gruntów w wyniku czego wydzielono 115 działek z PFZ. Są to działki dzierżawne na 99 lat, po 1 zł za 1 m kw. Miał nimi dysponować Urząd Gminny w Dobroniu, wkrótce okazało się, że przydziela je osobiście wojewoda sieradzki. Otrzymali te działki w większości łodzianie. Niestety i tu zostało pominięte prawo. Otóż zarządzenie nr 113 ministra rolnictwa z dnia 10 sierpnia 1971 r. w sprawie wydzierżawiania i wynajmowania nieruchomości PFZ (Dz. Urz. Min. Rol. nr 10, poz. 72) dotyczy wyłącznie obiektów o charakterze rolniczym i nie ma zastosowania do lasów i gruntów leśnych PFZ. *Tak więc zawarte na podstawie wyżej wymienionego zarządzenia umowy w sprawie wydzierżawienia lasów i gruntów leśnych PFZ z osobami fizycznymi są sprzeczne z prawem.* A na działkach rozdzielonych przez wojewodę rośnie las lub zalicza się je do gruntów leśnych.

Nie mniej ciekawie przedstawia się sprawa działek położonych we wsi Rokitnica. Tu rolnicy samowolnie podzielili grunty i nie oglądając się na urząd oddali je w dzierżawę na podstawie ordęcznie spisanej umowy. Stąd też m.in. jednym z właścicieli takiej działki jest obywatel szwedzki, zamieszkały w Fagesta. I co z tego, że przepisy zabraniają samowolnego podziału i sprzedaży gruntów? Kogo interesuje fakt, że setki hektarów ziemi znalazło się poza uprawami?

Podobne nadużycia zostały popełnione w Ostrowie koło Łasku (17 działek) oraz w Sięganowie (5 działek). A ile w całym województwie sieradzkim? Na marginesie należy wspomnieć, że działki z prywatnych podziałów gruntów są znaczne, wynoszą od 300 do 12.500 m kw.

W Kolumnie trafiam do mieszkania byłej pracownicy FWP, która przez wiele lat zarządzała budynkami wczasowymi, a dziś jest na rencie.

— *To, co stało się z Kolumną* — mówi — *zakrawa na skandal. Mieszkam tu, co prawda dopiero trzynaście lat, ale w ciągu tego czasu wycięto tu co najmniej połowę drzew. Kiedyś było tu cicho, przyjeżdżano tu na odpoczynek, na leczenie. Najczęściej zjeżdżali ludzie po zawałach, chorzy na gardło, z wysokim ciśnieniem. Wokoło były lasy, suche powietrze, spokój. A teraz? Drzew zostało niewiele, słychać każdy samochód jadący trasą E-12. Zresztą tych samochodów w Kolumnie także przybyło, jeżdżą i dymią. Niech pan wyjdzie i się rozejrzy: przed domami, w lesie myje się samochody różnymi środkami chemicznymi, spływa to na korzenie, drzewa usychają.*

— *Las jest zagrożony przez kornika* — dodaje jej syn. — *Drzewa w Kolumnie tak czy owak skazane są na zagładę.*

— *Dodajcie do tego śmieci* — wtrąca trzeci z domowników. — *Obraz będzie pełny. Nasze lasy są zawalone puszkami, butelkami i papierem.*

Wzdłuż całej ulicy Armii Ludowej prowadzi chodnik-promenada aż do nowo wzniesionego przed paru laty zajazdu „Jamboł". Oczywiście nie jest to promenada umożliwiająca rekreację, bowiem, jak wspomniałem, ulica Armii Ludowej jest jednocześnie trasą E-12, która należy do najbardziej zatłoczonych i ruchliwych tras w kraju. W pochmurny dzień, gdy spojrzeć na tę trasę z wysokości centrum Kolumny w stronę „Jambołu", można dostrzec unoszącą się nad nią fioletowo-błękitną mgiełkę spalin. Kiedyś wzdłuż całej trasy wznosił się wysoki mur lasu. Dziś, jadąc od strony Łodzi, widzimy, że lasu pozostało niewiele, zastąpiły go budynki, a ten, co pozostał, jest jakiś rzadki i przetrzebiony. A przecież Kolumna, siłą rozpędu, nadal uchodzi za miejcowość wypoczynkową. Co roku przybywa tu kilka tysięcy ludzi na wczasy FWP, mają tu swoje ośrodki zakłady produkcyjne Łodzi, Pabianic i Zgierza: „Pamotex", „Zeta", MPK, UPT, „Polmerino", „Olimpia", w czasie wakacji przebywa tu około 2,5 tysiąca dzieci na koloniach.

Niegdyś przyjazd do dawnej „Palestyny" miał swoje racje, ale dzisiaj? Czego można szukać w rzadkich lasach, w rzece, w której były niegdyś nawet raki, a dziś ryba jest rzadkością? *Kolumna wymaga radykalnej pomocy, wymaga natychmiastowej akcji ratunkowej.* Nie przekonują mnie słowa naczelnika miasta i gminy, że w Kolumnie wszystko jest w jak najlepszym porządku że kiedy pociągnie się nitkę wody z Łasku, wówczas już nie będzie właściwie żadnych istotniejszych problemów do rozwiązania. Kolumna była i pozostanie miejscem odpoczynku dla łódzkich i pabianickich włókniarzy, lecz by mogła spełniać tę rolę, trzeba jej przywrócić, bodaj w części, dawny wypoczynkowy charakter. Co z tego, że nie można budować na terenach zalesionych, że każdorazowo należy przedstawiać do zatwierdzenia plan z naniesionymi drzewami? Jest to przecież zakaz dla małego Jasia, bowiem Jan wie, że dwa kilogramy soli na wiadro wody wystarcza, by najroślejsza sosna straciła kolor, osypała się i uschła. Aceton, kwas solny, ocet — szybko i skutecznie załatwią każde drzewo. Na wiosnę, na działkach budowlanych zalesionych, nagle usychają drzewa. Usychają w dość charakterystycznych układach: akurat w prostokącie lub kwadracie. Teraz trzeba tylko sprowadzić służbę leśną, która stwierdzi ich śmierć i wyda zezwolenie na ich usunięcie. Jeśli potrzebny jest dojazd do takiego domku, to można mieć pewność, że kolejnej wiosny uschnie parę sosen w paru rzędach, które trzeba będzie usunąć. I w taki oto prosty sposób na działkach zalesionych opróżniają się miejsca pod kolejny dom i kolejną drogę dojazdową, którą szybko pokrywa się betonem lub asfaltem.

Natomiast rację ma naczelnik miasta i gminy Łask zabiegając o rozbudowę szkoły podstawowej w Kolumnie, bowiem jest tu prawie 600 dzieci, a w starej szkole mieści się ich zaledwie 400; rację ma mówiąc, że potrzebne jest przedszkole, bo stare jest za ciasne i nie posiada odpowiednich warunków dla pracy z dziećmi; rację ma mówiąc, że w województwie sieradzkim właśnie w Łasku-Kolumnie najdłużej czeka się na mieszkanie; rację ma dementując plotkę, że w dwóch budynkach mieszkalnych przy ulicy Harcerskiej, które nazywa się tu „Akwarium", mieszkają same grube ryby. Sprawdzałem, nie mieszkają. Natomiast mieszkają tu lekarze, ale i spawacze, inżynierowie, ale i leśnicy, adwokaci, ale i operatorzy dźwigowi, ekonomiści, ale i kierowcy, betoniarze, nauczyciele, technicy. I pracują w pobliżu: w Kolumnie, albo w Łasku.

Kolumna — to skomplikowany organizm, jedyny w swoim rodzaju, posiadający własny koloryt, charakter i dobrą sławę ośrodka wypoczynkowego. Nie można dopuścić by te walory zostały zaprzepaszczone. Niechże pozostanie nadal zielonymi płucami, a nie stanie się jeszcze jednym skupiskiem domów odgrodzonych od siebie asfaltowymi ulicami, garażami i brudnymi ściekami.

DARIUSZ SŁOMA

# wracamy...

Przyjechało ich do Łodzi bodaj ze czterdzieści osób. Białe koszule, odświętne garnitury — takie przechowywane w szafach na szczególne okazje, wyczyszczone na najwyższy połysk buty. Na honorowymy miejscu prezydialny stół i przybrana w narodowe barwy mównica.

Nie znali się wszyscy. Po cichu wymieniali więc uwagi, dopytywali się kto skąd przyjechał i kogo reprezentuje. Tu i ówdzie na małych karteczkach zapisywano kwestie, które miały być rozwinięte w trakcie zebrania. **„Wracamy do pełnej samorządności"** — głosiło hasło na ścianie. Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Przedstawicieli Spółdzielczości Mleczarskiej obradowało ponad siedem godzin. Nikt nie narzekał na nudę, chociaż mówcy w wielu przypadkach nie dopowiadali do końca tego co chcieli powiedzieć albo po prostu nie potrafili się precyzyjnie wysłowić.

Było jednak czego posłuchać...

Na wstępie zaproponowano, by przewodnictwo spotkania sprawował jeden z młodszych rolników. Bo i chłopak rzutki — argumentowano — i wie, po co mu głowa wyrosła. Nie było głosu sprzeciwu. Odczytano więc regulamin obrad oraz przyjęto protokół z poprzedniego zebrania.

Przystąpiono do wybierania komisji — odczytywano kandydatury. Wyczytywani pokazywali się zebranym i mówili jaką wieś czy zlewnię reprezentują.

— **No** — buczał w ostatnich rzędach obywatel z mocno zaczerwienioną twarzą — **takiej demokracji przy zgłaszaniu kandydatur jeszcze nie widziałem...**

— **Dobra, zgadzamy się** — pokrzykiwała sala zgodnie, gdy przewodniczący pytał, kogo jeszcze dopisać, kto jest za, kto przeciw i kto się wstrzymał. Niektórzy dodawali. — **przecież my tu sami swoi, wierzymy im...**

Jeszcze tylko zasłużonym wręczono odznaki i już rozpoczęła się właściwa, najbardziej przez wszystkich oczekiwana część spotkania.

Informacja o aktualnej sytuacji w **Zakładach Mleczarskich w Łodzi** mogła być zaskoczeniem tylko dla ludzi spoza branży. Wiadomo przecież nie od dziś, że sytuacja gospodarcza kraju miała zawsze wpływ także i na stan całego przemysłu mleczarskiego. Dlatego właśnie odczuwać zaczęliśmy ostatnio okresowe braki w pełnym zaopatrzeniu rynku w mleko i jego przetwory: np artykuł tak pozornie od mleka odległy jak cukier — a raczej jego niedawny brak na rynku — wpłynął na wysokość produkcji tak poszukiwanych twarożków smakowych czy lodów.

Specyficzna, wyjątkowo trudna sytuacja w jakiej pracuje główny dostawca mleka i jego przetworów w aglomeracji łódzkiej — pogorszyła się jeszcze bardziej, gdy wraz z reformą administracyjną dokonano podziału terenów „mlekodajnych", mechanicznie oddzielając je od swojego wieloletniego odbiorcy — czyli Łodzi. Nikogo przy tym jakoś nie za bardzo zmartwił fakt, że potężne ilości mleka zaczęto nagle dowozić z dalszych odległości...

Niepokoić może także fakt, iż zakłady przy ul. Omłotowej wyraźnie i odczuwalnie zestarzały się, co powoduje konieczność budowy nowego obiektu tego typu, o znacznie większej zdolności produkcyjnej i lepszych warunkach pracy. Także oddziały w Kraszewie i Nowosolnej, dzielnie wspomagające bazę w Łodzi — z olbrzymim trudem mogą wywiązać się z nałożonych nań zadań. Przeprowadzona nie tak dawno własnymi siłami rozbudowa wspomnianych zakładów przy ul. Omłotowej czy też realizowane właśnie podłączanie do miejskiej sieci ciepłowniczej — to tylko dwa z wielu przykładów działań, mających na celu doraźną poprawę istniejącej sytuacji.

— **Nie grozil nam i nie grozi** — zakończył dyrektor — **strajk załogi. W ciężkich warunkach pracują tu ludzie, którzy wiedzą jakie znaczenie ma regularne zaopatrzenie miasta w mleko i jego przetwory. Niestety, nie możemy nic zrobić w przypadku „strajku" maszyn. Człowiekowi się wytłumaczy, poprosi, przekona — maszyna tego nie zrozumie. Jeżeli na 12 wózków, bez których zakłady po prostu nie mogą funkcjonować — w niektóre dni sprawnych było z powodu braku części zamiennych czy ogumienia zaledwie cztery, to autentycznie nie wiadomo było za co się najpierw łapać...**

Do dyskusji nikogo nie trzeba było zapraszać. W jednej chwili znalazło się tylu chętnych, że przewodniczący długo ustalać musiał kolejność wystąpień.

**GŁOS I: — ja pytam się, kiedy będziemy mieli w... zlewnię z prawdziwego zdarzenia? To co teraz widzimy, to tylko śmiech, przerobiliśmy przecież kiedyś ze starej kuźni. A od kiedy z SKR doczekać się będzie można pomocy? Wiem, że maszyny u nich stoją bo części nie ma, ale dlaczego większość ciągników tam jest z tych najsłabszych i najmniejszych? Dlaczego MPO czy MPK dostaje największe „Ursusy"? Czy rzeczywiście tak nie są im najbardziej potrzebne? Słyszałem kiedyś, że „Fergusony" mają być rewelacją dla rolników — to dlaczego nie chcą ich kupować na wieś? Albo sprawa przydziałów węgla za mleko: mieliśmy, my specjaliści dostawać opał wysokiej jakości. I co? Nic, dają pół na pół z brykietem. Czy my nie mamy nadal za dużo ludzi, co to nadstawiają kieszenie do napełnienia portfela, a pierś wypinają do medalu. Robić za to nie ma kto...**

Poganiany bezceremonialnie z sali (była umowa, że głos nie może przekraczać 10 minut), dopingowany przez przewodniczącego i następnych ochotników — młody rolnik, żegnany zresztą burzliwymi oklaskami powrócił na salę. Zaraz odczytano listę kandydatów do przewidywanej Rady Nadzorczej. Zgoda? — pyta przewodniczący Nie — krzyczy sala, nie zgadzamy się! Dlaczego? Nie wszystkie zlewnie są reprezentowane, z jednych jest po trzech kandydatów, a z innych nie ma wcale!

No i zaczęło się na dobre: pokrzykiwania, tumult, zgłaszanie nowych kandydatur, wycofywanie innych. Najpierw pięć osób mówi jednocześnie, potem pada kilka nazwisk, zaraz zresztą się je wycofuje (były wcześniej na liście), znowu ktoś zgłasza, znowu trzeba skreślać.

— **Zgoda?** pyta przewodniczący — **czy jeszcze są kandydatury?** — Cisza. — **No to odczytuję** — zaczyna, ale nie kończy.

Znowu słychać jęk na sali.

— **Nie zgadzamy się** — woła ktoś — **bo nadal nie ma ani jednej osoby z...**

— **I jeszcze od nas też nie ma** — dodaje kobieta.

— **No to zgłaszać** — proponuje przewodniczący.

— **W takim razie zgłaszam sama siebie** — dostojnie odpowiada niezadowolona, co skwitowane zostaje szmerem dezaprobaty.

Z rozpędu zakwestionowano wybory delegatów na szczeblu najniższym, zgłoszono ludzi, którzy w ogóle nie byli na sali. Część chciała głosowania jawnego, inni upierali się przy tajnym. Nikt nikogo nie słuchał każdy wygłaszał swoją kwestię. Dobrze gada — komentowano w jednym przypadku. Siadaj — krzyczano w innym. Nawet kobieta, która sama się zgłosiła — poprosiła o skreślenie z listy W końcu kandydatury ustalono. Powrócono do dyskusji.

**GŁOS II: — o wielu sprawach już mówiono, o paszach nie będę — bo szkoda języka strzępić. Ja o prądzie: do nas ciągną światło z Poddębic, mieszkamy w sieradzkim województwie. I kto mi wytłumaczy, dlaczego najczęściej wyłączają nas od 17 do 19? Czy ci co to ustalali nie byli nigdy na wsi? O tej porze pozbawić wieś prądu? A to, że w sąsiedniej wsi lampy uliczne palą się w biały dzień — to jest w porządku? Kto tego pilnuje?**

**GŁOS III: — takich bzdur jak ostatnio wyczytałem w jednej gazecie — to już dawno nie było. Jak można oceniać, że po grudniowym wycieleniu krów będzie więcej mleka? To pisał szewc, kominiarz — czy specjalista?**

Po rozdaniu list kandydatów do Rady Nadzorczej długo i namiętnie ustalano, ile osób **można skreślić, ile trzeba, by** głos był ważny itp. Potem dyskusję zwnowiono.

**GŁOS IV: — wszyscy tu o produkcji, wydajności, maszynach — a o ludziach na wsi ani słowa. Zastanowił się ktoś może co to znaczy pojęcie urlop macierzyński na wsi? A renty dla rolników — byle urzędniczyna przepracuje parę lat i dostaje więcej niż rolnik harujący od świtu do nocy przez lat czterdzieści czy pięćdziesiąt! Słyszał to kto, byśmy targowali się o ośmiogodzinny dzień pracy czy wolne soboty? Jak ci co o tym decydują nie przyjdą wreszcie do przytomności — to niebawem dojdziemy do tego, że pieniądze będziemy nosić w workach, a żywność pomieści się nam w portmonetkach....**

**GŁOS V: — niech ten co wyliczył, że 10 kg paszy ma wystarczyć do produkcji 100 litrów mleka — bo takie otrzymujemy przydziały — stanie tu przede mną, to ja mu powiem gdzie powinien głowę nosić! I mnie się mówi o zwiększaniu produkcji mleka? Oświadczam tu zebranym, że po wielu latach ciężkiej pracy staję przed groźbą likwidacji swojego specjalistycznego gospodarstwa — nie będę patrzyła, jak to wszystko marnuje się na moich oczach...**

**GŁOS VI: — chyba już niebawem zaczniemy wszyscy likwidować swoje gospodarstwa specjalistyczne. Wiemy, co mówią naukowcy z rozmaitych instytutów na temat cen mleka. Natomiast ja, prosty chłop, oświadczam im, że z moich wyliczeń wynika, iż wyprodukowanie jednego litra kosztuje w granicach 16—20 złotych. Dlatego byłoby dobrze, gdyby wszystkie zmiany miały swój początek na dole, u nas, pośród ludzi — i tu były konsultowane. Ustalenia gdzieś wyżej — niczego dobrego nam do tej pory nie dały, tak zresztą jak sztuczny podział administracyjny kraju, bez mała na parafie. Jak tak może być?...**

**GŁOS VII: — pomyśleć trzeba i o wozakach. Przestaje się po prostu ludziom opłacać jazda furmanką po jedną bańkę mleka — trzeba im dać albo dodatek kilometrowy, albo zmniejszyć podatek. No i może by ktoś pomyślał o mniejszych bańkach — bo często w „dwudziestce" jedwie chlupocze na dnie te pięć litrów, zajmując niepotrzebnie tyle miejsca na wozie. O paskach i rozliczeniach mówić nie będę — bo i tak nie wiem, o co tu chodzi, nic nie widać. Zresztą przyniosłem parę sztuk, kto chce — może się przyjrzeć...**

**GŁOS VIII: — po podziale administracyjnym trafiliśmy do województwa piotrkowskiego — ale mimo to przez zakład w Kraszewie mleko jedzie do Łodzi. To ja się pytam: po co było nas przekazywać do Tomaszowa Mazowieckiego? Oprócz dodatkowej produkcji papieru dodatkowych zestawień, faktur i rachunków — nie mamy z tego żadnej korzyści! To tak się nas traktuje? To za takich głupców uważa? A my przecież pamiętamy jeszcze, bo tego i w szkołach uczą, że kiedyś niesiono na sztandarach hasło „Żywią i bronią", to poeta pisał „chłop potęgą jest i basta"! Dlatego chcemy, by nas i nasze problemy dostrzegano, byśmy byli tam, gdzie nas chcą i gdzie my chcemy być! Oderwano nas od macierzy, od Łodzi — trafiliśmy do macochy, która nami się nie interesuje, która nawet nas wysłuchać nie chce. To my za takie traktowanie pięknie dziękujemy!**

**GŁOS IX: — chcemy być przypisani do Łodzi, mimo iż jesteśmy w województwie piotrkowskim. Nie dostajemy tu ani sera, ani masła. Jedynie na początku, chyba dla zamydlenia oczu — było coś takiego. Jak się nas traktuje, jak piąte koło u wozu — to odchodzimy...**

**GŁOS X: — jak ja słyszę, że brakuje mięsa, to aż mnie coś trzęsie w środku. Zbyt wielu z nas doświadczyło trudności w momencie odstawiania żywca by słuchać obojętnie takich bzdur. A to jeszcze zamknięte w skupie, a to już nie pracują, a to ktoś wyszedł, a to z I klasy nie wiadomo czemu robi się III — oszaleć można! Stara to chłopska prawda, że dwie dobre krowy dają więcej mleka niż cztery liche, tylko że jak z konieczności te liche przetrzyma się do wiosny, to nadają się tylko na padlinę. A odstawić nie można — tyle kłopotów. Toż dzisiaj rolnika, co mięso sprzedaje — powinno się chyba z orkiestrą przez wieś prowadzić, a nie kłody rzucać pod nogi.**

**GŁOSY XI i XII: — my ze skierniewickiego, też chcemy powrócić do Łodzi. Tak jak teraz to zupełnie nie można pracować.**

**GŁOS XIII: — o naszych dzieciach nikt już nie myśli. Aż wierzyć się nie chce, że wiele z nich nie wie co to Dziadek Mróz, czy zabawa noworoczna. A kolonie, obozy, zimowiska? Nie rozumiem także, dlaczego my płacimy więcej za prąd. Co to — drożej kosztuje jedna kilowatogodzina przekazywana na wieś, a taniej ta do miasta?...**

**GŁOS XIV: — niech nam tu nikt więcej nie zakazuje mówić o przyłączeniu do Łodzi! We wsi kazali nam głośno powiedzieć że chcemy wracać do dawnego podziału i tu mleko dostarczać! Nie będziemy tłuc się kilometrami tylko po to, by okrężną drogą mleko i tak trafiło do Łodzi...**

**GŁOS XV :— jak już będzie na powrót spółdzielnia, to nie może być dyrektora — tylko prezes. Tak jak było dawniej!**

**GŁOS XVI: — wychodzi chyba na to, że my jesteśmy gorsi od kryminalistów. Jak komu Kolegium przyłoży 3,5 tysiąca kary — to mogą mu to zamienić na 35 dni paki — czyli sto za dzień. A jak rolnik choruje, to dostaje 50 złotych za dzień. No to jak w końcu jest?...**

Po sześciu godzinach obrad — zaprezentowane zostało stanowisko **Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej.** Podkreślono, że proponowana zmiana, zgodnie z duchem hasła przewódniego zebrania — nie jest żadną reorganizacją. To po prostu udoskonalenie pracy i przywrócenie dawnej więzi z dostawcami terenowymi.

* * *

Kiedy kilka lat temu zlikwidowana została samodzielnie działająca spółdzielnia mleczarska — tu w Łodzi fakt ten pominięto właściwie milczeniem Zatracona została jednak, a raczej w odczuwalny sposób ograniczona rola samorządu mleczarskiego na wsi. Wytworzyła się przy tym paradoksalna sytuacja, kiedy to poszczególne zlewnie podlegające innemu województwu — kierowały mleko do Łodzi. Przy tym łodzianie nie mieli — bo nie mogli mieć żadnego pływu na działalność tych placówek.

To właśnie z tego powodu przez kilka tygodni dostawcy jednej ze zlewni na swój sposób zastrajkowali nie przywożąc tam mleka. I dlatego właśnie, w tak spontaniczny i żywiołowy sposób domagano się powrotu do dawnej i sprawdzonej już struktury Spółdzielni Mleczarskiej i przyłączenia do niej terenów dawnego województwa miejskiego. Domagali się tego stanowczo przedstawiciele licznych wsi — popierali ich rolnicy, którzy pozostali głównymi dostawcami Łodzi. Chcieli tego wszyscy zebrani.

Ostatni głos jaki zanotowałem na tym zebraniu pochodził od jednego ze starszych pracowników zakładów w Łodzi.

**— Panie** — powiedział — **ten kraj opanowany został przez klan „pieczątkarzy". To oni robią najlepszy interes na tych ciągłych zmianach i reorganizacjach. Wiadomo, pieczątki muszą być — to i oni robią je prawie wagonami. To jest dopiero interes!**

Kilka osób starych pieczątek jednak nie wyrzuciło. Od nowego roku będzie jak znalazł.

*Foto: Archiwum*

KONRAD FREJDLICH

# Poemat dla dojrzałych

## 1.

Kiedy Ważyk układał „Poemat dla dorosłych"
nie mieli jeszcze imion ani twarzy
nie figurowali w rejestrach przeznaczeń
nie byli nawet drobiną czułości
trzepoczącej w siatce żelaznego łóżka
nie zapowiedziała ich gwiazda ani choćby piorun

Zrodzili się nagle nie chciani od ojca
z matki prawdy rzuconej przez niego występnie
więc bunt był im akuszerem
gniew uczył ich mowy

Takim językiem mówi się w ogonku
w tramwaju zawiera się porozumienie
przezroczyste słowa z żyłkami ludzkich trosk

I nie wierzyli słowom poprzerastanym znaczeniami
w których się wije tłusty robak fałszu

I nie wierzyli tym co piszą historię
sami zaczęli ją mozolnie tworzyć.

## 2.

Wojna odchodziła od ruin i cmentarzy
z jej wyszczerbionych ust cuchnęło zgnilizną grobów
jej powykręcane stopy chrzęściły żelazem gąsienic
nie mieli jeszcze imion ani twarzy
i Europa była jeszcze pogorzeliskiem
tylko w konarze nocy gniazdo uwił księżyc
Wtedy
z zawirowania płatków śniegu w krwawą łunę
wzbił się zamiecią orzeł z oszronionym skrzydłem
i w dół koronę cisnął
płonącą obręcz krajobrazu
żeby ją przetopić dla dobra rzeczypospolitej

## 3.

Pociągi wyznaczały kierunki świata
jeździły na zachód
i na pustych peronach
słońce było tarczą sygnałową

ciernie drutów kolczastych rosły wzdłuż torów
jeszcze
wilcze oczy rozjarzały się w mroku monoklem
jeszcze
ze snu wyrywał terkot broni maszynowej
budzik zdradziecki

Palcami nawykłymi do robienia skrętów
żołnierz rozkruszył grudkę odzyskanej ziemi
oddzielając czerń życia od światłości śmierci
i na wieki zawarł przymierze z równiną
po grób jutrzejszy
i po bochen chleba
równo dzielony na skibki lemieszem

## 4.

Widmo krąży po Europie
w Polsce znalazło gniazdo
ma odtąd ludzkie kształty i wyszarzałe ubranko z unry
tylko dla niepoznaki ma spracowane dłonie
nocami wyje do pięcioramiennej gwiazdy
Dopadli upiora w rynku
skrzesali ognia z obrzynka
poczuli zaduch smoły
i swąd piekielnej siarki

Rano nadeszli ludzie znaleźli trupa mężczyzny
zabity miał jakieś trzydzieści lat
pochodził z Warszawy
minęła go kulą niemiecka na barykadzie Powiśla
w Pruszkowie oszczędził go tyfus
włosy mu tylko przetrzebił
w rozerwanej na piersi kurtki
wystawał nie dokończony list:
„Kochana Halszko
tu wszyscy ludzie dobrzy"

## 5.

To miasto zlizał z ziemi krwisty jęzor ognia
łuny wychłeptał wściekle wyszczerbił kamienie
lecz poświadczało ciągle swoimi ranami
że choć jest powalone ale nieśmiertelne

Byłem tam chłopcem dotknąć ruin jego świętych
odprysk cegły ukryłem w kieszeni ukradkiem
dłoń mi parzył jakbym popełnił świętokradztwo
bo wszystkie cegły miały barwę krwi zakrzepłej

Byłem tam później uczniem i prezydent Bierut
wszedł do sali z płonącą pośrodku choinką
i przeciąg wszystkie świece rozjarzył gwałtownie
nie żarem ognia bladym lecz blaskiem idei

Bywam teraz w Warszawie mijam napuszone
ulice skwery place świadków tylu śmierci
że ich dumna wyniosłość ze szkła i betonu
wśród bezimiennych mogił jest krzywoprzysięstwem

Zaprzecz miasto murami zaprzecz swym jestestwem
po trzewia dawnych ruin wchłoniętych w arterie
niech twoja duma będzie wieków zatroskaniem
bo cegłę z cegłą łączy ból śmierć i nadzieja

## 6.

Ten język polski ze stałym akcentem
co nie chce się ugiąć i brzmi suwerennie
podstępne reguły gramatyk oraz ortografii
gdzie myśl się niebezpiecznie weiska między słowa
unikając pułapek ustalonych znaków

Po cóż to wszystko
tylko z tym kłopoty

Po cóż księgi tradycji
krzepnącej na mrozie

Wystarczą plastry statystyk zbieranych przez trutnie
z wnętrza sztucznych kwiatów co nigdy nie więdną
nie mają zapachu nie zmieniają barwy
kodeksy prawd stalszych niż egipskie mumie

Cyfra jest tworem doskonalszym niż litera
jest abstraktem wieczności
kwintesencją ładu
surogatem nieskończonego

Cyfry nie tracą sensu
można je przesuwać
dowolnie
w kalejdoskopie pożądanych znaczeń

Cyfrom można przyporządkować losy jednostek i narodów
wyrazić je
w miarach
w masach
oraz liczbach

Jedyny szkopuł że rachunek krzywd
można także wystawić cyframi

## 7.

Przywykliśmy rodzić się w antyseptyce cmentarzy
na śmierć odporni po nieczułość grobu

Biegły w akuszerii czerw w świat nas wprowadził
między wrześniem i sierpniem gdy pachną najmocniej
ciała na pleśń i męstwo podatne jednako

Przywykliśmy rodzić się za późno przedwcześnie
gdy niebo całe w strupach pod bandażem nocy
a pamięć trzeba od kości oddzielać

Listopady styczniе sierpnie maj zwycięski
jaki jeszcze kalendarz da nam Europa

Beethoven zawsze miał w Polsce słuchaczy
symfonia Es-dur zwłaszcza przez to nieśmiertelna
że ją u nas matki od pokoleń
nieświadomie nuciły synom do kołyski

## 8.

Październik miał smak soli attyckiej z domieszką goryczy
która sączyła się w usta rozwarte do krzyku
gdy śpiewaliśmy „Sto lat" ochrypli na wietrze
przynoszącym spóźniony zapach okwitłych czereśni
Sto lat to wieczność z pomarszczoną twarzą
gdy czas wytrwale kartkuje księgę zdarzeń

Nie można już wrócić do wersetu
urwanego w pół słowa
w pół życia
współświadomie

Tylko na koniuszkach palców otartych do krwi
zostaje szczypta pamięci
niezbywalny kryształ

## 9.

Śmierć przychodząca z nieba jest zwielokrotniona
o obłok rozstrzelany pod zimną ścianą chmur
o wypaloną gwiazdę co spada płatkiem sadzy
o nagły przestrach ptaka co musiał przerwać lot

Nie pytaj za co kiedy cię kula dosięgnie
twój zabójca też nie wie za sterem śmigłowca
umarł chwilę po tobie trafiony śmiertelnie
odłamkiem sumienia co nie zna litości

Wspólna wasza Golgota choć różne są winy
inna będzie twoja i jego kotwica
twoja puści korzenie i wyrośnie drzewem
jego zaryje w piachu co rodzi kamienie

Kto raz przelał krew brata nie znajdzie przyjaciół
psy będą go omijać wilk zejdzie mu z drogi
ziemia spod nóg ucieknie robak wzgardzi ciałem
w wiecznym rozkładzie teraz i po śmierci

## 10.

Bożek inwestycji nie wie co wytchnienie
każe wciąż wznosić nowe ołtarze
obelisk dymu sięga już nieba
czy filar zniesie ciężar błędnych słońc

Fałszywy kapłan za biurkiem planisty
odmawia modły dzwoniąc wprost do boga
cement i wapno
stal i żelazo
spadają z brzękiem do puszki ofiarnej

Racja stanu wymaga właśnie racja stanu
napuszone słowa i gest do kamery
lepsze kolejki w sklepach niż pod pośredniakiem
znów cement wapno stal i żelazo

Wtem zawiał wiatr od morza
i wygasił ognie
i poobalał żarłoczne bałwany

Fałszywy kapłan ukrył się pod biurkiem
bo jego ornat był tylko z papieru

## 11.

Twarze mają zmęczone
na dłoniach odciski
nie potrafią pozować
nawet do fotografii

Nazwiska są nieważne
poznałem ich imiona

Ludzie spracowani
ludzie niepotrzebni
ludzie pozbawieni pomocy
ludzie opuszczeni
ci których oszukano
których spotkał zawód
którzy daremnie wierzyli
którzy czekali

Solidarni

# SŁOWO O MEDALU

Żołnierze polskiego Września mają otrzymać medale. W ten sposób po przeszło czterdziestu latach odda się im sprawiedliwość. Myślę w tej chwili o tych kolegach i towarzyszach, z którymi razem przemierzałem we wrześniu pola chełmskie, lubelskie i zamojskie. Przypominam ataki samolotów z czarnymi krzyżami na naszą kolumnę. Mam przed oczami tych, którzy zginęli. Wielu spośród przyjaciół straciłem. Pamiętam o tych, którzy zostali ranni. Prawie w każdej książce piszę o tej polskiej jesieni. „Powtórną śmierć Boryny" zaczynam od sceny pożegnania młodego człowieka, który idzie na wojnę i po raz ostatni wymienia uściski z chorym ojcem. W „Dziadku i Róży" jest niejeden rozdział poświęcony Wrześniowi. Mówię tam także o tych, którzy, jak mój starszy kolega Władek Kryczka, przemierzywszy wszystkie drogi bojowe na Zachodzie i Północy, pozostał w Anglii i nie powrócił do kraju. Tam zmarł po ciężkiej chorobie i tam jest jego grób. Narrator tej książki wspomina: „A to jest pamiątka bardzo dziś cenna i rzadka — orędzie o wybuchu wojny z Niemcami. Czytaliśmy na głos słowa „o napaści odwiecznego wroga Polski na nasze granice", o tym, że jakiekolwiek będą koleje wojny, zwycięstwo zostanie przy nas. Każda litera jest dzisiaj nabrzmiała krwią. Ten, kto układał te zdania, nie wiedział, jaką treścią się one wypełnią. Narrator miał kartę mobilizacyjną koloru niebieskiego, a tych nie zdążono jeszcze powołać. Postanawia więc — jak tysiące innych — szukać wojska. Przeszedł wraz z kolegami pół Polski i dotarł do Chełma. „To jest ten las, do którego dotarłem. Miasto nazywa się Chełm. Sosny tutaj rosną rzadko. Nie dają żadnej osłony przed słońcem, ich pnie są wyschnięte. Łuski opadają za lada dotknięciem. Ziemia pokryta jest suchym igliwiem. Powietrze nagrzane i pachnie żywicą. Po lesie chodzą bezładnie ludzie. Kapitan, do którego mam się zgłosić, urzęduje przy stoliku pod namiotem. Odbiera ode mnie książeczkę wojskową, przystawia pieczątkę, stawia zamaszysty podpis. Od tej godziny jestem zmobilizowany. Kapitan odsyła mnie do drugiego oficera, ten wręcza mi pięćset złotych, potem przekazuje mi komendę nad grupą ludzi, takich samych rozbitków jak ja... Nie czuję się dobrze w roli dowódcy. Ale ci chłopcy są posłuszni. Ten las pod Chełmem mimo pozornego bezładu sprzyja odprężeniu. Siedzę oto z moimi ludźmi, przygotowujemy się do odmarszu, pobieramy jeszcze suchy prowiant. Nad nami kołyszą się łagodnie sosny, nie słyszymy warkotu samolotów".

Te relacje są odbiciem moich własnych przeżyć. W domowych zbiorach posiadam pamiętnik jednego z moich przyjaciół, przed wojną podporucznika pułku piechoty stacjonującego w Łodzi, który spisywał swoje wrażenia od pierwszego dnia wojny aż do kapitulacji. Wykorzystałem ten pamiętnik i wtopiłem go w materię powieści „Narodziny Gerty". Oto chwila kapitulacji: „Przychodzi wreszcie dwudziesty siódmy września. Chcemy się przebić na Węgry. Ale sytuacja jest beznadziejna. Pierścienia niemieckiego nie da się przebić. Trzeba złożyć broń! Jakie to bolesne. Major chce walczyć ze swoim baonem, chce tworzyć partyzantkę. Zdecydowali jednak dowódcy. Po południu jesteśmy świadkami bolesnego rozkazu. Dyktuje generał Piekarski. Pisze szef sztabu.

Składamy broń z rozkazu dowódcy armii. Dowódca zwraca uwagę, że sytuacja jest bez wyjścia. Dziękuje żołnierzom, którzy tak długo i dzielnie walczyli. Przyjeżdża delegacja niemiecka: cztery samochody z białą chorągiewką. Jakże inne zetknięcie niż przed paroma godzinami jeszcze. A gdy wojsku rozkaz czyta dowódca, chłopcy się łamią. «Nie rzucim ziemi» — zaczyna śpiewać jakiś podporucznik rezerwy. Nie możemy skończyć śpiewu. Płacze cały baon. Wstrząsająca i pamiętna chwila. Nagle mój kapral, który na początku września chciał uciekać na front, zrywa się, rzuca granat do stawu, rzuca potem swój karabin. Wszyscy idą za nim. Huczą salwy granatów, strzelcy wrzucają broń do wody, byle nie oddać Niemcom. Niemcy patrzą zaniepokojeni i zdziwieni. Niemcy oficerów traktują na razie bardzo grzecznie. Ale potem przeżywamy upokarzający marsz. Po deszczu i chłodzie, bez jedzenia, wśród urągań rozkwaterowanych, po wsiach żołnierzy niemieckich. Idziemy przez Janów, Biłgoraj, Anielin do Ostrowca".

Bezpośrednio po Wrześniu odczuwaliśmy upokorzenie. Jeszcze długo ten osad niedobry truł nam dusze. Odzywa się jeszcze dzisiaj we śnie. Ale Wrzesień nabiera już innego znaczenia. Kapitulacji narodu nie było. Żołnierze składali broń, ale wewnętrznie nie kapitulowali. Nieważne są przegrane bitwy, ważna jest postawa moralna i patriotyczna społeczeństwa, a jakie jest społeczeństwo, tacy są jego żołnierze. Postawa żołnierzy Września jaśnieje takim blaskiem jak żołnierzy powstań narodowych, jak obrońców Olszynki Grochowskiej w czasie powstania listopadowego, którego stopięćdziesiątą rocznicę teraz obchodzimy. Wrzesień w naszej literaturze nie jest jeszcze do końca odkryty. Pisze o tym Stanisław Zieliński w szkicu „Wrzesień w pamięci i w prozie" (w tomie „Literatura w służbie ojczyzny", Wyd. MON, 1969). Autor „Ostatnich ogni", „We mgle wrześniowej" powiada, że są książki o Wrześniu, ale nie ma epopei. Jest to ocena wciąż aktualna. „Mógłbym przepisać — notuje Zieliński — z odpowiednich katalogów wszystkie książki o Wrześniu lub o Wrzesień potrącające. Nie zmieni to jednak mego zdania o obecnym stanie literatury pięknej o Wrześniu. Widzę autorów, nie widzę książki na miarę tematu". I dalej: „Książka o Wrześniu — lub ściślej: książki — staje się coraz bardziej potrzebna. Nie dlatego, że czasy niespokojne i że rocznice naglą, lecz dlatego, żeby wypełnić irytującą pustkę za plecami.

I nie ma to być książka pięknosłowa o wielkich przewagach wojennych, zaprzeczająca faktom i prawdzie historycznej. Winna to być książka o trwałych wartościach Września. To znaczy o upartej, twardszej niż śmierć polskości Polaków skazanych na Polskę i tylko na Polskę".

Uchwała o medalu za Wrzesień przywodzi na myśl (rocznica listopadowa tę myśl wywołuje) próby Lelewela ustanowienia w czasie powstania listopadowego (na sejmie w Zakroczymiu) „znaku zaszczytnego" pod nazwą „Gwiazdy Wytrwałości" dla tych, którzy wspierając powstanie „wytrwali w szlachetnym postępowaniu aż do stanowczego losów Ojczyzny rozstrzygnięcia". Ale powstanie już upadało. Nie doszło do uchwalenia odznaki, w zamian za to wydawano świadectwa tym powstańcom, którzy zdecydowali się iść na tułaczkę. Wzywano w tych „przedziwnych paszportach" (jak je nazywa Artur Śliwiński w książce pt. „Joachim Lelewel") inne narody, aby uchodźcę, który poświęcił wszystko, co miał drogiego, Ojczyźnie, „sercem braterskiem przyjąć chciały". Medal za Wrzesień jest ustanowiony w innych warunkach, jest medalem za rzeczywiste przetrwanie, a więc za te wartości, o których pisał Stanisław Zieliński, i które, miejmy nadzieję, znajdą swoje odbicie jeszcze w niejednej książce o polskim Wrześniu.

TADEUSZ PAPIER

# Andrzej Makowiecki URLOP

Był żołnierzem, spędzał w mieście swój pierwszy żołnierski urlop, i kiedy nadszedł piąty, ostatni dzień urlopu, miał już za sobą wszystko — nużące spotkania rodzinne, krótkie wizyty u kolegów, z którymi chodził kiedyś do szkoły, samotne spacery do miejsc, które kochał i za którymi tęsknił po nocach na twardym żołnierskim łożu, a także rozmowę telefoniczną z dziewczyną, która była akurat zajęta ważnymi sprawami.

Wszystko to żołnierz miał już za sobą, i teraz, ostatniego popołudnia, siedząc na ławce w centralnej dzielnicy miasta, myślał o piwie.

Do żołnierza przysiadł się staruszek o wyblakłych troskliwych oczach; jakiś czas tkwił w milczeniu wspierając dłonie na rzeźbionej rączce laski; potem zapytał:

— *I co tam słychać, młody człowieku?*

— *Gdzie?* — zdziwił się żołnierz.

— *W wojsku.*

— *W wojsku* — powiedział żołnierz — *jest dobrze.*

— *Wyżywienie jest dobre?*

— *Dobre.*

— *A musztra?*

— *Musztra też jest dobra.*

— *Tak myślałem* — powiedział staruszek. — *Co jak co, ale wojsko zawsze mieliśmy dobre.*

Żołnierz uniósł daszek czapki i ściągnął ręką pot, który zalewał mu czoło. Strzelił palcami, otarł je w spodnie i wyłuskał z kieszeni papierosa. Paląc, obserwował słoneczną stronę ulicy, po której przetaczały się tysiące ludzi Długo już obserwował ulicę i niektóre twarze, krążące tam i z powrotem: od starego kościoła aż po zieloną ścianę parku, zaczęły się powtarzać. Powtarzali się panowie w białych garniturach i panie w szerokorondych kapeluszach. Powtarzały się gromadki świątecznie przyodzianych, liżących lody dzieciaków i falangi długowłosych chłopców, z których co czwarty wymachiwał tranzystorowym radioodbiornikiem. Powtarzały się opalone dziewczyny w zwiewnych sukienkach, pod którymi dało się nieraz zobaczyć drażniącą biel stanika, albo niczym nie skrępowane, drgające gule piersi.

— *Dorodna młodzież!* — powiedział z entuzjazmem staruszek. — *Odżywiona, wybujała. Rzadko kiedy trafi się jakiś pokurcz, zgadza się pan?*

Żołnierz potrząsnął twierdząco głową.

Myślał o piwie.

Myślał o piwie, na które wziął pieniądze od matki, i które miało być najważniejszym wydarzeniem wieczoru. Ale wieczór jeszcze się nie zaczął. Słońce stało wysoko nad dachami — zmrok był daleko, a szalejący nad miastem upał nie przełamał się jeszcze w godzinę wytchnienia, więc żołnierz zwlekał: nie lubił piwa o tej porze.

Przesuwając się z cieniem na skraj ławki, co jakiś czas odciągał palcem kołnierz munduru, którego szorstki brzeg ranił mu szyję. Patrzył na sąsiednią ławkę — na chłopaka we flanelowych spodniach i dziewczynę, o drobnym śmiesznym pyszczku wiewiórki. Chłopak rozłożył ręce na poręczy gestem strudzonego boksera i był jak gdyby z lekka znudzony, a dziewczyna, nie krępując się bynajmniej obecnością ludzi, wtulała głowę w rozchył jego kraciastej koszuli.

Staruszek, który patrzył w tym samym kierunku, zwrócił nagle do żołnierza swoją dobrą, okoloną siwiutkimi włosami twarz.

— *Pan jest smutny* — powiedział.

— *Nie* — zaprzeczył żołnierz.

— *Ale czegoś panu brak.*

— *Pan chyba nigdy nie słucha wojskowych piosenek* — rzekł żołnierz, który miał dopiero dwadzieścia lat, ale potrafił szybko myśleć. — *Gdyby pan słuchał wojskowych piosenek to by pan wiedział, że żołnierz ma wszystko — zaszczyty, kwiaty, medale, najwierniejszych przyjaciół i najpiękniejsze dziewczyny Żołnierz jest chlubą ojczyzny, więc nie ma prawa być smutny i nie ma mowy, żeby czegoś było mu brak.*

Wstał, poprawił pas, zasalutował staruszkowi i odszedł ścinając jezdnię i kierując się od razu w stronę piwiarni, w której było bardzo dużo mężczyzn przy wysokich, wbitych w ścianę półkach, przy bufecie i przy jedynym pozbawionym krzeseł stole. Długo musiał czekać na swoją kolejkę, a później, kiedy trzymał już w ręku ociekający kufel, czekał jeszcze, aż ustoi się piana, i dopiero wtedy zaczął cedzić piwo przez zęby, niby wolno, a przecież szybko. Opamiętał się w połowie kufla. Zapalił i odtąd uważał, żeby papieros zgadzał się z napojem.

Zapijając ostatni, gryzący haust dymu ostatnim, ciepławym i kwaśnym łykiem piwa, poczuł się pusty. Zaczął szukać w myślach jakiegoś oparcia. Z początku nic nie przychodziło mu do głowy, potem przypomniał sobie mięso które matka wystała poprzedniego dnia na targu. Nie podała go na obiad, więc poda na kolację. Pieczeń. Nie był głodny, ale uczepił się tej myśli — zawsze lubił mieć coś przed sobą.

Odwrócił się słysząc za plecami brzęk rozbitego szkła. I nagle zapomniał o piwie i o mięsie Zapomniał o wszystkim, jak każdy biedny człowiek, którego los obdarza niespodziewanie darmowym widowiskiem. Bufetowy zbierał stłuczyny na szufelkę, pijany jegomość usprawiedliwiał się przed nim, bełkocąc i czochrając włochate piersi, a reszta mężczyzn otaczała stół

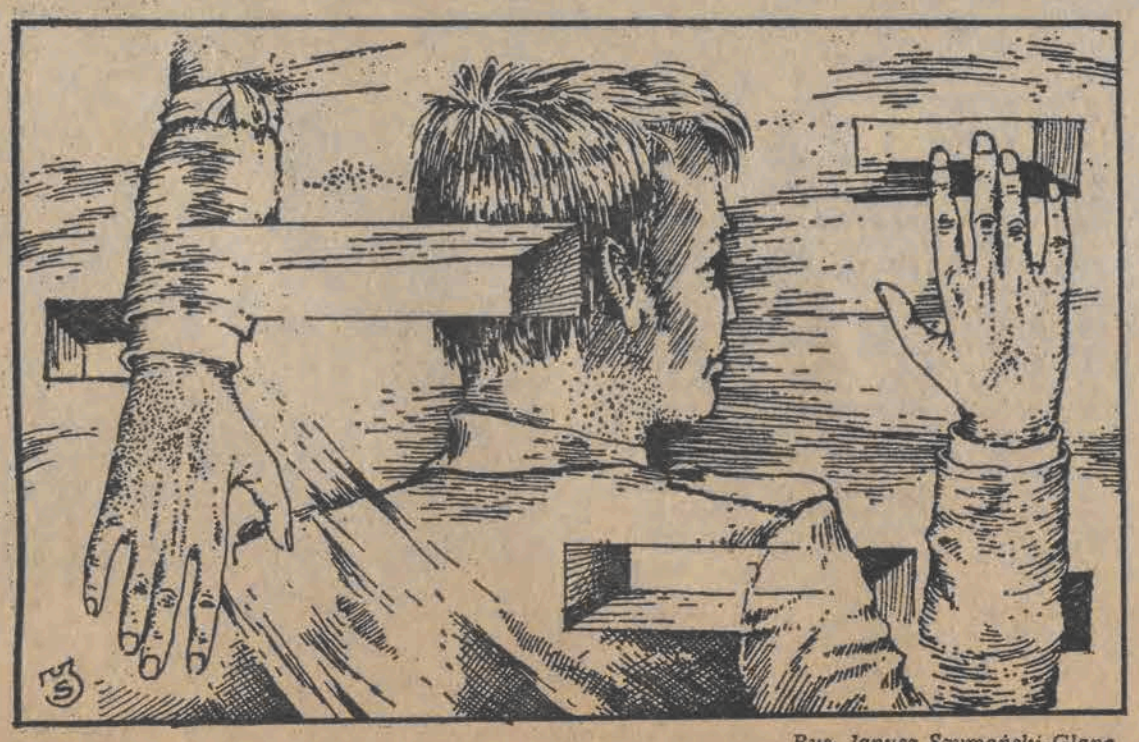

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

bez krzeseł, przy którym, klęcząc, walczyło na ręce dwóch ludzi. Była to walka dziwna: nie tylko klęczeli; lewe, nie biorące udziału w zmaganiach ramiona, mieli powykręcane do tyłu przez świadków. Przy stole stał również sędzia, trzymał w banku dwie dziesięciozłotówki i uważnie, z surowym wyrazem twarzy, śledził przeciwników, z których młodszy był smukłym wyrostkiem o zapadniętych, gruzłowatych policzkach, a starszy nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, choć niewątpliwie dodawała mu powagi tusza i porządne ubranie.

Żołnierz życzył zwycięstwa młodszemu. Wiedział, że chłopak rzucił na szalę więcej, i że nie walczy dla zabawy, i dlatego życzył mu zwycięstwa odruchowo zaciskając pięść i jednocząc się z nim w wysiłku. Ale akcje chłopaka nie stały dobrze. Jego muskularne, oszpecone tatuażem ramię drżało; oddawał centymetr po centymetrze; robił przy tym dziwne miny i grymasy, i dopiero po chwili żołnierz zrozumiał, że usiłuje odpędzić ze spoconego policzka muchę. Parchał nosem i ustami, wypychał ją językiem od wewnątrz, a później wyciągnął język próbując spłoszyć ją zwinnym, różowym koniuszkiem, co też nie przyniosło rezultatu. Mucha była senna, pijana od wyziewów chmielu.

— *Mucha!* — wycharczał chłopak.

— Co? — zapytał sędzia.

— *Mucha, kurwa mać! Na policzku!*

Sędzia prasnął go w twarz i trup muchy potoczył się chłopakowi za koszulę. Walczyli jeszcze kilkadziesiąt sekund i grzbiet ręki chłopaka dotknął stołu.

— *Ścierwo!* — powiedział chłopak dźwigając się z klęczek. Wygrzebał muchę zza koszuli i cisnął z obrzydzeniem na podłogę. — *Wstrętne, pieprzone ścierwo! Chodź pan jeszcze raz, panie Malinowski! Na lewą!*

— *Nie* — powiedział ten, który był gruby i dostatnio ubrany. — *Nie walczę na lewą.* — Wrzucił niedbale do kieszeni obie dziesięciozłotówki.

— *To na prawą!*

— *Na prawą już było.*

— *Należy mnie się chyba jakiś rewanż.*

Żołnierz usłyszał w głosie chłopaka nutkę płaczliwej histerii i wyszedł na ulicę, i nagle wydało mu się, że na tej ulicy, najważniejszej i największej w mieście, wszyscy już muszą go znać, więc szybko pomaszerował do rogu, skręcił w przecznicę, a potem jeszcze raz skręcił i szedł równoległą do tej głównej, ale już nie tak zatłoczoną i ważną ulicą. Szedł pod cieniami murów i tylko na skrzyżowaniach spotykał się ze słońcem, czując jak podkute buty grzęzną w rozpalonym asfalcie. Szedł szybko i równo, a tam, gdzie nie było ludzi, zdejmował czapkę i wystawiał na wiatr ścięte przy skórze włosy. Szedł tak pół godziny albo i dłużej, zostawiając za sobą wysokie domy śródmieścia i zbliżając się do rodzinnej dzielnicy, którą znał aż po ostatni wyszczerbek muru. Parokrotnie odwracał głowę przed znajomym chłopakiem czy dziewczyną, parokrotnie salutował sąsiadom, a później, kiedy był już blisko domu, zatrzymał się i zaczął dumać, co dalej, i przypomniał sobie, że za kinem jest strzelnica, w której jako mały chłopiec często grzał się w zimowe wieczory.

Wszedł do strzelnicy, w gwar, dym, śmiech, w woń perfum przemieszanych z potem i w zastały odór alkoholu. Stara płyta na patelni gramofonu grała rzewne, argentyńskie tango, puszczane wciąż od nowa przez człowieka, który od niepamiętnych czasów był szefem interesu i który teraz, tak jak pięć i dziesięć lat temu, łamał dychawiczne wiatrówki o scentrowanych lufach, wręczając je mężczyznom i malcom wspartym łokciami o kontuar i przymykającym lewe oko po to, żeby trafić w blaszanego lwa, orła, żyrafę, albo w środek tarczy, co miało być nagrodzone butelką wina lub tabliczką czekolady, ale na szczęście dla szefa zdarzało się rzadko.

Żołnierz nie zatęsknił jeszcze za strzelaniem i podszedł do siłomierza, który składał się z wagi i połączonego z nią, zakończonego stalowym uchwytem przewodu. Próba kosztowała dwa złote, które wpłacało się wypindrzonej żonie szefa, równie nieśmiertelnej i odwiecznej jak on sam.

— *Moje uszanowanie* — pozdrowiła żołnierza uśmiechając się dwiema fioletowymi pręgami karminu. — *Pociągnie pan?*

— *Dziękuję.* — I cofnął ręce.

— *Ale gratis* — powiedziała z naciskiem. — *Obrońcy granic nie płacą za nic!*

— *Pani dzisiaj za dużo gada* — przerwał jej człowiek o wyglądzie drobnego przestępcy. Rzucił na kontuar pieniądze, chwycił stalową, owiniętą izolatorem rączkę i zaczął ciągnąć, śledząc wskazówkę wagi, która, drżąc, dotknęła granicy osiemdziesięciu kilogramów, a później, mimo rozpaczliwych starań człowieka, zaczęła opadać.

Szefowa parsknęła z pogardą. Inne dziewczyny i kobiety, stojące samopas albo uczepione mężowskiego ramienia, zawtórowały nieśmiało. Było to wezwanie dla każdego, kto był w pobliżu i nosił spodnie, więc jedni wycofywali się chyłkiem, a drudzy stawali w szranki. Znany żołnierzowi stolarz wycisnął siedemdziesiąt trzy, a nieznany, chuderlawy chłopaczyna, osiemdziesiąt siedem. Lecz rekord należał do gościa, który miał owocowy stragan pod kościołem i mówił głosem dwa razy bardziej ochrypłym niż Armstrong.

— *Dziewięćdziesiąt pięć!* — ryknął, jakby to była aktualna cena jabłek. Klepnął się z radością po udach i podskoczył. — *Za tydzień zrobię setę!*

— *Ehe, zrobi pan* — osadził go potężny jegomość, który mógł być majstrem w fabryce albo nawet kierownikiem masarni. — *Na pewno pan zrobi. Przy bufecie.*

Straganiarz spojrzał na jegomościa z urazą. Milczał. Inni ludzie także milczeli. Ludzie zawsze milczą, kiedy ktoś przemówi do nich niewłaściwym tonem. Żołnierz przymknął oczy Wydało mu się, że trafia sierpem w opasły, podwójny podbródek tej majstrowej albo kierowniczej mordy. Wyciągnął ze spodni portmonetkę w kształcie podkowy i palcami, które były tak zręczne w obracaniu drobnicą, jak palce kasjera w obracaniu tysiącami, odliczył dwa złote.

Podał je szefowej. Zaprotestowała, ale odsunął ją łagodnie. Sięgnął po lepiący się, wygrzany łuk. Ważył go przez chwilę w dłoni. Potem wolno zacisnął palce i wskazówka siłomierza poszła w ruch — najpierw szybko, później ospale, drżąc i zatrzymując się na przedziałce dziewięćdziesięciu czterech kilogramów.

Było cicho. Czuł na sobie spojrzenie wszystkich mężczyzn i kobiet, dziewczyn, malców, którzy nagle przestali strzelać i potężnego jegomościa, który wysforował się do przodu, jakby węszył wielkie szachrajstwo. Czuł również siłę która stopniowo ale nieprzerwanie szła z całego ciała na prawy obojczyk, a stamtąd spływała w palce — wciąż jeszcze mocne, spragnione wysiłku, a później, kiedy ktoś szepnął: — *Dziewięćdziesiąt osiem* — odrętwiałe już, nie swoje, nasycone wysiłkiem, gotowe się poddać wbrew woli człowieka, który widział przed sobą tylko czerwoną krechę setki, i który nagle zaczął się modlić: *Boże, kimkolwiek jesteś, Mahometem, Jehową, Chrystusem czy Stalinem, daj mi tę setkę!*

I Bóg, kimkolwiek jest, wysłuchał żołnierskiej modlitwy, a wtedy straganiarz zgarnął żołnierza w ramiona i ucałował w obydwa policzki, chrypiąc jeszcze bardziej niż zwykle:

— *Kolego, to było coś! Krzepa, to jest dla mnie wielka rzecz, kolego! U mnie chłop, co nie ma krzepy, to jest normalne barachło, kolego! W życiu...!* — Spoważniał nagle, patrząc ponad ramieniem żołnierza na skalę wagi. Żołnierz odwrócił głowę i wydało mu się, że potężny jegomość wycisnął za pierwszą próbą sto dziesięć. Chciał to sprawdzić, ale straganiarz przytrzymał go w ramionach i zaczął popychać do wyjścia, chrypiąc bez przerwy, już nie tak głośno i szczerze: — *W życiu chłop bez krzepy nie pogra i nie podskoczy. Krzepa zawsze się liczyła i zawsze będzie się liczyć. W życiu!* — Puścił żołnierza na ulicy, mówiąc jeszcze:

— *Jakbyś kiedy był przy kościele, masz u mnie kilo najpiękniejszych lanceberów...*

I odszedł.

Żołnierz poprawił czapkę, obciągnął poły munduru. Spojrzał na swoje czerwone, porozbijane ręce. Przez chwilę znowu ssało go uczucie pustki, ale tylko przez chwilę była to bowiem pora zmierzchu i wielkiego ukojenia. Każdy dzień ma taką porę, choć żaden zegarmistrz nie potrafi wyznaczyć jej dokładnie na tarczy żadnego zegara. Każdy dzień ma porę, kiedy człowiek podnosi do góry czoło i wie, że wszystko dotychczas jest już tylko wspomnieniem, a jutro życie zacznie sie od nowa.

*Opowiadanie z tomu „Dłonie i pięści", który ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa „Czytelnik").*

---

## MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

### KANTYCZKA O BOŻYM NARODZENIU

Pada cichy śnieg
Skrzy się biały mróz
Ciszy nocnej blask
Gwiazdy ciągną wóz

Sen nie może spać
Wół o belkę trze
W borze szyszki stuk
Z nory patrzy złe

Na jedlinę skok
Kurzy jasny puch
Burczy siana woń
W ślepiach czuwa słuch

Sen z boku na bok
Ciecze z ognia wosk
W stajni klęka koń
W niebie staje oś

Z łuny runął wóz
Mrozu gore krzak
Trzeci idzie król
Za nim sunie kat

Pada cichy śnieg
Pod obrusem ptak
Śni się dziecku sen
Wkoło sianka ślad

Sen nie może spać
Wół o belkę trze
W borze szyszki stuk
Patrzy z nory złe

## ANTONI KASPROWICZ

### DO KSIĘDZA Z MODLICY

Ojcze świetlisty
pomazańcze Boży
nie obiecujesz nam raju w przestworzu
nie wyprowadzasz
na cierniste drogi,
gdzie blady mistyk czatuje dwurogi
i do cudownych
nie zapędzasz zdrojów,
u których święci swe owieczki poją.

Nie głosisz światu
kosmicznej zagłady
nie auto-da-fé grozisz Torquemady
lecz jako człowiek
oświecony księże
uczysz nas słowem walczyć jak orężem;
z głodem
zarazą
z wojenną pożogą,
którą Twój Jezus potępiał tak srogo;
o sprawiedliwość
o wolność i pokój,
przeciw ognistym latającym smokom.

Dlatego Ojcze
jak Mistrz Getsemani
głosisz wszechludziom
swą miłość bez granic
i przepowiadasz skłóconym narodom,
że szczęście swoje z braterstwa wywiodą.

Więc dzisiaj pełni jesteśmy wdzięczności,
żeś w naszej skromnej
Modlicy zagościł.

**W dniu 8 października br. Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich podjęło decyzję o zwołaniu XXI Zjazdu Delegatów. Obradować oni będą 28 i 29 grudnia br. w Warszawie.**

**30 listopada br. łódzkie środowisko pisarskie dokonało wyboru delegatów na warszawski zjazd. Nie było to oczywiście jedyne spotkanie, na którym dyskutowano sprawy, z jakimi należy jechać na Zjazd. 24 września br. oraz 8 października odbyły się Walne Nadzwyczajne Zebrania Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, na których sformułowano wnioski łódzkiego środowiska na zjazd pisarzy. Informowaliśmy o tym na bieżąco. Dziś drukujemy wypowiedzi naszych delegatów:**

# PRZED ZJAZDEM

## TADEUSZ GICGIER

Dwudziesty pierwszy Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich obradował będzie w szczególnych okolicznościach. Po pierwsze dlatego, że odbędzie się w Warszawie, czego od wielu lat nie praktykowano z przyczyn znanych wtajemniczonym. Po drugie, że przypadnie w okresie, gdy kraj nasz znalazł się, niestety, na kolejnym powojennym zakręcie, chyba najostrzejszym z dotychczasowych.

Trwa ciągle dyskusja nad relacją: władza — obywatel, władza a twórcy, relacją, która uległa rozmaitym wynaturzeniom. Dyskusja ta dotyczy, rzecz jasna, wszystkich środowisk twórczych, jednakże w odniesieniu do pisarzy, pracowników słowa, które powinno coś ważyć i znaczyć — nabiera ona specjalnej wymowy. Wierzę, że nowo wybrany Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, a także Zarządy Oddziałów — potrafią te proporcje ustawić właściwie. Nieprawdą jest bowiem, jak to usiłuje się dziś często sugerować na różnych „szczeblach" i w rozmaitych kręgach działaczy, iż wszystkiemu złu winna była apodyktyczna władza, jej centralni i regionalni przedstawiciele. Twierdzą tak z reguły ci, którzy ich bezkrytycznie słuchali, potakiwali, przyjmowali do wiadomości, nie odważyli się nawet polemizować, i to właśnie wtedy, gdy bardzo potrzebną była polemika, a czasem nawet sprzeciw. Żebyśmy nie wiem jak tego chcieli, nie uciekniemy od dialektyki, sprzężenia zwrotnego, wzajemnego oddziaływania obu tych czynników na siebie.

Napisałem kiedyś w jednym z reportaży: „Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wiele często zależy od postawy pojedynczego człowieka". Zdanie to zostało z reportażu skreślone. Wracam do tego zdania (może tym razem nie „wypadnie" ono z tekstu...). Utwierdziły mnie w nim ostatnie wydarzenia w naszym kraju. Tak, to prawda, wszystko odbywa się w bólach i w chaosie. Nie może jednak odbywać się inaczej. Zważmy, że to, co się dzieje — dzieje się po okresie długotrwałej tzw. stabilizacji, która okazała się nie stabilizacją, a stagnacją, zaś w wielu dziedzinach naszego życia — schodzeniem w dół. Narastał marazm, obezwładnienie, zniechęcenie. Wrzód został przecięty, organizm społeczny jest jednak jeszcze chory. Teraz wszystko zależy od tego, czy znajdziemy odpowiednią terapię. Są pewne oznaki, które napawają otuchą: odzyskanie chęci do działania, do pracy (oby chęć ta została potwierdzona w praktyce!), przywrócenie godności osobistej, wartości ludzkiej — tylko w takich warunkach praca może okazać się naprawdę wartościowa.

I znów dylemat ten dotyczy zwłaszcza twórców, szczególnie tych młodych, ambitnych, wrażliwych, może nazbyt niecierpliwych, ale taka była i jest zawsze młodość. Niech powstają nowe, pisane na gorąco wiersze, opowiadania, niech rodzą się współczesne powieści, byle mogły jak najszybciej ujrzeć „światło druku".

Właśnie: „światło druku". I tu stajemy wobec sprawy najbardziej w środowisku pisarskim bolesnej, a nawet dramatycznej: sprawy książki. Na książkę, wiem to z własnego doświadczenia, czeka się u nas już nie dwa, a cztery lata! Maleje dalej zaopatrzenie w papier, stan naszej poligrafii jest wręcz katastrofalny. Trzeba bić na alarm, nie można czekać ani chwili dłużej. W tej dziedzinie muszą nastąpić szybkie i radykalne działania. Idzie tu przy tym nie tylko o książki pisarzy współczesnych, ale i o lektury szkolne, o pełne wydanie klasyków. Miałem ostatnio z pewnym młodym człowiekiem przypadkową rozmowę. Powiedział on mi mniej więcej: „Jak mamy pracować, robić coś dla kraju, gdy szwankuje zaopatrzenie, brak nam mieszkań, a jeśli nawet mamy mieszkania, brak do nich wyposażenia...". Nie przeczę, jest dużo racji w tych gorzkich słowach. Ale w tym kraju, w różnych okresach historii, młodzież potrafiła przecież myśleć inaczej. Dowodzą tego stronice wielu ksiąg, napisanych zarówno przez naszych wielkich romantyków, jak i pozytywistów. Czytaliśmy je z kolegami po wojnie, gdy mimo ogromnych zniszczeń książki te były ogólnie dostępne. A jak jest dzisiaj? Skąd młodzi mają brać wzorce, jak uczyć się myślenia i postępowania? Nie zastąpią tego wygłaszane z trybun, czcze frazesy o potrzebie patriotyzmu i zaangażowania.

Na koniec parę słów o „własnym podwórku". Wyznawałem i wyznaję zasadę, że od niego trzeba zawsze zaczynać. I u nas przecież, w Łodzi, dzieje się coś nowego. Znowu później niż w reszcie kraju, ale przecież się dzieje. Także w kręgu spraw mi najbliższych. Pojawiają się pewne symptomy, jak to się zwykło mówić — jaskółki, zwiastujące może jeszcze nie wiosnę, ale — przedwiośnie. W takim duchu odbyło się ostatnie walne zebranie Łódzkiego Oddziału Związku Literatów i wybór reprezentantów na zjazd warszawski. Jedzie tam ekipa „odmłodzona". To dobrze. Choćby ze względów, o których było powyżej. Inaczej zaczyna się rozmawiać z władzami, także kulturalnymi. Nowe władze zaczynają dostrzegać nasze potrzeby, choć do spełnienia ich zwłaszcza w zakresie wydawniczym, jest ciągle bardzo daleko. Powstaje natomiast, a właściwie — restytuuje się periodyk „Osnowa", tym razem w formie kwartalnika. Sądzę, że wyjdzie on naprzeciw ambicjom i nadziejom nie tylko środowiska literackiego, ale i naukowego, plastycznego, muzycznego, aktorskiego, a także innych środowisk. Szerszy „program literacki" zapowiedziały „Odgłosy", prasa codzienna też jakby z wolna odstępuje od „zmowy milczenia". Powstała Rada Stowarzyszeń Twórczych. Powstaje, jak mi wiadomo, pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi „Klub poetów — łodzian", którzy chcą się zjednoczyć nie na zasadzie jakiegoś wyróżnika, ale wspólnego rodowodu, tego wszystkiego, co ich łączy. Chcą zaakcentować swoją obecność w mieście rodzinnym, pisać dalej o nim, nie wstydzą się tego. Robią to na przekór powiedzeniu: „Kto z Łodzi pochodzi — sam sobie szkodzi".

Jeśli wszystko to nie okaże się przelotnym kaprysem, pozorem, nakazem chwili (!), jeśli wreszcie sami nie zmarnujemy szansy — będzie już dobrze. A w każdym razie będzie lepiej niż było.

## JAN HUSZCZA

Ludzkość, od zarania świadomości swojej, zawsze borykała się z problemami, co wolno a czego nie wolno. My jesteśmy w o wiele lepszym położeniu — mamy znaczną kadrę, która potrafi te problemy rozstrzygać. I to bezapelacyjnie! Wśród tej kadry na czoło wysuwają się pracownicy cenzury — nie ujawniają niestety swoich nazwisk, choć w takiej np. Tv informują nas o ludziach odpowiedzialnych za dźwięk lub światło, w książkach widnieją nawet nazwiska korektorów i redaktorów. A jednocześnie nie ujawnia się nazwiska niejednej miłej panienki po studiach, która wie dobrze, co wolno a czego nie wolno — jakżeby pomógł kontakt z taką osobą np. piszącemu te słowa, który przeżył dwie wojny, przeszedł przez rozmaite uniwersytety życiowe, a jednak nie zawsze na wymienione pytania umie znaleźć właściwą odpowiedź. Marzy mi się, by na książkach i broszurach ujawniać te wartościowe nazwiska, ujawniać czyli uspołeczniać. Ostatecznie bowiem w drugim tomie POEZYI Mickiewicza widnieje: „J. Lelewel K.C.C.". (O ile się nie mylę, reprezentował czcigodny Profesor jakąś cenzurę uniwersytecką, nie zaś Komitet Cenzury!).

Oczywiście, ludzie są ludźmi i nawet w „Zamku" zdarzają się pomyłki. Ze mnie np. raz zrobiono złodzieja, wśród wykorzystanych źródeł do „Owidiusza na Polesiu" („Sęp Sybiru", 1968) wymieniłem teksty londyńskie St. Kirkora. Opowieść ewidentnie zdradzała, że z nich korzystałem, nie mniej nie pozwolono mi do tego się przyznać.

Więc do łez rozśmiesza fakt, że w tym roku w kraju ukazały się szkice St. Kirkora. A więc etapy, koniunktura, zakręty, manewry i podchody! Zubożono mi „Antologię poezji białoruskiej" (za którą jako redaktor odpowiadam przed recenzentami i czytelnikami) o paru poetów i o kilka istotnych tekstów — bo to proszę Państwa tzw cenzura podmiotowa, tłumacze Urzędowi, a może Wydawnictwu — a może obu tym dostojnym instytucjom — w owym czasie nie odpowiadali.

Brnijmy dalej: uzbierałbym w moich stosach papierzysk ze dwa tomiki prozy i wierszy, fraszek i felietonów — niektóre były w cenzurze, inne wcześniej „odradzili" wydawcy, z jeszcze innymi nie występowałem, pisałem, bo mi się chciało pisać. Gdy się teraz przyglądam niektórym z tych tekstów — doprawdy, nie mogę się domyśleć, z jakiego powodu były w swoim czasie trefnymi. I czemu, być może, nadal są trefnymi?!

Tym można m. in. tłumaczyć fakt, iż tak mało mamy prozy realistycznej, współczesnej tu i teraz, która powinna być podstawą literatury. A jeśli czasem coś otrzymujemy, to trudno się domyśleć, z czego bohaterzy tych utworów żyją (oczywiście, nie mam na uwadze powieści kryminalnej). ...Siedzi sobie taki powieściowy — realistyczny młody lekarz w ambulatorium, stoi sobie młody nauczyciel przy tablicy szkolnej, młody urzędnik popija herbatkę w okienku — a wszyscy przeżywają cholerną głątwę, bo wczoraj w restauracji kategorii „S" całą noc palili „marlboro", pili sowietskoje szampanskoje oraz whisky, często te trunki mieszając.

O zawodzie literata i sytuacji wydawniczej napisano dostatecznie dużo i wyczerpująco. „Biuletyn POP PZPR przy Oddziale Warszawskim ZLP" (czerwiec 1980) zawiera m. in. referat znanego prozaika Jerzego Jesionowskiego „O sytuacji literatury i pisarza" — wystarczy! Młodym adeptom literatury, zgłaszającym się do mnie z tekstami, zawsze doradzałem mieć jakiś „konkretny zawód", na wszelki wypadek.

Napisałem np. wierszowany tekst do książeczki z fotografiami na zamówienie Muzeum Łodzi. Został przyjęty w kwietniu 1979 roku! Dotąd nie otrzymałem reszty honorarium. Spróbujcie tak długo zwlekać z zapłatą ludziom „zawodów konkretnych" lub spędzających dni na trawce obok łopaty! Nawet przed powstaniem NSZZ „Solidarność"...

Albo: za ten sam utwór płacą o wiele więcej w Warszawie niż na prowincji. Takie są stawki. Ex officio. I stołeczny splendor, i wyższe honorarium.

Skoro już weszliśmy na chwilę do stolicy... Stołeczne tygodniki mało poświęcają uwagi członkom prowincjonalnych oddziałów ZLP. Albo taka Tv! W „Pegazie" niektórych ludzi widuje się co tydzień, w telewizyjnej takiej Ziemiańskiej pod nazwą XYZ, podobnież! Oglądając audycje Tv poświęcone — nazwijmy to umownie — kulturze i życiu kulturalnemu, odnosi się wrażenie, że w Polsce twórców kultury i jej menadżerów jest tak bardzo mało, nawet b. mało, jest ich w naszej ponadmilionowej stolicy.

Relacja Warszawa — Prowincja wymagałaby szczegółowego przeglądu. Na wzór referatu Jesionowskiego. Ale kto się tym zajmie, kiedy wielu ludziom ręce opadają lub opadły.

I pytanie „ogólnopolskie": jak się mają funduszе honoraryjne różnych instytucji kultury — jak choćby redakcji czy radia — wypłacane zatrudnionym w tych instytucjach w stosunku do wypłacanych outsiderom? Pamiętam lata, gdy większość honorariów szła do kieszeni outsiderów. Poziom gazet czy pism na tym zyskiwał.

Ale ja tu zacząłem od spraw wiadomości dobrego i złego, a skończyłem — tfu, tfu — na pieniądzach. Kto jak kto, ale polski poeta nie pominien mówić o mamonie, chyba że z pogardą! Przepraszam!

## MIECZYSŁAW KUCNER

Zacznę od osobistego wyznania. Otóż nie wierzę w dekretowanie literatury i nie spodziewam się od Zjazdu Związku Literatów Polskich jakichś daleko idących ustaleń i zaleceń w przedniocie wiążących i jedynie słusznych kryteriów oceny i wartościowania rzeczywistości. To sprawa samych twórców.

Oczekuję natomiast — i liczę tutaj na pełną jednomyślność społeczności pisarskiej — iż w tym historycznym dla narodu okresie tropienia nieprawości i schorzeń we wszystkich dziedzinach naszego życia, obradujące w Warszawie najwyższe forum pisarzy jednoznacznie wypowie się przeciw zgubnym i hamującym swobodny rozwój twórczości zakazom i nakazom, odpowiedzialnym za upośledzenie literatury w jej najżywotniejszej funkcji mówienia prawdy. Wraz z pozostałymi pisarzami, delegatami na zjazd, reprezentuję miasto, a zarazem ośrodek literatury i sztuki, gdzie tak dobrze nam znany niepomyślny splot warunków i okoliczności spowodował szczególnie rażące zaniedbania, jeśli chodzi o uprawianie i funkcjonowanie piśmiennictwa artystycznego. Postępujący od lat proces dehumanizacji życia dotkliwiej niż gdziekolwiek w kraju poraził łódzką literaturę i ugodził ją w najgłębszej podstawie jako instrumentu porozumienia i dialogu z publiczną czytającą Łodzi i kraju. Żyjąc i pracując w izolacji, jakby w zamkniętej enklawie, cierpimy na brak uznania czy choćby życzliwości, zapewnie nie bez własnej winy, wszak sami nie mając dość odwagi czy też nie dość wierząc we własne siły, nie zawsze umieliśmy wykorzystać szansę, by upomnieć się o godne miejsce w rzeczywistości. Byliśmy zbyt grzeczni i układni, a przeto wygodni dla tych, dla których kultura stanowiła przedmiot manipulacji. Byliśmy nawet chwaleni, ale to jakby na ironię, pieczętowało tylko nasze zagubienie.

Ktoś powiedział, że literatura karmi się brakiem, czerpie z niespełnienia, wyrasta z człowieczej nędzy, ale to tylko pół prawdy. Literatura nade wszystko pomyślność swoją zawdzięcza nadziei, w horyzoncie której artykułuje swoje artystyczne przesłanie, zarazem wezwanie i apel, do wszystkich i każdego z osobna — o solidarność ludzką, partnerstwo i braterstwo człowiecze. Oczywiście pojedziemy na zjazd z pakietem propozycji, wniosków i dezyderatów wyłonionych w licznych dyskusjach i spotkaniach środowiskowych, będziemy się starali zainteresować innych naszymi sprawami, pamiętając przy tym, że walka toczy się o stawkę najwyższą — o miejsce i rolę literatury w społeczeństwie, o kreacyjny sens pisarstwa jako projektu samoświadomości i tożsamości narodowej, czy wreszcie jego ocalającą niezbywalność w życiu.

## ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Nie żywię specjalnego przekonania do przełomowej roli zjazdu, gdyż najważniejsze sprawy wydarzenia dokonują się między tymi uroczystymi obradami. Jednak znając już listę delegatów najliczniejszego środowiska literackiego w kraju, jakim jest oddział warszawski, sądzę, iż zajdą istotne zmiany w życiu literackim kraju. Głos warszawskich delegatów będzie decydujący. Co zatem mają do powiedzenia pisarze z ośrodków pozastołecznych?

Trzeba od razu powiedzieć, iż los na ogół obchodzi się z tymi ostatnimi okrutnie. W ostatnich latach polikwidowano wiele czasopism regionalnych, pisarze z prowincji zdani są obecnie na łaskę i niełaskę redakcji centralnych. Występują tam na zasadzie gości, a nie współgospodarzy. Za tym idą dalsze konsekwencje. Przede wszystkim poczucie niedowartościowania. Jeśli chodzi o młodych twórców, to jeszcze z Bogiem sprawa. Po prostu jeszcze wierzą w lepszą gwiazdę. Natomiast gorzej ze starszymi. Szukają rekompensaty w czym innym, a mianowicie w znalezieniu, wypracowaniu autorytetu w lokalnym środowisku. Ale i to im się nie udaje. Pisarz nie jest partnerem dla wojewódzkich władz, jego głos się nie liczy w sytuacjach, gdy debatuje się nad rozwojem kultury danego regionu. Ponieważ w ostatnich latach tak się działo, że stanowiska reprezentowały ludzi, a nie odwrotnie, przeto pisarz, który najczęściej nie zajmuje ważnego miejsca w hierarchii polityczno-urzędniczej, jest powietrzem i to nie zawsze najzdrowszym, dla lokalnych władz. Cóż wobec tego mu zostaje? Robić pieniądze. Objaw drobnomieszczanienia w środowisku pisarskim stał się nagminny.

Przyszłościową szansę widzę w wypracowaniu autonomii łódzkiego środowiska literackiego i w ogóle kulturalnego. Dobrze się stało, że powstał kwartalnik Osnowa. Ale o pewnej autonomii dopiero wówczas będziemy mogli mówić, gdy Osnowa stanie się miesięcznikiem, gdy łódzki oddział Związku Literatów będzie na własnym budżecie, gdy Łódź przestanie szukać pośrednich kontaktów z myślą europejską poprzez stolicę, a stanie się partnerem dla innych ośrodków zagranicznych. To oczywiście wymaga długofalowych przedsięwzięć i zależy przede wszystkim od ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność za politykę kulturalną kraju.

Chciałbym na Zjeździe mówić o sprawie, która dotyczy każdego Polaka, która wiąże się bezpośrednio z życiem narodu. Jeśli politycy ciągle nam przypominają o takich, a nie innych uwarunkowaniach geopolitycznych, to dlaczego nie mogą zrozumieć, że trwałość życia narodowego gwarantuje kultura, zwłaszcza zaś literatura, będąca i dziś najważniejszym instrumentem kształtowania świadomości narodowej. Tymczasem społeczeństwo, szczególnie młodzież, znajduje się w katastrofalnej sytuacji, jeśli chodzi o znajomość źródeł naszej kultury. Studenci II roku jednego z kierunków humanistycznych nie wiedzą, do jakiego kręgu kulturowego należymy. Mówię to z autopsji. Nie mamy wydanych pism najwybitniejszego polskiego ideologa romantyzmu, Maurycego Mochnackiego, nie mamy pełnego wydania pism Stanisława Brzozowskiego, Stefana Żeromskiego i wielu, wielu innych. Młodzież nie zna źródeł, posiada dziennikarską widzę czerpaną z różnych bryków, ersatzów itd. Jak może rosnąć drzewo bez korzeni? Niektóre osobniki odcięte od korzeni przez pewien czas wypuszczają gałązki. Ale tylko przez pewien czas i tylko gałązki.

## JERZY WAWRZAK

W ostatnim czasie odbyła się seria nadzwyczajnych zjazdów stowarzyszeń twórczych. XXI Zjazd ZLP będzie zjazdem zwyczajnym, przyśpieszonym o kilka miesięcy. Świadczy to o odmiennej sytuacji w środowisku literackim, które prawie zawsze rzadziło się samorzadnie i nie potrzebuje teraz nerwowo manifestować swego włączenia się w nurt odnowy. Formuła związku twórczego, jakiej patronował i czynił wszystko dla praktycznego jej wcielania w życie prezes ZLP Jarosław Iwaszkiewicz, generalnie zdała egzamin. Papierkiem lakmusowym grudniowego Zjazdu ZLP będzie decyzja o jej podtrzymaniu lub odrzuceniu. Będę tym, który jej będzie bronić, chociaż uważam, że nie jest doskonała, że samorządność i niezależność Związku od administracji państwowej należy rozszerzać, umacniając fundamenty trwałej, konstruktywnej współpracy wszystkich stron zainteresowanych w pomyślnym rozwoju polskiej kultury. Wyrazem takiego dążenia byłaby zgoda władz państwowych na przekazanie w gestię ogniw związkowych części funduszu literatury i innych środków, którymi społeczne gospodarowanie może być i efektywniejsze i sprawiedliwsze.

Sprawą, która niewątpliwie wywoła jednomyślność, będzie tragiczna sytuacja polskiej książki. Głos Zjazdu w tej materii powinien być ostatecznym dzwonem na trwogę, który m u s i wywołać szybkie i zdecydowane decyzje i działanie najwyższych władz partyjnych i państwowych. Słów na ten temat wypowiedziano już aż za wiele...

I ostatnia sprawa (z pokaźnego pakietu, który zabierają na Zjazd łódzcy pisarze), która interesuje mnie szczególnie jako prezesa ŁO ZLP w czasie dwóch ostatnich kadencji. Musimy dokonać na Zjeździe takich zmian statutowych, które m.in. (ale przede wszystkim) zagwarantują p r a w n i e większą autonomię oddziałów terenowych. Pozwoli to w przyszłości na bardziej kompleksowe, szersze i bogatsze formy działania, z pożytkiem dla miejscowych środowisk i ich odbiorców.

## ANDRZEJ WILCZKOWSKI

Nasz czas niesie nadzieję. Nie wiem dlaczego nie podkreśla się jakże ważnego procesu integracji narodu, który rozpoczął się w sierpniu. Inteligencja uwierzyła w klasę robotniczą. Robotnicy, którym przez wiele lat pracownik umysłowy w dużej mierze utożsamiał się z administracją, zaczęli rozróżniać te pojęcia. Wszyscy zwrócili oczy na wieś. I oto poczyna się rodzić coś, co w oficjalnej frazeologii istniało od dawna — sojusz trzech podstawowych grup społecznych. To bardzo ważne.

Trzeba nad tym dalej pracować — mądrze i z sercem.

Dużo się dziś mówi o wrogach socjalizmu. Bardzo mnie to dziwi. Alternatywą dla socjalizmu może być albo kapitalizm, albo komunizm. Osobiście nie wierzę, aby komunista był wrogiem socjalisty. Pozostaje wobec tego tylko możliwość powrotu do kapitalizmu. Chyba nikt kto nie ma kapitału, nie może być zainteresowany w restytucji tego ustroju — a tym, którzy się ostatnio dorobili majątku, nie mielibyśmy chyba ochoty sprzedawać państwowych fabryk czy PGR-ów.

Nie spłycam zagadnienia. Chciałbym jedynie przypomnieć, że okrzyk: „Wróg socjalizmu!" liczy więcej niż dziesięć lat i czasem, jak w westernie, „sprawiedliwy" był ten, który pierwszy krzyknął.

Jaka jest obecnie rola pisarzy?

Niech będzie to pomoc w urzeczywistnianiu budzących się nadziei oRla kronikarzy wydarzeń, to dziś za mało. Jeśli, zostając pisarzami, uznaliśmy, że mamy coś ludziom do powiedzenia, to winniśmy im pomóc w procesie samookreślania. W tym celu, na pewien czas, trzeba przedzierzgnąć się w publicystów i działaczy. Wielkie dzieła literackie jako świadectwo czasu, przyjdą później. Znacznie łatwiej będzie nam pisać, jeśli staniemy się uczestnikami, a nie pozostaniemy jedynie świadkami wydarzeń.

Co przyniesie Zjazd? — nie wiem. Gdybym dziś wiedział, co uchwali stu kilkudziesięciu delegatów, świadczyłoby to, że się nic przez ostatnie miesiące w Polsce nie zmieniło.

## JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

W rezolucji XX Zjazdu ZLP powiedziano m.in., że zadaniem pisarzy w socjalistycznym kraju jest walka o awans kulturalny najszerszych warstw społeczeństwa. W zbożnym tym dziele gwarancję miała stanowić współpraca reprezentantów środowiska literackiego z władzmi. Domagano się też zwiększenia przydziałów papieru na publikację książek i czasopism w celu lepszego zaspokojenia potrzeb czytelniczych, a także stałego dostępu czytelników do popularnych edycji klasyków literatury polskiej i światowej. Można by mnożyć tamte pobożne życzenia i cytować radosne komentarze. Każdy wykształcony Polak (a takich nam co roku przybywa) może bez specjalnego wysiłku skonstatować, że został oszukany, oszukano wszystkich i pisarzy i odbiorców.

Czasopism mamy mało, zaś ich poziom pozostawia wiele do życzenia. Natomiast w produkcji książki spadliśmy na ostatnie miejsce w Europie.

Trudno byłoby mówić o roli twórcy w społeczeństwie, skoro w księgarniach nie ma naszych książek, zaś warunki współczesnego pisarza są wręcz opłakane. Skutki tego stanu rzeczy trudno byłoby przecenić. W najlepszym wypadku trzeba będzie wielu, wielu lat na odrobienie zaległości, zaś skutki społeczne tej sytuacji są chyba nie do odrobienia i to nie tylko w dziedzinie rozwoju kultury narodowej.

Literatura polska jak chyba żadna inna na naszym kontynencie — legitymuje się pięknymi tradycjami służby społecznej i narodowej. I my współcześni pisarze chcielibyśmy kontynuować te tradycje. Jednakże stworzenie odpowiednich po temu warunków będzie wymagało solidnego rozrachunku z przeszłością i rozsądnego przedyskutowania racjonalnych sposobów wyjścia z ciężkiej sytuacji.

Mam więc zamiar mówić na Zjeździe o roli literatury oraz odpowiedzialności moralnej współczesnego pisarza za kształtowanie świadomości społeczeństwa. Chciałbym także podnieść problemy związane z produkcją książki i powiedzieć o potrzebach w tym względzie naszego środowiska — piszących i odbiorców. Niezwykle ważnym problemem jest niewątpliwie stworzenie systemu gwarancji wykonania umowy społecznej w tej dziedzinie, gwarancji rozwoju kultury narodowej. Równie ważny wydaje się być problem poprawy warunków pracy i podniesienia autorytetu pisarzy pracujących na prowincji, w ośrodkach pozawarszawskich.

TOMASZ SOLDENHOFF

# ZAGUBIONE OGNIWO

**Tyle się dziś mówi i pisze o Panoramie Racławickiej, jakby chciano na gwałt powetować długie lata milczenia, ze szczególną sumiennością przestrzeganego w ostatnim dziesięcioleciu... Ciszę wokół tego drażliwego tematu przerywały sporadyczne próby, które prawie zawsze oznaczały narażenie się na kłopoty i niełaskę, tzn. decydentów. Mieliśmy taką próbę przed paru laty w „Odgłosach", gdy z tekstem o Panoramie wystąpił felietonista Widok. Tekst**

**ze prawda ukazał się, ale za to potem...**

**Łatwo było zrozumieć zniecierpliwienie autora, podobnie jak i wszystkich zatroskanych losem płótna i pozostawionego w stanie surowym budynku rotundy we Wrocławiu, którzy — nie chcąc przyjąć do wiadomości trwającej już blisko 30 lat „zmowy milczenia" — apelowali do władz o podjęcie jednoznacznej decyzji w tej sprawie.**

**Znacznie natomiast trudniej pojąć — nie wyjaśnione zresztą do dziś — motywy i racje, jakimi kierowali się decydenci. Czyżby trzeba było uznać za nie te, o których mówią hipotezy i plotki? A mówią one o rzekomo dwuznacznej politycznie wymowie płótna z patriotycznym tematem i tradycją, na domiar zarówno przed I, jak i II wojną światową eksponowanego we Lwowie, zaś po okupacji przeznaczonego dla Wrocławia. Jeśli to przypuszczenie jest prawdą, to „groźny" dla sprawy mógł wydawać się nawet sentyment starszej części powojennych mieszkańców Wrocławia, z których wielu przybyło tu ze Lwowa. Czy jednak używanie tego argumentu jako swego rodzaju „straszaka" nie jest dziś po prostu śmieszne?**

**Historia Panoramy Racławickiej to wijący się meandrami — w większości zresztą ukrytymi przed okiem zwykłego obserwatora — ciąg sprzecznych, niedowarzonych (bądź w ogóle niedoszłych) decyzji, podejmowanych w zaciszu gabinetów, bez liczenia się z opinią społeczną — tak jakby zgoła nie chodziło o NARODOWĄ PAMIĄTKĘ...**

**Ale od paru miesięcy Panorama nie jest już tematem tabu. Zapadły i zapadają nadal w jej sprawie wyłącznie jasne decyzje. Jasne i jawne. Trzeci i ostatni — miejmy nadzieję — Społeczny Komitet Odbudowy ma rzeczywistą szansę doprowadzić pechową inicjatywę do końca. Największą tego gwarancją jest ruch społeczny, najbardziej masowy ze wszystkich, jakie w powojennym okresie rodziły się i umierały dla Panoramy.**

**13 listopada wieczorem — w okolicznościach dla dobra sprawy jeszcze „konspiracyjnych" — Panorama znów znalazła się we Wrocławiu, skąd w czerwcu br. „porwano" ją z polecenia wiceministra Zina i złożono w nie wykończonym skrzydle Zamku Królewskiego.**

**Nazajutrz rano — 14 listopada — udekorowany biało-czerwoną flagą i transparentem „Wrocław wita Panoramę Racławicką" „Jelcz" — ze zwiniętym malowidłem w środku przejechał przez miasto, docierając do Muzeum Architektury. Kolejne miejsce spoczynku obrazu nie będzie już jednak również miejscem zapomnienia...**

**Tak się złożyło, że tego samego dnia w salach Muzeum Narodowego nad Odrą otwarto wystawę pamiątek związanych z dziejami płótna — „W kręgu Panoramy".**

**Jest to kres tułaczki i lekceważenia, a początek nadziei dla liczącego 86 lat obrazu. Z pomieszczeń muzeum droga może być tylko jedna: do rotundy przy ul. Purkyniego. Od trzynastu lat czeka ona w stanie surowym na dokończenie budowy. Trzynastka — okazała się szczęśliwa.**

**Na powstanie Panoramy i jej późniejsze, tak mętne i powikłane dzieje, wiele światła rzuca** materiał faktograficzny, opracowany i udostępniony mi przez wicedyrektora Muz. Narod. dr Bożenę Steinborn — członka Prezydium Społecznego Komitetu Odbudowy PR, a firmowany przez NSZZ „Solidarność", której wrocławska organizacja poparła w pełni nową inicjatywę.

Jako głównych twórców płótna wymienia się — najbardziej chyba znanego polskiego batalistę, autora wielu malowideł na temat m. in. wojen napoleońskich i powstania listopadowego — Wojciecha Kossaka oraz Jana Stykę — autora obrazów historycznych i religijnych (będącego także współtwórcą innej, mniej znanej panoramy — „Golgota"). Malarzy tych wspomagali Ludwik Boller, Tadeusz Popiel i Zygmunt Rozwadowski, także wzięty batalista, a chwilowo zajęci byli przy płótnie również: Teodor Aksentowicz, Michał Sozański, malarz — realista i... poseł Stronnictwa Ludowego Włodzimierz Tetmajer oraz Wincenty Wodzinowski.

Wielkie, liczące 120 metrów długości, 15 metrów szerokości i 3,5 tony wagi malowidło gotowe było w rekordowym czasie 9 miesięcy. 5 czerwca 1894 roku udostępniono ją gościom pierwszej Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie w specjalnie, w ciągu pół roku wybudowanej rotundzie. Zainicjowane przez Społeczny Komitet Panoramy pod przewodnictwem historyka prof. Ludwika Kubali, dzieło zaczęło spełniać misję, jaką przypisali mu pomysłodawcy: podtrzymywać żywą pamięć o zwycięskiej bitwie, która dała początek stuletniej tradycji walk o niepodległość Polski. W ciągu pół roku obejrzało obraz pół miliona ludzi, co jest najlepszym dowodem uznania dla dzieła, któremu daleko przecież do artystycznej rewelacji (o którym milczy np. wydana po raz drugi w 1965 roku „Historia sztuki polskiej"). Nie mniejszą popularność miała Panorama po I wojnie, gdy już jako własność państwową, a nie 74 prywatnych udziałowców — i po renowacji wojennych uszkodzeń — zaprezentowano ją (w 1928 roku) publiczności. Co roku oglądało płótno około 75 tys. osób.

Czym tłumaczyć popularność dzieła? Na pewno umiejętnością rozgrzewania patriotycznych uczuć, ewokowania zaszczytnego momentu naszej historii... Funkcja ta jednak nie byłaby możliwa, gdyby nie wrażenie iluzji, a nawet i prawdy historycznej (co z prawdą artystyczną nie musi mieć wiele wspólnego). W starym, XIX-wiecznym przewodniku po Lwowie, w rozdziale poświęconym Panoramie, czytamy:

„Obraz przedstawia bitwę w chwili rozstrzygającej o godzinie czwartej popołudniu. Artyści starali się przedstawić bitwę z najściślejszą wiernością i prawdą w szczegółach. Plan boju i krajobraz zdjęli z natury, typ włościan studiowali na miejscu, osobistości historyczne z portretów, stroje włościan i mundury wojsk przedstawili z najściślejszą dokładnością".

Wróćmy do historii. Podczas nalotu na Lwów w 1944 roku poważnie uszkodzono płótno i budynek. Na polecenie nadzorującej ekspozycję Panoramy Lwowskiej Galerii Narodowej malowidło zdjęto i nawinięto na walec, a następnie umieszczono w specjalnej skrzyni w klasztorze bernardynów. Dziwnym trafem również ostatnim miejscem przechowywania obrazu przed jego ekspozycją jest klasztor bernardyński, tylko że we Wrocławiu, i zamieniony na Muzeum Architektury.

W roku 1946 — w wyniku starań rewindykacyjnych — wraz z częścią innych lwowskich zbiorów, władze radzieckie przekazały do Polski Panoramę. Rząd Jedności Narodowej zdecydował, że nowym miejscem pobytu będzie Wrocław. Ważnym argumentem było zasiedlenie tego miasta przez wielu lwowiaków, ale liczył się także punkt widzenia historyków sztuki. Otóż Wrocław ma dużo różnych zabytków z rozmaitych okresów, ale z tradycją polskiej kultury związane są właściwie tylko zabytki średniowieczne. Obecność Panoramy — tak silnie związanej z narodowo-patriotyczną polską tradycją i sztuką XIX-wieczną — była zatem więcej niż pożądana. Później do tych argumentów dołączył się ekonomiczny: we Wrocławiu rotunda była nieomal gotowa, gdy np. w Racławicach, które również proponowano, trzeba było zbudować wszystko: pawilon, drogi dojazdowe, motel, lokale, gastronomię... Poza tym i powojenne zabiegi wrocławian o pozyskanie płótna mają dłuższą tradycję.

Zgodnie więc z rządową decyzją Panoramę przekazano do Wrocławia, gdzie zawiązał się Społeczny Komitet Odbudowy, złożony z przedstawicieli władz, środowiska kultury i nauki. W szybkim czasie zebrał on niemałe fundusze i ogłosił konkurs na projekt pawilonu. Panorama spoczywała w tym czasie w jednej z wrocławskich szkół, gdzie — w roku 1950 przeprowadzono zabieg konserwatorski, łatając największe dziury i dzieląc płótno wzdłuż szwów na 14 brytów, tak samo, jak to uczyniono w 1897 r. przed przewiezieniem obrazu na wystawę do Budapesztu.

Ale na dalszą realizację zamierzeń nie udało się już uzyskać środków. Właśnie wówczas — w początkach lat 50 — miał stwierdzić ówczesny minister kultury Dybowski: „NIE PORUSZAJCIE WIĘCEJ TEGO ZAGADNIENIA..." arbitralnie „zamykając dyskusję" na temat narodowej pamiątki. Tak „unieważniono" wcześniejszą decyzję najwyższych polskich władz. Tak zaczęło się spychanie Panoramy w zapomnienie, długa i przybierająca różne formy „zmowa milczenia"...

Zaprzestano prac renowacyjnych i obraz zniknął w pomieszczeniach Muzeum Śląskiego (dziś Narodowego). „Dziwną obojętność" władz usiłowano przerwać dopiero w 1956 roku, w korzystniejszym klimacie „odwilży". W czerwcu „Słowo Ludu" ogłosiło list otwarty w sprawie Panoramy do ministra kultury Karola Kuryluka, który poparła Wrocławska Rada Narodowa. Powołano drugi Społeczny Komitet Odbudowy. Rozpoczęto prace konserwatorskie, polegające na częściowym wzmocnieniu płótna i oczyszczeniu malowidła. Jeden tylko bryt wystawiono w holu Muzeum Śląskiego.

W 1957 roku przywieziono ze Lwowa plany i pomiary tamtejszej rotundy (w mych zbiorach mam zdjęcie przedstawiające budynek z tego okresu, pozbawiony opieki i niszczejący). SARP ogłosił ogólnopolski konkurs na projekt pawilonu. Przyjęto opracowanie autorstwa Ewy i Marka Dziekońskich. Budowę sfinansować miał ze składek społecznych Fundusz Odbudowy Stolicy, który przeznaczył na ten cel 18 mln. Suma ta jednak wkrótce miała okazać się za mała, ponieważ budowy nie rozpoczynano, a gdy wreszcie — pod naciskiem opinii publicznej — zaczęto, dokumentacja wymagała aktualizacji, a koszty z miesiąca na miesiąc rosły, by w roku 1968 — kiedy to definitywnie przerwano ślimaczącą się inwestycję — osiągnąć 22 mln.

Dopiero niedawno zresztą wyszła na jaw treść zalecenia przewodniczącego RN m. Wrocławia, który jeszcze przed 1960 rokiem powiadomił Konserwatora Zabytków, iż decyzją władz zwierzchnich pawilon nie może być ukończony przed rokiem 1963 (sic!)... Była to typowa gra na zwłokę, której nie przerwało również nowo obrane w 1965 roku prezydium Społecznego Komitetu. Gdzieś około roku 1968 zaczęły docierać niesprawdzone wieści o odgórnej decyzji wstrzymującej działania wokół Panoramy, po roku 1970 uzupełnił ją zapis cenzorski. Podjęto natomiast w tym czasie konserwację płótna. Zorganizowano 30-osobową pracownię przy PKZ-ach. Jej celem było przede wszystkim wzmocnienie odwrotnej strony płótna nową tkaniną. Ale mimo zgromadzenia kosztownego sprzętu i materiałów do dublowania płótna, prace ponownie przerwano. MKiSz. odmówiło środków. Był rok 1973. Pozbawione wzmocnienia i — co gorsze — werniksu malowidło nawinięto z powrotem na walce i złożono w pomieszczeniach Hali Ludowej.

Przeleżało tu siedem lat, które były okresem przewlekania na rozmaite sposoby decyzji w sprawie dalszych losów Panoramy. Znowu sugerowano zmianę lokalizacji, wskazując na Racławice, choć z ekonomicznego punktu widzenia — wobec powstania budynku w centrum Wrocławia — byłby to absurd. Po pięciu latach próśb i przypomnień słanych z Muzeum Historycznego, gospodarza Panoramy, w grudniu ub. roku min. Z. Najdowski oświadczył, że dopiero po konserwacji płótna znajdzie się dlań lokalizację. W tzw. międzyczasie władze Wrocławia, bez zasięgnięcia opinii publicznej, przesądziły o przebudowie i rozbudowie pawilonu Panoramy na centrum kulturalno-kongresowe. Same tylko prace projektowe pochłonęły 5 mln zł, co było i tak sumką skromną w porównaniu do owych 560 milionów, które miała kosztować cała adaptacja...

Ale w ciągu ostatniego roku sprawa Panoramy zaczęła powracać na forum publiczne. Najpierw — jeszcze przed Sierpniem — w apelu warszawskich historyków sztuki, petycji Towarzystwa Miłośników Wrocławia i rezolucji plastyków na ich walnym zjeździe. Zapewne również pod wpływem tych faktów w marcu 1980 roku ogólnopolska, 14-osobowa grupa konserwatorów, zbadała w Hali Ludowej stan płótna, stwierdzając naglącą potrzebę dalszej konserwacji. Zdecydowano, że może ona odbyć się tylko w docelowym budynku. Mimo to w czerwcu br. zgodnie z poleceniem Generalnego Konserwatora Zabytków prof. Wiktora Zina, malowidło przewieziono do Warszawy, na Zamek Królewski. Był to jeszcze jeden dowód nieliczenia się z opinią grona konserwatorów, a może i nawet kolejna próba arbitralnego przesądzenia o lokalizacji.

We wrześniu i październiku głosy przemawiające za wyjaśnieniem sprawy Panoramy nasiliły się. Do żądań środowisk kultury i nauki dołączyły się załogi wrocławskich zakładów, najpierw „Elwro" i „Intermody". 10 października doszło do zebrania założycielskiego Społecznego Komitetu Panoramy Racławickiej. Dzięki jego staraniom, wspartym memoriałami społeczeństwa i aktywnością środków masowego przekazu, rząd wydał decyzję o powrocie Panoramy do stolicy Dolnego Śląska. Trudno jednak było się spodziewać, że w obecnej trudnej sytuacji inwestycyjno-finansowej znajdą się środki na realizację projektu, którego koszt oszacowano wstępnie na ok. 100 mln. Stało się jasne, że dokończenie znajdującej się poza inwestycyjnymi planami budowy może nastąpić głównie dzięki społecznemu zaangażowaniu.

I tak też będzie. W ciągu trzech miesięcy wpłynęło wiele deklaracji na rzecz Panoramy. Są to złotówki i pomoc rzeczowa ze strony wrocławskich zakładów i instytucji uczelni, studentów. Zgodnie z życzeniem społeczeństwa otwarto konto bankowe. Artyści organizują koncerty z których dochód przeznacza się na to konto. We wrocławskich domach towarowych ustawiono skarbonki. Do społecznej akcji dołączyli się już nawet studenci-obcokrajowcy organizując dwuletnie kursy językowe. Honoraria za nie przekażą na cele budowy.

Tym inicjatywom sekundują działania upowszechnieniowe. Do końca grudnia br. potrwa w Muzeum Narodowym wystawa „W kręgu Panoramy", którą następnie eksponować będzie muzeum w Jeleniej Górze. Pracownicy wrocławskiego Ossolineum przygotowali społecznie ilustracje dla odczytów na temat Panoramy (10 kompletów przeźroczy). W najbliższych dniach ukaże się przewodnik po Panoramie, przygotowuje się również film. Zrealizuje go według własnego scenariusza w łódzkiej WFO reżyser Andrzej Papuziński.

Konserwatorzy ponownie zajrzeli do zwiniętego malowidła, nie spostrzegając na szczęście wyraźniejszych zmian na gorsze. Do prac konserwatorskich zamierza się zaprosić najwybitniejszych specjalistów z kraju.

Dla usprawnienia przebiegu działań władze wrocławskie powołały specjalny zespół realizacyjny pod kierunkiem wicewojewody Danuty Wielebińskiej. Generalnym wykonawcą obiektu będzie znów — po wieloletniej przerwie — wrocławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Uprzemysłowionego, ale dużo prac zostanie wykonanych społecznie (m. in. w zakresie konstrukcji stalowych, aktualizacji dokumentacji, projektów automatyki urządzeń ekspozycyjnych itd.), co z pewnością obniży koszty (w tej chwili oblicza się je na 38 mln).

Ze wszystkich tych sygnałów można sądzić, że szansa przywrócenia Panoramie należnego jej miejsca w procesie edukacji narodowej, zarysowuje się tym razem realnie. Tak jak i moja szansa na to, że za cztery lata będę mógł, podobnie jak wielu Polaków, którym nie dane było to uczynić wcześniej, stanąć przed narodową pamiątką. Myślę, że będzie tam ze mną moja półtoraroczna dziś córka. W tym spotkaniu dwu pokoleń przynajmniej jedno nie będzie spóźnione.

Do łańcucha patriotycznej tradycji powróci brakujące ogniwo.

GRAŻYNA KOMPEL

# Droga Jacka Woszczerowicza „przez labirynt zwany teatrem"

## (w 10 rocznicę śmierci)

*Strumiany, dnia 30 lipca 1970 r.*

*Szanowny! Drogi! Panie Jacku!*

*Od pięciu lat marzyliśmy z Joanną o widowisku misteryjnym zrobionym „pod Woszczera". I nagle — dokładnie 8 lipca! — okazało się, że możemy mieć największe studio TV, ze są pieniądze, tylko — że mamy to zrobić 9 września i tylko wówczas. ZUPEŁNY OBŁĘD! Joanna siedziała dniami i nocami nad tekstem. Potem przyjechali do Strumian Zofia Wierchowicz i Andrzej Sadowski; mieliśmy kilka nader orgiastycznych nocy wypełnionych wizjami diabłów, śmierci, wyrywania rąk, wyłupywania oczu i innych rozkoszy ludzkiego żywota.*

*Dzisiaj wszystko zostało ukończone. Projekty plastyczne zostały złożone w telewizji. Tekst przepisany. Muzyka dobrana. Oby tylko Panu się to wszystko spodobało! OREMUS.*

*Kilka dodatkowych wyjaśnień.*

*OBSADA: Woszczerowicz + 11 tancerzy pantomimistów.*

*KOSTIUM Pana to dłonie i stopy jakby wyszarpane z reszty ciała (kombinacja rozmalowanych trykotów). Poza tym jakiś ciemny habit niehabit. Ewentualnie krótka broda w typie np. Diabła z „Opowieści o żołnierzu". Wszyscy tancerze mają takie same ręce, stopy, habity, a na głowach maski, z których każda jest twarzą Woszczerowicza zrobioną na kogoś (duże deformacje).*

*TEKST mówi tylko i wyłącznie Pan. Za siebie (a więc za Księcia Bolesława), za Śmierć, za Mnicha, za Konrada, za Adelajdę itd. Również śpiewa Pan (tak sobie marzę) dwie piosenki: piosenkę Śmierci i piosenkę Bolesława na ostatniej wieczerzy. Jest to typowa gregorianka (np. „Bogurodzica Dziewica"), bez akompaniamentu. Wyobrażam sobie coś jakby lament, zawodzenie. Teksty mówione i śpiewane poza kadrem trzeba będzie nagrać.*

*MUZYKA jak najbardziej autentyczna. Polska o tyle, że wzięta z polskich zapisów. Będzie więc chorał gregoriański, jednogłosowy, a cappella, w wykonaniu chóru męskiego, kameralnego. Następnie bardziej rozbudowana forma chóralna z towarzyszeniem 2—3 puzonów i np. lutni (np. „Breve regnum"). I wreszcie utwory instrumentalne, jak np. pikulina + perkusja + dudy (dla tanecznika Śmierci i Diabłów).*

*IDEA całości — w załączonym tekście. W każdym razie te wszystkie sztuczki z rozdzielaniem Woszczerowicza na dwanaście postaci prowadzą do ostatecznej myśli: że człowiek zarówno jest katowany, jak i katuje; że jest piekłem i niebem zarazem, że żyje wśród Judaszy, będąc Judaszem dla innych. W Rzymie mówili: homo homini lupus AUT deus. Powiedzmy: homo homini lupus ET deus. Ale o tym wszystkim później.*

*Łączymy wiele najserdeczniejszych pozdrowień*

*Jan Kulma + Joanna* [1])

List ten dotarł do rąk adresata przebywającego na leczeniu w jednym z nałęczowskich sanatoriów na — jak miało się okazać — dwa i pół miesiąca przed jego śmiercią. Aktor podjął się pracy nad owym telewizyjnym widowiskiem Kulmów, zatytułowanym „Misterium męki człowieczej" i szczęśliwie zdołał ją zakończyć. Nie doczekał się jednak emisji. Spektakl ten po raz pierwszy nadano już po śmierci Woszczerowicza, która nastąpiła 19 X 1970 r.

Jacek Woszczerowicz odszedł po czterdziestu sześciu latach pracy w teatrze. Latach znaczonych wędrówką po miastach i zespołach, latach mozolnego wysiłku i sławy.

Zaczynał w kierowanej przez Osterwę Reducie, wbrew woli rodziców, którzy zdecydowanie nie chcieli mieć „synalka artysty" jak nazywał Jacka jego ojciec, stateczny profesor łaciny siedleckiego gimnazjum. Po trzech latach dramatycznego miotania się między studiami prawniczymi, a terminowaniem w zespole Osterwy ostateczne zwycięstwo odniosła w Woszczerowiczu pasja do sceny. Nie przerażało go ani też nie zniechęcało obdarzenie go funkcjami administracyjnymi. Zanim więc został aktorem, sporządzał raporty kasowe, księgował rachunki, był garderobianym. Jednocześnie wiele się uczył. Przez podpatrywanie mistrzów i wielogodzinne ćwiczenia.

Jego pobyt w Reducie można by nazwać epizodem, wszak trwał tak krótko, gdyby nie fakt, że nie gdzie indziej, a właśnie tutaj zetknął się po raz pierwszy i przyswoił na zawsze dążenie do ustanowienia nowej moralności w teatrze. Woszczerowicz należał do aktorów ściśle i konsekwentnie przestrzegających zasad etyki zawodowej. Jego wybitne walory moralno-etyczne stanowiły budulec dla późniejszej wielkości i sławy.

Zaczynał od tzw. „ogonów". Grał role małe, przeważnie charakterystyczne. Potrafił jednak zwrócić na siebie uwagę widza. Także recenzenta. Po odejściu z Reduty osiedlił się Woszczerowicz wraz z grupą kolegów skupionych wokół Edmunda Wiercińskiego w Poznaniu. Jeden z lepszych krytyków dwudziestolecia, Jerzy Koller odnotowywał w „Dzienniku Poznańskim": *„Mamy słabość do p. Woszczerowicza, który w mało wdzięcznej rólce — epizodzie sekretarza Cartera dał próbkę swych interesujących zdolności charakterystycznych."* (5 II 1928).

*„P. Woszczerowicz jest stanowczo bardzo uzdolniony, ale wymaga jeszcze wiele pracy nie tylko osobistej, ale i wytrawnego reżysera. Oby znalazł dla pierwszej dość czasu i wytrwałości, a w drugim dość wiary i przyjaźni."* (24 IV 1928).

Nie tyle może w poszukiwaniu „wytrawnego reżysera", co z chęci pozostania u boku inscenizatora doświadczonego i utalentowanego, powędrował Woszczerowicz za Wiercińskim do „ziemi obiecanej" Zaangażował go Karol Adwentowicz do Teatru Miejskiego. Lata 1928—1930 były dla Jacka Woszczerowicza okresem niezwykle pożytecznym. Stworzono mu bowiem możliwości wszechstronnej pracy pod kierunkiem Schillera, Wiercińskiego, Węgierki, Tatarkiewicza, Meliny, by wymienić najważniejszych.

Sezon 1928/29 otworzył w Łodzi Teatr Miejski 1 września sztuką Zegadłowicza wg Gozziego „Księżniczka Turandot" w reżyserii Konstantego Tatarkiewicza. Przedstawienie bardzo się podobało i doczekało pochlebnych recenzji. Kazimierz Ożóg na łamach „Kuriera Łódzkiego" napisał: *„Zbyt małą rolę miał p. Woszczerowicz, aby można wydać sąd o jego talencie, ale jednak stwierdzić trzeba, że i ta rola wykonana była dobrze."* (4 IX 1928). Zważywszy, że rola Timura, którą zagrał w tym przedstawieniu Jacek Woszczerowicz, była jego łódzkim debiutem, a on sam aktorem nie znanym, opinia recenzenta była wysokim wyróżnieniem.

Następną rolą był Krawiec z „Papierowego kochanka" Szaniawskiego wystawionego przez Teatr Kameralny. Recenzent kryjący się pod kryptonimem J.Z. odnotował: *„Brawurowo zagrał rolę Krawca p. Woszczerowicz. Zjawieniem się swoim ożywił scenę i porwał widzów do oklasków przy podniesionej kurtynie."* („Express" 16 IX 1928).

Celowo przytoczyłam kilka typowych opinii na temat aktorstwa Woszczerowicza, by lepiej pokazać jak wyglądały jego początki. U schyłku swego pierwszego pobytu w Łodzi (miał bowiem do niej powrócić jeszcze dwukrotnie) zagrał władcę Olimpu, Jowisza w muzycznym spektaklu J. Offenbacha „Orfeusz w piekle". W kilka dni po premierze „Głos Poranny" wydrukował taką oto opinię. *„Wśród zespołu komediowego na pierwszy plan wysunął się bezapelacyjnie p. Woszczerowicz w roli Jowisza. Ten imponująco pracowity i pożyteczny artysta coraz świetniej zdaje egzamin na pierwszorzędną siłę. Nie dalej jak wczoraj miałem okazję obserwować go w roli konferansjera w bajce dla dzieci. Zupełnie wyjątkowa zdolność stwarzania kontaktu z młodociana widownią, pełna samozaparcia praca i doskonałe w swej grotesce ujęcie postaci Chaplina zachwyciło nie tylko dzieciarnię, ale budziło również szczery aplauz starszyzny obecnej na widowni. Nie mogłem się powstrzymać od potrzeby wyrażenia uznania p. Woszczerowiczowi za tę kapitalną, cenną pracę w rewii „Trala-Frata".*

*Wracając do „Orfeusza" godzi się podkreślić, że salwy śmiechu, jakie raz po raz wybuchały na widowni, były w lwiej części dziełem właśnie p. Woszczerowicza, szczególnie w akcie III w owym słynnym duecie między Eurydyką a Jowiszem-Muszką".* (1 IV 1930).

Prawdopodobnie Woszczerowicz zostałby w Łodzi dłużej, gdyby nie fakt wcielenia go do armii. Dwukrotnie uwolnił się od wojska skutecznie, za trzecim razem przydzielono go jednak do Szkoły Podchorążych w Śremie, gdzie spędził dziesięć trudnych miesięcy (miał przebywać rok lecz na skutek choroby serca darowano mu pełnych sześćdziesiąt jeden dni).

Gdy wyszedł z wojska zaangażował go Leon Schiller do warszawskiego Melodramu, a po zamknięciu owej efemerycznej scenki (egzystowała zaledwie trzy miesiące) zespół przeniósł się do Wilama Horzycy do Lwowa. Latem 1932 r. Teatr Miejski wyjechał na gościnne występy i urlopowy relaks do Krynicy. Zachował się obszerny fragment listu pisanego przez Woszczerowicza do domu, w którym relacjonuje warunki własnej egzystencji:

*Kochani Wszyscy!*

*Muszę Wam wszystko opisać od początku tzn., bo ja wiem, chyba od Bożego Nar.[odzenia], kiedy byłem w domu. Bo wprawdzie pisałem, ale na gwałt.*

*Otóż:*

*Przyjechałem do Lwowa (jeszcze jedno miasto do mego bukietu cygańskiego życia), gdzie był teatr zwyczajny, tj. taki gdzie gażę płacą, gdzie jest dyrektor (...), gdzie się role gra itd. (...)*

*Jacek Woszczerowicz jako Sganarel w „Don Juanie" Moliera*
*Foto: S. Dukiewicz*

*We Lwowie, jak to się w teatrze mówi, „przyjąłem się". Takie „aplegierkowe" wyrażenie. Przyjąłem się nawet bardzo! W Krynicy tak dalece, że ludzie przychodząc na jakąś sztukę, przychodzą i dlatego, że ja właśnie gram. Następnie, w każdym takim teatrze istnieje zawsze jakiś ulubieniec, który albo był, albo jest i z którym ciągle jest się porównywanym. A co za tym idzie, albo wygląda się na lepszego, albo na gorszego. Otóż w tym sezonie miałem takich dwóch rywali. Aktualnie Kondrata (Sata go zna) zresztą bardzo a bardzo zdolnego, którego obecność wcale nie szkodziła sądom ludzi o mnie. A drugi to Znicz z Łodzi, który był w poprzednim sezonie we Lwowie i bardzo się podobał, a w tym roku był na występach we Lwowie. Graliśmy w jednej sztuce: on doskonałą rolę, a ja marny epizod. A skutek był o tyle właśnie pochlebniejszy dla mnie, że każdy wiedział, że materiał miałem gorszy.*

*Poza tym co do ról, jakie grałem to chyba takiej rozpiętości i rozmaitości nie miałem nigdy jeszcze. A więc grałem 70-letniego aktora (recenzenci myśleli, że Woszczerowicz jest to aktor, który w życiu ma ze 60 lat) i grałem 18-letniego chłopca, zblazowanego arystokratę-histeryka; obok zaraz chama szlachcica, opoja w Szekspirze, albo np. męża pod pantoflem, profesora geologii, a już następnego dnia macie 12-letniego murzynka na podwórzu New Yorku.*

*Toteż dyrekcja chce mnie zatrzymać na przyszły rok i mógłbym nawet dostać ze 200 zł p. podwyżki, ale ja zaangażowałem się do Warszawy, do Ateneum u Jaracza. A więc znowu będziemy blisko siebie.*

*W Krynicy przez lipiec miałem dużo roboty, bo wieczorami się gra, a próby miałem codziennie, ale teraz prób już nie mam i naprawdę świetnie wypoczywam. Biorę kąpiele mineralne i hydropatyczne, 8 miesięcy nie miałem w ustach kropli wódki i papierosa. Urlop — ten zupełny — będę miał od 8.IX. i chciałbym przyjechać do Was. Chociaż ciągną mnie do Ateneum, żebym robotę zaczął już we wrześniu.*

*W tym roku od 8 stycznia nie byłem głodny zupełnie, natomiast b. skromnie mieszkałem, oczywiście u Żydów. Piszcie. Wściekam się, że mama nie dała znać, że nie macie pieniędzy, żeby chociaż wyjechać na wieś".*

Woszczerowicz istotnie zaangażował się na sezon 1932/33 do kierowanego przez Jaracza Teatru Ateneum, gdzie pracował jeszcze w sezonie następnym. Potem była Łódź za dyrekcji Wroczyńskiego i znowu Warszawa lecz tym razem wielki koncern prowadzony przez Szyfmana, teatry Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej. To tu powstały pierwsze wybitne kreacje Woszczerowicza, o których głośno było w całej Rzeczypospolitej — Adwokat Dodson w „Klubie Pickwicka", Iskra w „Gałązce rozmarynu" Nowakowskiego, Sokrates w „Obronie Ksantypy" Morstina, Doktor Gadarin w „Ostrożnie, świeżo malowane!", Fauchoisa.

Od roku 1936 Woszczerowicz pracował także w radiu i w filmie. Coraz to nowe pokolenia, które pojęcia nie mają kim był, podziwiają jego Jemioła w „Znachorze" i „Profesorze Wilczurze", jego Magika w „Strachach".

Gdy wybuchła wojna, przewidując — jakże słusznie — bieg wypadków, opuścił Jacek Woszczerowicz Warszawę i podążył na wschód. Znalazł dom w teatrze zmontowanym na prędce przez Aleksandra Węgierkę, początkowo w Grodnie, potem w Białymstoku. Po wybuchu wojny hitlerowsko-radzieckiej scena ta przestała istnieć, a aktor wróciwszy do rodzinnych Siedlec, pozostawał do wyzwolenia w ukryciu, bowiem Niemcy chcieli go zaangażować do propagandowego filmu. Zdecydowanie odrzucając tę poniżającą godność polskiego aktora propozycję, dobrowolnie skazał się na domowy areszt. To wówczas, w czasie ciągnących się dni opracował — jak wyznawał w znacznie później wywiadach — inscenizacyjną koncepcję „Ryszarda III" Szekspira i tytułową, bez wątpienia najważniejszą dla artysty rolę. Trudy tej pracy spożytkować miał jednak dopiero za lat dwadzieścia.

Na wieść o wyzwolonym Lublinie pośpiesznie skreślił słowa skierowane do Wincentego Rzymowskiego o swej gotowości do pracy w teatrze. Odwrotną pocztą dostał odpowiedź, z której wynikało, że im wcześniej dołączy do zespołu Teatru Wojska Polskiego, tym lepiej. Gdy stanął w Lublinie ówczesny dyrektor TWP Władysław Krasnowiecki poprosił go o wyreżyserowanie „Wesela". Zrządzeniem losu był to pierwszy polski spektakl po sześcioletniej blisko okupacji. Z przedstawieniem tym artyści podążali za posuwającym się Wojskiem Polskim na zachód. Pokazano „Wesele" w Krakowie, Katowicach i Łodzi.

Po raz trzeci Łódź stała się miastem, w którym Woszczerowicz zatrzymał się dłużej. Tu bowiem osiadł teatr, tu przekazał Krasnowiecki dyrekcję przybyłemu do kraju z obozu w Ligen Leonowi Schillerowi. Tu Wierciński i Korzeniewski z Woszczerowiczem powołali do istnienia Scenę Poetycką, której krótki, zbyt krótki, niestety, żywot nie przesłonił na szczęście pamięci o jej wybitnych osiągnięciach, zwłaszcza zaś o „Elektrze" Giraudoux. Niech wolno mi będzie raz jeszcze przytoczyć opinię krytyka, Edward Csato pisał: *„Zelwerowicz i Woszczerowicz — podwójnie obsadzona rola Żebraka, nie biorącego zasadniczo udziału w akcji, a zawsze obecnego na scenie tłumacza zdarzeń i komentatora krótkich ludzkich myśli. Mówi się o nim, że nie wiadomo czy jest człowiekiem, czy bogiem; otóż zdaje mi się, że Zelwerowicz jest bardziej bogiem, Woszczerowicz bardziej człowiekiem. Charakterystyczny, nieco wolniejszy niż u innych, a niesłychanie precyzyjny sposób mówienia Zelwerowicza i jego pełne godności ruchy nadają mu boskie dostojeństwo; Woszczerowicz zaś frapuje widza swoim własnym, zupełnie oryginalnym sposobem akcentowania tekstu, który wydaje się nieoczekiwany, a zawsze porusza jakieś głęboko ludzkie struny. To już nie przebrany bóg, ale właśnie najautentyczniejszy żebrak, który w jakichś sympatycznych kolejach losu nauczył się niespodziewanej mądrości".*

(„Kurier Popularny" 22 II 1946)

Był też Woszczerowicz pedagogiem teatralnym. W założonej przez Schillera w Łodzi Szkole Teatralnej prowadził ćwiczenia i wykłady z aktorstwa. Gdy w dwa lata później Aleksander Zelwerowicz otwierał PWST w Warszawie, zwrócił się do Woszczerowicza

*Kochany kolego Jacku,*

*Nie ma Pan żadnego moralnego prawa odmówienia swej współpracy w powstającej w Warszawie pod moim kierownictwem Państwowej Szkole Teatralnej. (...)*

*oddany*
*Al. Zelwerowicz*

*Warszawa, 17 IX 1947*

Na początku 1948 r. przybył Jacek Woszczerowicz do Warszawy, która była ostatnim już etapem jego teatralnego labiryntu. W teatrach: Rozmaitości, Polskim, Narodowym i Ateneum stworzył po wojnie niecałych dwadzieścia ról, ale niemal wszystkie stały się wybitnymi kreacjami, wartymi utrwalenia. Rozmiary tego szkicu pozwalają jedynie, by przypomnieć Józefa K. z „Procesu" Kafki, rolę, o którą z takim uporem walczył i legendarnego Ryszarda z krwawej tragedii Szekspira.

*„Ryszard III fascynował nas. Nie, to Woszczerowicz fascynował nas. Fascynował techniką, mistrzostwem, lekkością transformacji. A przecież kryło się w tej postaci pewne niebezpieczeństwo — nieobojętne dla wielkości tego aktorstwa. Niebezpieczeństwo doskonałości. Pokusa wirtuozerii. Woszczerowicz pokazuje wszystko, co chce, łubuje się doskonałością, epatuje nią widownię".* (J.P. Gawlik, Twarze teatru, Wrocław 1963).

Niezwykle trudno wypowiedzieć słowami prawdę o aktorze. Jeszcze trudniej wypowiedzieć ją o aktorze wielkim. Myślę, nic trafniej i bardziej lapidarnie nie odda sposobu rozumienia przez Woszczerowicza roli teatru i roli aktora, jak jego własne słowa. Napisał je w prywatnym liście do ofiarodawcy portretu Chaplina:

*„Wielu z mego środowiska, i nie tylko z mego, nie chce sobie zdać sprawy, że teatr, że aktorstwo to walka, a przynajmniej protest przeciwko temu, co podłe.*

*Chaplin był znakomitym przedstawicielem tak rozumianej sztuki. I znakomicie nawiązał do pięknej tradycji rzemiosła. Był błaznem, ongiś znaczyło to być reprezentantem opozycji zresztą opłacanej przez możnych, jak u Szekspira".*

[1]) Wszystkie wykorzystane w tekście listy (bądź fragmenty) publikowane są po raz pierwszy. Wszystkie – z wyjątkiem pisanego w 1932 r. w Krynicy – znajdują się w archiwum domowym aktora, nad którym opiekę przejęła po śmierci Woszczerowicza jego żona, Halina Kossobudzka. List z Krynicy znajduje się w posiadaniu sióstr artysty.

## TEATR

1.

Czas, w jakim żyjemy, chęć wypowiedzenia się w sprawach współczesności, czy też zamarkowania swego zainteresowania nimi, skłania niektórych twórców teatralnych do stosowania zabiegów zmierzających do aktualizowania dzieł powstałych w innych czasach, a co ważniejsze — z innych powodów, wywołanych innymi motywacjami.

# DEJMEK NAM NA UCIECHĘ

Zabiegi takie niesłychanie rzadko przynoszą zadowalający efekt. Zdarzał się on teatrowi studenckiemu pierwszych lat siedemdziesiątych (np. „Spadanie", „Sennik polski" Teatru STU czy „Retrospektywa" Teatru 77), spektakle jego nosiły jednak charakter collage'ów, oparte więc były o tworzone od nowa, unikatowe struktury, w których nowe jakości, istotnie nowe znaczenia, powstawały w wyniku zderzania tekstów różnych autorów, organizowaniu, poprzez inscenizację, zamierzonych przez zespół kontekstów. Czy tak, czy tak jednak, był to zabieg zastępczy, wynikający z tego, że literatura dramatyczna nie nadążała za czasem, a teatr studencki był niecierpliwy...

Zabiegiem najpospolitszym, z którym ostatnio zetknęliśmy się przy okazji premiery „Kartoteki" Różewicza w Teatrze im. Jaracza (reżyser Ryszard Major) i „Igraszek z diabłem" Drdy w Teatrze Powszechnym (reżyser Józef Gruda), jest wtłaczanie na siłę w nieprzystosowaną do tego strukturę dramatu sytuacji, kontekstów, a i „uaktualniających" rekwizytów (owe kolejki, piwo w „Kartotece"), lub też dopisywanie uaktualniających tekstów („Igraszki z diabłem").

Zabiegi te są według mnie tyleż wątpliwe, co nieskuteczne. Z reguły, poprzez naginanie idei utworu do doraźnych potrzeb, poprzez instrumentalne traktowanie teatralnej wypowiedzi, spłaszczają perspektywę dzieła, odbierają mu uniwersalizm. Aktualizowanie na siłę, poza tym, że zubaża literaturę dramatyczną, powoduje powstawanie natrętnych tautologii — pozbawia widza przyjemności dookreślania scenicznej propozycji. Tak, w skrajnych wypadkach, rodzą się Hamlety i Kordiany w garniturach, kabarety z tragedii, farsy z dramatów.

Wątpliwość moja polega jeszcze na tym, że zabiegi takie są w gruncie rzeczy, w olbrzymiej większości wypadków, obraźliwe dla widza, traktują go bowiem jako persone niezdolna do samodzielnego myślenia, której wszystko trzeba podać jak na dłoni, bo w przeciwnym wypadku, jeśli nie będzie miała wytrycha podtekstu, aluzji, itp., niczego nie zrozumie, nie odniesie universum do siebie, do sytuacji, nie będzie umiała stworzyć własnej perspektywy odbioru...

Aktualizowanie universum powstaje zaś, moim zdaniem, w wyniku całkiem innego i bardziej skomplikowanego procesu, niż trywialne „wzbogacanie" o aktualia. Proces ten ma swoje źródło (może mieć) w miejscu zderzenia tego, co ze współczesnej mu rzeczywistości wnosi ze sobą do teatru, w mózgu, w sercu, w oczach i na butach widz — z tym, co sztuka w swym rzeczywistym kształcie wypromieniowuje ze sceny.

Tak więc przyszedł chyba dla teatru czas, w którym bujnym życiem mogłaby rozkwitnąć wielka, zadająca wielkie pytania klasyka, przyszedł też, być może, czas dzisiejszego Majakowskiego (nie tylko tego z „Łaźni", „Pluskwy", ale i z „Radia-Październik").

Jak na razie jednak, teatr tkwi jeszcze we „wczoraj", w swej nieautentyczności.

Są oczywiście i wyjątki. Pięknym takim wyjątkiem była akcja Teatru „Wybrzeże" w Stoczni Gdańskiej, w sierpniu, gdzie to, i kiedy to, autorzy i aktorzy stanęli twarzą wprost do widowni.

2.

Są i wyjątki inne. Są takim wyjątkiem **„Uciechy staropolskie" (lepsze i pożyteczniejsze aniżeli z Bacchusem i Wenerą)**, które przedstawił w Teatrze Nowym Kazimierz Dejmek.

Nie robił Dejmek swych „Uciech" z myślą o „tej" sytuacji, nie krasił ich okazjonalnymi szyframi, aluzjami, podtekstami (choć byłby do tego uprawniony, bowiem intermedia, w swoim czasie, spełniały także rolę interwencyjną, zmieniały się w zależności od czasu i miejsca, były aktualizowane). To, że XV—XVII-wieczne teksty brzmią swojsko i wcale nie jak ramota, przeciwnie, niektórych możemy słuchać jakby pisanych dziś świadomych stylizacji, wynika z faktu, że teatr plebejski, oparty o ciągle obecne, uniwersalne motywy, odwoływał się do swej publiczności w sprawach ważnych, bawił ją, uczył, objaśniał zdarzenia, a przede wszystkim zawsze był związany z życiem.

Przedstawienie Dejmka składa się ze scenek, które w średniowiecznych i renesansowych spektaklach pełniły rolę przerywników w tragedyjach, widowiskach pasyjnych i innych dramatach, rozgrywanych najczęściej na rynkach miasteczek. Intermedia — międzyakty, nie związane z akcją „głównego" przedstawienia, pozbawione były sztafażu scenograficznego, bogatych kostiumów i techniki scenicznej. Aktor, tekst i wrażliwość, wyobraźnia widza, stanowiły jedyne tworzywa tego teatru. To, co przetrwało do dziś, to język, barwny, jędrny, bogaty, a i dosadny, choć dosadnością inną niż płaska dosadność współczesna, a także humor tekstów, ich wydźwięk satyryczny, niekiedy moralne przesłanie. Zostało więc wszystko, co najważniejsze. Reszta jest sprawą inscenizatora i aktora.

Dejmek, decydując się na ten spektakl, mając już za sobą świetne doświadczenia „Żywota Józefa", „Hiroryji o chwalebnym zmartwychwstaniu pańskim" i „Dialogusu de Passione albo żałobnej tragedyji o męce Jezusa", daleko odbiegł od funkcji, jaką zawarte w nim scenki spełniały w przedstawieniu Średniowiecza i Renesansu. To, co było przerywnikiem, stało się główną osnową, przerywaną z kolei innymi intermediami, wiążącymi jednak spektakl — tańcami i śpiewami opartymi o muzykę dawną. To istotne przesunięcie strukturalne usprawiedliwiło, a wręcz uczyniło koniecznymi, dalsze zabiegi, polegające na kompilacji zbliżonych tematycznie tekstów różnych autotów, oczyszczeniu ich z niezrozumiałej dziś frazeologii, wzbogaceniu o oryginalne cytaty z różnych źródeł. W rezultacie, w oparciu o zachowane utwory **Mikołaja Reja, Januariusza Sowizrallusa, Adama Władysławiusza, Baryki, Dzwonkowskiego, Jurkowskiego, Kochanowskiego, Klonowicza, Pętkowskiego, Zimorowicza** i wielu Anonimów, powstało widowisko w dużej mierze nowe, oryginalne. Nowe, oryginalne — w formie, w treściach zaś odwołujące się bezpośrednio do tego, co interesowało, bawiło, smuciło naszych antenatów, gromadzących się na rynkach, bądź przed wrotami kościołów.

Fakt, że intermedia stały się główną osnową, nie mającą za sobą dekoracji zasadniczego przedstawienia, zmusił inscenizatora do sięgnięcia po współpracę scenografa. Dekoracje, sygnalizujące miejsce akcji (szkoła — sklep — dwór Lucipera, warsztat „szewcki", itp.), stworzył **Jan Polewka**, posługując się elementami stałymi i mnogością elementów podwieszanych, precyzujących klimat, nastrój scenki („Cnotka i dziadkowie" oraz „Nędza z bidą z Polski idą", rozgrywane wśród tych samych elementów stałych). Tę ostatnią funkcję spełnia też w sposób znaczący operowanie światłem. Kostiumy, oszczędne a sugestywne, są dziełem nieżyjącego Andrzeja Stopki, którego nazwisko starcza w tym przypadku za ocenę. Konsekwencja dalsza — sięgnięcie po przerywniki taneczne i muzyczne, wzbogaciła spektakl o utwory Wacława z Szamotuł, Cypriana Bazylika, Mikołaja Gomółki i XVI—XVII-wiecznych Anonimów.

W rezultacie zaproponował nam Dejmek przedstawienie o czystej, nie podkolorowanej urodzie, tętniące życiem skłaniające nas, śmiejących się, rozbawionych, także do refleksji nad jednym z ważniejszych źródeł naszej tradycji kulturowej, płynącym strumieniem ciągłym, nieprzerwanym, tyle że często zapomnianym, lekceważonym. Bije też z tego spektaklu trudny do zdefiniowania optymizm: być może chodzi o dumę z tego, że mamy w swoim rodowodzie tak bujną, silną i zdrową tradycję kultury plebejskiej, a być może i o to, iż mimo przywar, wad i nieprawości, dostrzeganych już przez przodków, ciągle istniejemy jako naród, że „Sejm piekielny" i „Nędza z bidą z Polski idą" jest ostrzeżeniem ciągle odnawianym, a więc nie katastroficznym.

Powie ktoś, że to refleksja ahistoryczna; tak, to prawda, cóż jednak poradzić na odczucia. Znaczące jest dla mnie że Dejmek, tak wyczulony na współczesność, tym razem nie gromi, nie rozstrzyga, nie drażyi, lecz zaopatruje nas w racjonalizm, będący przecież podstawą satyry, humoru, a więc naprawy.

3.

Można, od biedy, próbować rekonstruowania różnych elementów starego teatru, nie sposób zrekonstruować jednego: aktorstwa. Nawet nie usiłują tego robić aktorzy „Uciech". Odczytują te teksty poprzez swoją współczesną wrażliwość (bo jakąż inną), interpretacja wynika wprost z tekstów; zadaniem aktorów jest stworzyć postać — typ, opatrzyć ją w cechy charakterystyczne, łatwo rozpoznawalne. Siła rzeczy więc aktorstwo „Uciech" rysowane jest grubą kreską (zewnętrzność, gest, sposób reakcji). Cała jego finezyjność skierowana została na tekst, niełatwy przecież, bo operujący dawnymi figuram stylistycznymi, specyficzną frazeologią i słownictwem.

Wszystko to pod ręką Dejmka stało się w wykonaniu aktorów spójne, przejrzyste, komunikatywne. Miast więc rozdzielać zasługi, sprawiedliwiej będzie pogratulować całemu zespołowi, składając gratulacje na ręce głównych postaci. Kłaniam się więc **Ludwikowi Benoit** za Patra, Lucipera, Jandrasa, Nędzę, **Bogdanowi Baerowi** za Asmodeusa, Szewca, Chłopa, Dziadka, **Januszowi Kubickiemu** za Kupca, Cerberusa, Pana, **Ryszardowi Dembińskiemu** za Śmierć, Klekota, Wdowca, parze pań: **Annie Grzeszczak** i **Łucji Żarneckiej** za Baśkę i Kaśkę oraz Bidy, osobno **Żarneckiej** za Szewcową, **Ryszardowi Stogowskiemu, Janowi Kasprzykowskiemu, Jerzemu Chojnowskiemu** i innym, innym, innym, niech się odkłonią pozostałym swoim kolegom z „Uciech", a także całemu zespołowi Panien i Młodzieńców, a także Orkiestrze.

Świetna idea Dejmka zrealizowania „Uciech staropolskich" wypełniona została ich indywidualną i co się zowie zespołową pracą.

**JERZY KATARASIŃSKI**

**Teatr Nowy w Łodzi. „Uciechy staropolskie", opracowanie dramaturgiczne i reżyseria: Kazimierz Dejmek, kostiumy i rekwizyty, wg projektów Andrzeja Stopki, w opracowaniu Jana Krzewickiego, dekoracje Jana Polewki, muzyka w opracowaniu Jerzego Dobrzańskiego, tańce w układzie Wandy Szczuki, kierownictwo muzyczne: Anna Płoszaj, dyrygenci: Andrzej Rokicki i Mieczysław Wojciechowski, orkiestra — Zespół Muzyki Dawnej Antiquo Modo przy PT. pod kierunkiem Krzysztofa Gaianta. Prapremiera 14 grudnia 1980 roku.**

## TELEWIZJA

Elementy odnowy dają się zaobserwować także i w poniedziałkowym teatrze TvP. Może zbyt wcześnie na optymizm i głoszenie jakiegoś pozytywnego przełomu, faktem jednak jest, że po długim okresie miałkości coś tam się zmienia. Od paru tygodni jest przynajmniej o czym pisać, z czymś się spierać, coś aprobować.

Zainscenizowana przez Janusza Zaorskiego adaptacja powieści wybitnego, choć kontrowersyjnego, pisarza amerykańskiego Erskine'a Caldwella „Ziemia tragiczna" z pewnością u wielu widzów wywołała swą drastycznością uczucia sprzeciwu. W panującej u nas konwencji obyczajowej istnieją tereny tabu, na które nie można wstępować, nie ściągając na siebie dezaprobaty czy wręcz oburzenia części opinii publicznej.

W przypadku telewizji rzecz jest o tyle delikatna, że rodzice nie panują już na ogół nad tym, co oglądają ich dzieci. Można było wprawdzie zapowiedzieć przed emisją „Ziemi tragicznej", że spektakl przeznaczony jest tylko dla widzów dorosłych; nie zrobiono tego. Ale zdajemy sobie sprawę, że nawet takie ostrzeżenie jest tylko usypianiem sumienia. Wystarczy, by rodzice wyszli z domu wieczorem, a już progenitura ich ogląda program „jak leci", nie przejmując się zakazami.

Tak, proszę państwa, świat się zmienia! Gdzież te czasy, kiedy jako wyrostek z wypiekami na twarzy czytałem „Dzieje grzechu", ściągnąwszy ojcu z półki tę książkę pod jego nieuwagę! Dla naszych dzieci takie drastyczności jak te w powieściach Żeromskiego to kaszka z mlekiem.

Ale przejdźmy do głębszej oceny widowiska telewizyjnego „Ziemia tragiczna" i popróbujmy bez podniecenia i emocji omówić jego wartości treściowe i moralne. Nie sądzę bowiem, by generalne odrzucanie tego typu spektaklu miało jakikolwiek sens.

Powieść Caldwella powstała w 1944 roku, w okresie gdy rozwój przemysłu wojennego ściągał do miast zbiedniałych farmerów z Południa. Rzecz dotyczy zatem dawno już zamkniętego okresu i rozpatrywana być może w kategoriach historycznych. Ze współczesnym obrazem Stanów Zjednoczonych niewiele ma wspólnego.

Farmerzy tacy, jak Spence Douthit czy Floyd Sharp, reprezentowali stan niskiego rozwoju intelektualnego, co uniemożliwiało im niemal zaadaptowanie się w warunkach ucywilizowanego, zurbanizowanego życia. To nieprzystosowanie ich, wyrwanych z gleby, w której wyrośli, i przeniesionych na obcą im zupełnie, w której nie potrafili zapuścić korzeni, prowadziło owych ludzi do całkowitej frustracji i dziecinnej wręcz nieporadności.

Cechami bohaterów Caldwella jest przyzwyczajenie do półzwierzęcej wegetacji i brak wszelkich zahamowań w realizowaniu swoich zachcianek. Wyraża się to w obnażonej z wszelkich osłon zmysłowości. Gdy mężczyzna zapragnie kobiety, wówczas sięga

# PÓŁZWIERZĘCE? LUDZKIE?

po nią jak po chleb, jak po owoc z drzewa. Gotów jest spółkować z nią nawet na oczach otoczenia. Zawiera się w tym pierwotność, nie poddająca się kodeksom moralnym, jakimi ludzkość obwarowała sprawy seksu na przestrzeni tysiącleci. Jednego nie można odmówić postaciom caldwellowskim, są autentyczne, niezakłamane, pełne dobrej woli.

W „Ziemi tragicznej" tylko dwie osoby reprezentują inny świat, ten skonwencjonalizowany, ukształtowany w procesach wiekowych, świat amerykańskiego establishmentu. To pani Jouet i panna Saunders, przedstawicielki organizacji charytatywnej. Obie w innej formie zdążają przecież do tego samego celu. Chodzi im o pozbycie się z miasta niewygodnej, rozwydrzonej biedoty, którą z punktu widzenia interesów dobrze usytuowanej społeczności uważają za niebezpieczną.

Pomoc, z jaką przychodzą do tych ludzi, ma tylko pozornie za źródło współczucia. Obie damy brzydzą się w gruncie rzeczy Spencem Douthitem i jego rodziną. Z punktu widzenia swej mieszczańskiej moralności mają z pewnością rację, gdy oburza je prostytuowanie się nieletnich dziewcząt. Trudno im zrozumieć, że te właśnie dziewczęta widzą dla siebie w prostytucji jedyną drogę do wyrwania się z biedy i zakosztowania innego życia.

Caldwell nie darzy sympatią obu dam usiłujących ingerować w życie rodziny Douthitów. Ukazuje ich zakłamanie i nieszczerość, kompromituje umoralniającą frazeologię, która spływa tak łatwo z ich warg. Na tym tle prostacki, zmysłowy i dziecięco naiwny Spence urasta do roli pozytywnej. Uczciwy w swoich odruchach, pragnieniach, postępowaniu, nie prowadzi wyrafinowanej gry, choć jest jak słomka unoszona przez falę życia, którego nie rozumie.

Jeżeli więc chcieć w sposób poważny ocenić powieść, która posłużyła za tworzywo literackie dla spektaklu telewizyjnego, to nie sposób odmówić jej wartości humanistycznych. Autor nie waha się badać naturę ludzką nawet na tak niskim, półzwierzęcym poziomie, bronić prawa jednostki do godności w tak drastycznych okolicznościach. Prawdę tę wspaniale weryfikuje na ekranie Roman Wilhelmi.

**WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

## ZERWANA NIĆ BABIEGO LATA

Wiktor Smirnow autor wznowionej właśnie w KIK powieści pt „Zerwana nić babiego lata" jest człowiekiem stosunkowo młodym. Urodził się w 1933 roku. Należy do pokolenia, które nie zdążyło wziąć czynnego udziału w walce z okupantem Przeżycia wojenne jednak, zarówno strzępy obrazów zapamiętane przez dziecko jak i przeżycia innych ludzi znane z opowiadań stały się dla Smirnowa źródłem, do którego ustawicznie sięga pisząc swoje kolejne powieści.

„Zerwana nić babiego lata" jest jednym z ciekawszych utworów tego pisarza. Akcja powieści toczy się pod koniec wojny. Bohater, młody chłopiec, zwolniony z wojska wskutek ciężkiej rany, zostaje mianowany szefem milicji w zapadłej wiosce Jest to specjalny oddział milicji mający na celu obronę ludności przed banderowcami W okolicach wioski, w której stacjonuje oddział młodego bohatera, działa banda byłego „policaja" Horelego. Bohater niedoświadczony w tego rodzaju walce musi rozwikłać szereg zagadek i znaleźć sposób na unieszkodliwienie groźnej bandy. Udaje mu się wreszcie zmobilizować kilku ochotników ze wsi i przy ich pomocy przeprowadzić udaną akcję i odnieść zwycięstwo.

Według powieści Smirnowa nakręcono film grany również na naszych ekranach. Spotkał się on z żywym zainteresowaniem kinomanów. Dla tych, którzy oglądali film, książka będzie przypomnieniem i uzupełnieniem tego co znają, dla nowych czytelników polecam ją jako ciekawą pozycję, w której w sposób nietypowy przedstawiono proces dojrzewania ludzi młodych w szczególnych, trudnych warunkach wojny.

**Wiktor Smirnow „Zerwana nić babiego lata", przekł. Ewa Rojewska-Olejarczyk, PIW W-wa 1980, str. 330, cena zł 34.—**

## STOPA TRZECIEJ GRACJI

Nakładem Czytelnika ukazała się druga powieść Ludmiły Marjańskiej „Stopa trzeciej Gracji". Akcja tej powieści rozgrywa się współcześnie w Warszawie. Główny bohater — po trosze malarz, po trosze rzeźbiarz i architekt, człowiek słaby, i bezwolny, ponoszący klęski i w miłości i w swojej pracy twórczej — ulega wypadkowi samochodowemu i zostaje kaleką na zawsze przykutym do inwalidzkiego wózka Ta niecodzienna a jednocześnie tragiczna sytuacja wyzwala w bohaterze zupełnie nieznane dla niego stany i przeżycia. Zmienia się jego stosunek do własnej twórczości, do samego siebie. Przestaje być zapatrzonym w siebie egoistą, zaczyna dostrzegać innych ludzi, zastanawiać się nad ich przeżyciami, emocjami i reakcjami Jest to nieco przewrotna sytuacja. Zwykle choroba wyzwala u ludzi egocentryzm, u Marjańskiej jest odwrotnie. Ten zabieg pozwala autorce na bardziej zwarte i nierozproszone przez wydarzenia z boku, rejestrowanie stanów psychicznych bohatera, jego powolną zmianę osobowości. Książka interesująca, ale nieco nudna poprzez monotonię i rozwlekłość, zwłaszcza części dotyczącej bohatera przed wypadkiem. Nie polecałabym jej jako lektury świątecznej, a już na pewno nie na prezent. Zawiera w gruncie rzeczy mało elementów poznawczych, a znowu jak na książkę psychologiczną jest zbyt stereotypowa, pokazuje ograne już schematy i układy. Niewiele wnosi do naszej wiedzy o świecie, poza znaną już prawdą, ograną przez wielu twórców, że to, co przestaje być osiągalne zaczyna być podwójnie drogie, podziwiane, upragnione.

**Ludmiła Marjańska „Stopa trzeciej Gracji", Czytelnik, W-wa 1980, str. 225, cena zł 21.—**

## CUDZOZIEMIEC W PEKINIE

Gdy spytać przeciętnego Polaka, co wie o Chinach, odpowiedziałby, że niewiele. Poza danymi geograficznymi i kilku informacjami zaczerpniętymi ze skąpych doniesień prasowych Chiny są właściwie nieznane. Przemiany, jakie tam się dokonują poza wąskim gronem specjalistów, dla Polaka są niezrozumiałe. Mimo to, a właśnie może dlatego — wielu z nas interesuje ten tajemniczy, zamknięty w swoich sprawach kraj. Wielu z nas, w tym piszące te słowa, marzy o tym, żeby tam pojechać W tej chwili cały świat z zainteresowaniem śledzi odbywający się tam proces „bandy czworga". Informacje na ten temat przekazywane nawet za pomocą obrazu telewizyjnego są dosyć jak na zwyczaje chińskie obszerne

Prawie równolegle z doniesieniami na ten temat ukazała się książka Heleny Adamczewskiej „Cudzoziemiec w Pekinie". Jest ona rezultatem wieloletnich obserwacji autorki, która przebywała w ChRL, w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, a także odwiedziła ten kraj w roku 1977. Mieszkała w Pekinie, ale zwiedziła również główne ośrodki przemysłowe w prowincjach północnych i południowych, oraz komuny wiejskie. Zgromadziła rzetelne i wielostronne informacje o życiu codziennym przeciętnej chińskiej rodziny. Poprzez liczne dygresje historyczne Helena Adamczewska przedstawia również fascynujące egzotyka zjawiska ze sfery chińskiej kultury i cywilizacji. Z relacji reporterskiej wynikają także konstatacje dotyczące życia społeczno-politycznego jak np.: przejawy wyobcowania ekipy rządzącej w ChRL Lektura tej książki w pewnej chociaż mierze przyczynić się może do zrozumienia przez nas tego co się w Chinach dzieje m.in. procesu „bandy czworga", o którym pisałam wcześniej.

**Helena Adamczewska „Cudzoziemiec w Pekinie", Czytelnik, W-wa 1980, str. 314 cena zł 30,—**

*„Szansa"*

*Reż. Feliks Falk*

# MIĘDZY FILMEM a rzeczywistością

**W dyskusji redakcyjnej udział biorą: MARIA KORNATOWSKA, EWA NURCZYŃSKA, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, PIOTR MIKUCKI i TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.**

**EWA NURCZYŃSKA:** — Falę kina moralnego niepokoju mamy za sobą. Nie tylko w czasie, ale i w perspektywie wydarzeń społecznych, którymi te filmy zostały przedzielone od naszej dyskusji. Trzeba sobie w tym miejscu uświadomić, z jakim zespołem autorów mieliśmy do czynienia. Byli tam twórcy o ogromnym doświadczeniu — na przykład Kieślowski — i ludzie wypowiadający się w dużych formach fabularnych po raz pierwszy. Trzeba to uwzględnić, bo boję się, że możemy w naszej rozmowie skrzywdzić te filmy. Przecież rzadko zdarza się, aby w tak krótkim czasie coś, co miało być głosem ludzi sztuki, skonfrontowało się z rzeczywistością w sposób tak dramatyczny. Wydaje mi się zatem, że naszym obowiązkiem jest obiektywna ocena zjawiska. A więc postarajmy się odpowiedzieć na pytania: po pierwsze, czy w filmach tych zachowały się wartości do dziś aktualne i czy — po drugie — spełniły one w momencie pojawienia się na ekranach swoją — zamierzoną przez twórców — funkcję społeczną? Nie wiem jaka może być odpowiedź na pierwsze z tych pytań.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Wydaje mi się, że to „nie wiem" jest potwierdzeniem wartości tych filmów, bowiem objawiły one pewien stan społecznej frustracji, który trwa do dziś. Z jednej strony urzekały jakimś odkryciem prawdy — moralnej i estetycznej, ale z drugiej strony nie dawały odpowiedzi na postawione pytania. Odpowiedzi tych nie znamy po dzień dzisiejszy. Rozwój sytuacji nie wskazuje na to, abyśmy je mieli szybko poznać, a stan frustracji — jak powiedziałem — trwa nadal. Jest tu okazja do pomówienia o funkcji profetycznej kina, która ujawnia się od czasu do czasu w historii. Film, jak rzadko która sztuka — a są precedensy, jak choćby ekspresjonizm niemiecki — potrafi wyczuwać przyszłość. Filmy moralnego niepokoju zarejestrowały drżenie ziemi, które od dłuższego czasu czuliśmy pod stopami. Nie wiemy, w jaką stronę obróci się nasza historia, ale fenomen proroczej funkcji kina został potwierdzony. Potwierdzony także dlatego, że film nie tylko zwraca się do zbiorowości, ale i wyrasta z charakteru kolektywnego tworzenia, ze świadomości zbiorowej — bardziej niż sztuka literacka, czy plastyczna. Tak więc miarą wartości tych filmów była odwaga, którą wykazały, mimo że wszystko, co objawiły, odbierane było jako oczywiste.

Gdy świadomość nieoficjalna stała się oficjalną, to co było odwagą, staniało w swoim przesłaniu. W tej chwili stoją przed kinem i społeczeństwem inne pytania. Na pewno głębsze. Diagnozy, które pojawiły się w tamtych filmach, były bardzo enigmatyczne, tzn. albo popadały w pewną szlachetną retorykę („Szansa"), albo bardzo bełkotliwe („Aktorzy prowincjonalni"). W filmie tym, dopóki Holland demaskuje i obnaża, robi to w sposób znakomity. Natomiast gdy na samym dnie usiłuje wznieść konstrukcję pozytywną — przy pomocy Wyspiańskiego — wówczas okazuje się, że mamy do czynienia z niekomunikatywnością. Podobnie „Kung Fu". Sposób, jaki bohaterowie znajdują „na" rzeczywistość, jest dwuznaczny moralnie.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI:** — Nie skupiałbym się na braku odpowiedzi w filmach moralnego niepokoju. To nie było możliwe wtedy, skoro okazuje się niemożliwe teraz. Ważniejszy jest sam fakt otwarcia kamery na rzeczywistość — znaną przez nas spoza kina — to prawda. Ale wszyscy — jak to się obecnie mówi — wiedzieliśmy, a tylko kino moralnego niepokoju pokazywało, nazywało. Mimo, że sytuacja się zmieniła, trudno będzie powiedzieć coś rzeczywiście nowego o tym nurcie. Przecież świadomość, którą mieliśmy poprzednio, wystarczała do właściwej oceny. Była to świadomość — jak powiedziałeś — nieoficjalna — dziś pełno jej w publikatorach.

Jest faktem, że współcześnie żadna z dziedzin sztuki — ani literatura, ani film, przed kinem moralnego niepokoju — nie zajmowała się czymś zupełnie podstawowym: opisem rzeczywistości, jej uprzedmiotowieniem, werbalizacją. W tym braku upatruję dotychczasową słabość naszego filmu, a chyba i literatury. Film nie uwzględniał sytuacji, w której powstawał, a tylko — w sposób nieuświadamiany — z niej wyrastał. Przymykając oko na rzeczywistość skazywał się na świadomość fałszywą. Mógł być adaptacją, publicystyką, socrealizmem, serialem historycznym. Rozwijały się gatunki z natury odległe od współczesności. Następstwem była sztuczność kultury, jej nieautentyczność.

Filmy moralnego niepokoju skupiły się na rzeczywistości. Nie było w naszym kinie takiej sytuacji od czasów „szkoły polskiej", od czasów twórczości Munka — a dokładnie od „Człowieka na torze". Później pojawiła się próżnia. W końcu lat sześćdziesiątych, rozpoczęli działalność Zanussi i Żebrowski. To chyba drugie źródło nowego kina, choć sposób widzenia w ich filmach był specyficzny — fragmentaryczny i mikroskopowy.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Dobrze, że przypomniane zostało nazwisko Munka. Wydaje się, że wszystkie szkoły w historii kina wkraczały do kinematografii pod hasłem destrukcji tradycji. Wzór walki nowego ze starym był wzorem powszechnym interpretacji historyczno-filmowej. Swoistość kina moralnego niepokoju polega właśnie — między innymi — na tym, że było ono zwrócone w kierunku tradycji w gruncie rzeczy wątłej w kinie polskim: tradycji jednego w zasadzie filmu o walorach publicystyki szlachetnego tonu — „Człowieka na torze". Właśnie ten publicystyczny ton jest czymś charakterystycznym dla filmów, o których mówimy.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI:** — Nie zawsze traktowana była ta sprawa w taki sposób. Pojawiały się zarzuty publicystyczności, przed którymi broniłbym filmów moralnego niepokoju. Co w takim razie musielibyśmy powiedzieć o filmach Filipskiego, czy Poręby — które są właśnie retoryczną publicystyką. Ich stopie oderwania od rzeczywistości decyduje o różnicach w stosunku do omawianego przez nas nurtu.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Używasz teraz terminu „publicystyka" w sensie pejoratywnym, na określenie pewnej aprioryczności tez, które mają zostać udowodnione. Są różne typy publicystyki. Tu mamy do czynienia z publicystyką wyrastającą z realiów i zmierzającą poprzez nie do egzemplifikacji tez zapisanych w tych właśnie realiach. Tez krytycznych.

**MARIA KORNATOWSKA:** — Sądzę, że wszystkie te filmy zawierają wyraźną tezę. Przykłady? — „Amator", „Aktorzy prowincjonalni", „Kung Fu". Z tym, że „Aktorzy" swoim klimatem wychodzą poza ograniczenia wynikające z przyjętej tezy. Rzeczywistość w tych filmach jest wyraźnie spreparowana w celu przeprowadzenia pewnego wywodu.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Jak można ten wywód zdefiniować? Co, pani zdaniem, jest zawartością tej tezy?

**MARIA KORNATOWSKA:** — Zawartość jest taka, jak pan powiedział: krytyczna. Sprawa polega na usunięciu z rzeczywistości wszystkiego, co nie służy tezie. Wynikiem takich zabiegów bywa uproszczenie fabuły, psychologii, opisu rzeczywistości.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI:** — Trudno byłoby mi zgodzić się na mówienie o tezach. Nawet jeżeli w dwu, trzech filmach, rzeczywiście natrafiamy na ich obecność, to powszechny jest w większości utworów tylko zapis pewnego stanu społecznego. Czasami nawet bez oceny — ocena jest poza ekranem, na widowni. Zgodziliśmy się, że mimo faktów ostatnich miesięcy zapis ten jest w dalszym ciągu aktualny. Co innego gazety, co innego za oknem, na ulicy.

**MARIA KORNATOWSKA:** — Dla mnie zarówno pewne wątki tabularne, jak i sprawy psychologii są często uproszczone. Powtarza się na przykład stary i stały schemat: mąż angażuje się w jakąś działalność społeczną, a żona go nie rozumie. Najbardziej wyraźnym przykładem jest konflikt „Amatora". Pojawia się często w tych filmach prastary model: „szczęścia nie było w domu, bo go nie było w ojczyźnie". Jest to schemat realizowany w duchu nie tyle romantyzmu, ale — co gorsza — socrealizmu, gdzie bohater szedł na budowę nie wiedząc, czy ważniejsza jest dziewczyna czy Warszawa.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI:** — Wydaje mi się, że zgodność filmów ze świadomością społeczną przekreśla próby mówienia o socrealizmie.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — A czy nie jest tak, że kobiety są mądrzejsze od mężczyzn? Wiedzą więcej: na przykład w „Aktorach prowincjonalnych"?

**MARIA KORNATOWSKA:** W „Aktorach" wygląda to faktycznie inaczej, ale dzięki Łabonarskiej, która swoją rolą wykracza poza postać zaproponowaną w scenariuszu. Tam rzeczywiście dramat obojga bohaterów — tkwiących w beznadziejności — przekonuje, że oboje nie mogą się dopełnić, zrealizować. Jednak w podtekście też zawarta jest myśl że bohaterka nie rozumie dramatów męża, które są poniekąd wyższe. W „Kung Fu" żona Witka wyjeżdża, wraca, miota się — nie wiadomo dlaczego. To są zachowania nie umotywowane psychologicznie. Jest to właściwie mechaniczne zilustrowanie chaosu uczuć i wartości.

**EWA NURCZYŃSKA:** — Ja nie odwoływałabym się tutaj do tradycji „szczęścia w domu nie było, bo go nie było w ojczyźnie", bowiem postawy bohaterów tych filmów nie można zestawiać z posłannictwem bohaterów romantycznych. Przecież słabością postaci w kinie moralnego niepokoju jest właśnie to, że nie są to ludzie walczący, a jedynie zabiegają o swoje — w gruncie rzeczy — prywatne sprawy. Natomiast bohaterowie, do których nas odwołałaś — walczyli o sprawy ogólne. Być może ta postawa wynika z sytuacji, że akcja większości filmów toczy się w środowiskach zamkniętych: ludzi sztuki („Aktorzy", „Amator", w pewnym sensie „Wodzirej") albo sportu („Szansa", „Klincz"). W środowiskach tych moment walki o indywidualny sukces jest wyjątkowo istotny. Jedyny przypadek człowieka „szeregowego" ma miejsce w „Kung Fu" — inżynierów mamy przecież tysiące.

Sam fakt, że wybór środowisk jest właśnie taki — automatycznie ogranicza szerszą perspektywę. Rzecz jasna wszystkie te filmy odbieraliśmy nie tak ściśle środowiskowo, ale wydaje mi się jednak, że pewna ich słabość polega właśnie na tym ograniczeniu. Wynika to z tego, iż w filmach kina moralnego niepokoju — w większości debiutach fabularnych — autorzy odwoływali się do swoich życiowych doświadczeń. Jest to naturalne, co nie zmienia faktu, że ogranicza wymiar społeczny, społeczną perspektywę. Przecież wybór środowiska automatycznie warunkował typy bohaterów: sfrustrowanych z zasady, walczących o swoją szansę z zasady. Przyjmujących środowiskowe reguły gry.

*„Kung-Fu"*

*Reż. Janusz Kijowski*

**MARIA KORNATOWSKA:** — Jeżeli te filmy były prawdziwe i określały stan frustracji społecznej, to właśnie uciekając do tych środowisk i — co chyba najważniejsze — pokazując prowincję. Wynikały z tego dwa motywy podstawowe: chęć „dotarcia do stolicy" („Wodzirej") i tęsknoty za innym światem — motyw „ucieczki" za granicę, marzenie o dalekich krajach („Podróż do Arabii", „Bez miłości"). Konsekwencją było pojmowanie Polski jako absolutnej prowincji — a w tym zawiera się ograniczenie i prawda zarazem — kraju bez horyzontów, dusznego. Jedynym sensem stawała się tu możliwość bycia „kimś" — „osobistością telewizyjną", bokserem, który wygrywa, czy po prostu stara się — jak każdy z bohaterów — wygrać właśnie swoją małą szansę — niewielkiej kariery. Niestety jest to szansa jedyna. To nie przypadek, że w filmach pojawiły się zamknięte środowiska. One właśnie pozwalały ujawnić powszechny mechanizm. Mówiąc prosto: nie było możliwości walki o coś więcej. I to była miarą degradacji społecznej w świecie, w którym każdy walczył o własną sprawę, w klimacie ogólnej beznadziejności.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI:** — Czasami była to walka o zwyczajną, normalną egzystencję. Przykładem może być „Spokój" Kieślowskiego.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Właśnie. Wydaje mi się, że trochę sztucznie kreujemy grupę filmów inteligenckich, zapominając o „Człowieku z marmuru"...

**MARIA KORNATOWSKA:** — Bohater „Człowieka z marmuru" był bardzo „inteligenckim" robotnikiem.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Ale to również „Personel", choć rzecz się dzieje w cieniu „świątyni sztuki" i wreszcie „Spokój".

**MARIA KORNATOWSKA:** — One właśnie potwierdzają tę tezę. Szczególnie „Spokój", który też jest sztuczny jako film o robotnikach. W filmach o tzw. „ludziach prostych" pojawia się moment paternalizmu, protekcjonizmu. Czesi w swoim wielkim okresie pokazywali ich jako ludzi, pokazywali ich małość i wielkość. Tu mamy prostaczków. Bohater „Spokoju" jest przerażający w swoim prostactwie, podobnie bohater „Amatora". Reżyser i widz są od nich o wiele mądrzejsi. Jest to inteligenckie „poklepywanie po ramieniu" bohaterów robotniczych.

**PIOTR MIKUCKI:** — Dla mnie jest zaskakujące, że państwo cały czas mówicie o tych filmach w kategorii treści, natomiast w ogóle nie mówicie o kwestii tego, jak ten świat jest widziany. Wydaje mi się to nieprzypadkowe, bo mało który z filmów kina moralnego niepokoju reprezentuje wyraźną, określoną koncepcję estetyczną. Pan tu przywoływał Munka jako źródło tej fali. Mnie się wydaje, że jest to antenat dość naciągany, ponieważ rzeczywistość w filmach Munka była wysoce zorganizowana wizualnie, natomiast te filmy powstają na zasadzie typowo publicystycznej: przywołania rzeczywistości, która jest przed nami. To jest słabość, to jest siła.

Boję się, że o omawianych filmach będziemy mogli niedługo mówić wyłącznie jako o fakcie społecznym, a zupełnie nie będziemy mogli mówić, jako o fakcie artystycznym. Potwierdza to przypuszczenie fakt, że większość czołowych filmów, które wymieniliśmy dzisiaj, to filmy traktowane w kategoriach wyjątku. To znaczy „Personel", to znaczy „Spokój", to znaczy „Człowiek z marmuru". To znaczy film o którym jeszcze nie mówiliśmy — „Indeks" Kijowskiego. To są tytuły, które traktujemy jako wyjątki powstałe u źródeł nurtu. Później okazało się, że ten ruch jest w kategoriach treściowych i formalnych wysoce uschematyzowany. O ile w kategoriach treściowych jest uschematyzowany i szlachetny — zbieżny z rzeczywistym stanem świadomości społecznej (w związku z czym porównanie z socrealizmem jest strukturalnie słuszne, natomiast ideowo — nie całkiem) o tyle w kategoriach formalnych jest to nurt uschematyzowany — bez oblicza. Boję się, że tutaj właśnie filmy te przegrały swój byt. Jeśli go rzeczywiście przegrały.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Jeśli chodzi o schematyzację — podtrzymuję twierdzenie, że filmy te przyniosły obraz rzeczywistości prawdziwej, że rzeczywistość zintensyfikowały. Doszukiwałbym się tu wpływu pewnych lektur filmowych: kino amerykańskie, kino czeskie. To są filmy posiadające bogaty plan obserwacji. Stąd chyba wrażenie prawdy. Wszyscy odczuwaliśmy, że zostało zerwane pewne bielmo fałszu z obiektywu kamery. Akcja rozgrywa się na wielu planach, faktura dźwięku jest bogata, wieloznaczna — chociaż mało słychać. Wraz z autentyzmem moralnym — przy którym będę się jednak upierał — szedł autentyzm estetyczny, potwierdzający Sartre'owskie twierdzenie, że styl jest sprawą moralności.

**PIOTR MIKUCKI:** — Podejrzewam, że mamy tu do czynienia raczej z brakiem stylu niż stylem.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — To też jest jakiś styl.

**PIOTR MIKUCKI:** — Tak, ale pan nazywa go stylem przezroczystym, a to mi się wydaje — ze strony twórców — posunięciem krótkowzrocznym. Dostarczając produkt, który jest wobec nas agresywny wyłącznie poprzez przytoczenie zdarzenia — a to jest dominujący kierunek uderzenia tych filmów — stawiamy przed odbiorcą bariery małej wysokości. Bariery, które dostarczają mu raczej pewnej emocji społecznej i — to znakomicie, ale nie dostarczają mu materiału, który pozwalałby mu się rozwijać. Iść dalej, rozumieć trochę więcej, niż prosty sens słowa.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Ale czy nie wymagamy zbyt dużo od tych filmów? To było pierwsze uderzenie. Na następne czekamy.

**EWA NURCZYŃSKA:** — Były to jednak w moim przekonaniu filmy o dużej sprawności warsztatowej. Nie zapominajmy, że w naszych kontaktach z filmem polskim co chwila napotykamy filmy straszliwie nieudolne pod wieloma względami: organizacji planu, sposobu opowiadania, tempa, dynamiki, rytmu. Dlatego też broniłabym filmów, a których mówimy, ponieważ one właśnie zaprezentowały styl odpowiedni do autorskiej intencji, którą niosła treść. Na pewno były filmami udowadniającymi, że polscy realizatorzy potrafią robić filmy. Nie wiem, czy podejmowane tematy w ogóle narzucały inną formę. Chciałabym zwrócić uwagę na „Amatora" — ostatnia scena jest tam jakby z innego filmu. Zwrócenie kamery na siebie przez bohatera jest metaforą, którą różnie odczytywaliśmy. Co mi zostało nie mogę patrzeć na sprawy społeczne, bo nie mogę o nich mówić, wolno mi patrzeć tylko w siebie. Ciekawe, czy takie „inne" filmy potrafią robić twórcy, którzy dotychczas zaprezentowali przede wszystkim sprawność warsztatową. Wówczas, gdy będą mogli wyjść poza konstatacje faktów. O ile będą mogli.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Wszystko zależy od ustawy o cenzurze.

**MARIA KORNATOWSKA:** — Problem umiejętności robienia filmów to jest problem elementarny.

**EWA NURCZYŃSKA:** — Cóż

tego, że elementarny, skoro u nas nieobecny.

**MARIA KORNATOWSKA:** — Zgadzam się z panem Piotrem, że filmy kina moralnego niepokoju są niezorganizowane artystycznie, są jakby opisem telewizyjnym, przykładem nowo-mowy filmowej, ciągiem niechlujnych kadrów. Czasem ze zdumieniem odnajdywaliśmy obrazy Polski na wzór Lelucha („Bez miłości"). Rzeczywistość za oknem, to nie wszystko, co można wydobyć z naszego świata. Do lektur czeskich nie odwoływałabym się, bowiem Czesi dysponowali umiejętnością łączenia znakomitej obserwacji artystycznej z metaforą, która była wydobywana z rzeczywistości. W polskich filmach metafory pojawiały się na takiej zasadzie, jak ostatnia scena w „Amatorze". Skąd w „Spokoju" konie? Czy są to konie z „Czyż nie dobija się konie", czy z polskiej tradycji ułańskiej? Naprawdę — nie wiem. To właśnie niejednorodność charakterystyczna dla Kieślowskiego. W „Bliźnie" pojawia się nagle wzgórze płonących świec. Od czasu do czasu Kieślowski postanawia być poetą. Tworzy wówczas metafory, które są obok filmu. Jest to przykład myślenia nieartystycznego, nieumiejętności przetworzenia rzeczywistości w metaforę.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI:** — Równie dobrze można dawać przykłady pozytywne, jak negatywne. Wydaje mi się, że w „Personelu" sytuacja jest akurat odwrotna. „Telewizyjna" technika obrazowania, rzeczywistość chaotyczna, błądzenie kamery po twarzach bohaterów, z którego pozornie nic nie wynika — jest użyte w całkowitej zgodzie z treścią filmu. Nawet jeżeli przystać na podane przez panią przykłady, to przecież sekwencja wywiadu telewizyjnego w „Bez znieczulenia" Wajdy jest kapitalnym przykładem pozytywnym.

**MARIA KORNATOWSKA:** — Tak, ale jest to sekwencja zupełnie z innego filmu. Podobnie, jak pomysł z jazdą po ulicach Nowego Jorku w „Dyrygencie". Są to efekty dla efektów. Nie mieszczą się w kompozycji dzieła. Są grepsami, black-outami. Tak się akurat składa, że i „Bez znieczulenia" i „Dyrygent" rozpoczynają się bardzo efektownymi scenami, które potem niczemu nie służą.

**EWA NURCZYŃSKA:** — Mówisz o zupełnie innych filmach, innym twórcy. Może y Wajdzie robić przytyki na zasadzie: nie ma jego filmu, w którym nie byłoby rzeczy niedobrej, irytującej. Ale to jest cechą Wajdy. Nie o to tutaj chodzi.

**MARIA KORNATOWSKA:** — Tak, ale ostatni etap twórczości Wajdy włącza się w nurt kina moralnego niepokoju. Faktycznie, trudno wrzucać wszystkie filmy do jednego worka. Uważam, że są dwa filmy wybijające się: „Indeks" Kijowskiego i „Barwy ochronne" Zanussiego. W „Indeksie" — moim zdaniem utworze najgłębszym — chropawość formalna jest próbą przeniesienia na grunt naszego kina poetyckiego języka nowej fali. Jest to zapis świadomości pokolenia 68 roku. Reżyser patrzy na te sprawy z dystansu, jest to rzeczywiście film niepokojący moralnie. Stawia znaki zapytania. Natomiast „Barwy ochronne" budzą niepokój przez tragizm postaci docenta. To naprawdę tragiczna postać naszego kina. Prawdziwy film o inteligencji, podobnie jak „Indeks", z tym, że bohater należy do pokolenia starszego — podczas gdy w filmie Kijowskiego pojawia się pokolenie trzydziestolatków. Te dwa filmy ukazują tragizm i relatywność wyboru. Tylko one wychodzą poza ogólnie znane konstatacje.

**EWA NURCZYŃSKA:** — Ciekawa rzecz: ostatnie filmy Zanussiego — „Constans" i „Kontrakt" — są jakby wtórne wobec filmów grupy młodszego pokolenia. Jednocześnie jego pierwsze filmy — „Struktura kryształu", „Iluminacja" — były w swoim czasie jedynymi utworami, które stawiały swoich bohaterów w sytuacji wyboru. Takich tematów wcześniej i równolegle w ogóle nie było. Filmy tamte — podobnie jak dzieła kina moralnego niepokoju — były notacją pewnego stanu świadomości społecznej. Jeżeli więc trudno szukać tradycji bardzo dalekiej, to na pewno sam kierunek poszukiwań twórczych zaprezentowany w filmach ostatnich lat pojawił się wcześniej — właśnie u Zanussiego.

A teraz Zanussi — i jest to jakaś klamra — powraca na koniec do tej sprawy.

**MARIA KORNATOWSKA:** — Tak, zwłaszcza, że to Zanussi w „Strukturze kryształu" postawił po raz pierwszy problem, który później pojawiał się wielokrotnie, a powraca także w „Indeksie". Chodzi mi o problem wyboru: między modelem kariery, a modelem samorealizacji. To powtarza się właściwie we wszystkich filmach, z tym, że w sposób mniej pełny niż u Zanussiego. W „Indeksie" nabiera nagle — w innym kontekście realiów — ironicznego charakteru.

**PIOTR MIKUCKI:** — Wracając do wymienionych przez panią tytułów: właśnie te dwa filmy mają bardzo ciekawe wartości, nieobecne chyba w pozostałych. Nawiązują do literackiej tradycji romantycznej poprzez sposób konstrukcji bohatera, po drugie mają walor ironii, dystansu, którego nie mają pozostałe. Te z kolei nawiązują do tradycji literackiej pozytywistycznej. O ile „Człowiek z marmuru" jest epicki, to pozostałe są z gatunku dramy mieszczańskiej lub też powieści z tezą — sztuki, która powstaje w sytuacji stagnacji społecznej. Widzę tutaj pewną zbieżność w sytuacji powstania tych filmów z tym, co w naszej kulturze już było — po 1863 roku.

Występujemy tutaj — że bezczelnie powiem — w podwójnej funkcji. *Raz jako krytycy, dwa — w sytuacji* całkowicie odmiennej niż przed paroma miesiącami. W związku z tym powinniśmy raczej mówić o wadach i jeśli dostrzegamy elementarną sprawność warsztatową — to żądać musimy czegoś więcej, niż mówić o pozytywnej roli tych filmów. Ponadto nie występujemy w tej chwili jako krytycy oficjalni. W związku z tym powinniśmy drążyć słabość tego nurtu.

**TADEUSZ SZCZEPAŃSKI:** — Jest to dobre zakończenie naszej rozmowy.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI:** — Co nie znaczy, że nie byłoby jeszcze lepszym jej początkiem.

**Opracował: P. J.**



*„Amator"*
*Reż. Krzysztof Kieślowski*

*Rudi van Dantzig*

Na scenach Teatru Wielkiego w Warszawie i w Łodzi gościł w listopadzie światowej sławy Het Nationale Ballet — Holenderski Balet Narodowy, który podczas pięciu kolejnych spotkań przedstawił dziewięć współczesnych miniatur baletowych będących jednocześnie okazałą wizytówką artystycznych dokonań i wizji tego niezwykle interesującego zespołu. Już od ponad ćwierćwiecza — wpierw jako tancerz, później jako choreograf, a ostatnio jako kierownik artystyczny — współtworzy, kształtuje i utrwala estetyczne oblicze swojego ansamblu Rudi van Dantzig. Po ostatnim wieczornym spektaklu ten bardzo zapracowany, pełen witalnej energii i twórczej pasji artysta wyraził zgodę na krótką rozmowę i podzielił się swoimi refleksjami o sztuce baletowej.

**— Występy pańskiego zespołu w Warszawie i w Łodzi zawierały odmienną konfigurację miniatur baletowych, jednakże obie wizyty zainaugurowała ta sama kompozycja — „Cztery temperamenty" w układzie George'a Balanchine'a do muzyki Paula Hindemitha. Czy mógłby pan wyjaśnić jakie znaczenie przywiązuje pan do tego utworu?**

— Kompozycje George'a Balanchine'a pojawiają się w naszym repertuarze od wielu lat. Niemalże co roku tworzy dla nas kolejną kompozycję. Wydaje mi się, że wspomniany balet to utwór o charakterze profetycznym — wyznaczył pewien, widoczny szczególnie dzisiaj, określony kierunek rozwoju naszej grupy; zaważył na swoistej orientacji stylistycznej Hansa van Manena, Toera van Schayka i mojej.

**— Czy mógłby pan uzasadnić tę tezę bardziej precyzyjnie?**

— Owszem „Cztery temperamenty" są ekspozycją nowoczesnego języka choreograficznego, ukazają w odmiennej formie podawczej uniwersalne właściwości kondycji ludzkiej. Moje kompozycje podejmując i obrazując złożoną problematykę psychologiczną, wewnętrzne i manicheistyczne konflikty emocjonalne korespondują zarówno w treści, jak i w formie z owym utworem; rezygnując z konwencji realistycznej usiłuję wydobyć i zobrazować coraz to głębsze sfery człowieczych przeżyć psychicznych posługując się jednakże własnym, acz odpowiadającym współczesnym kryteriom językiem. Podobnie rzecz przedstawia się w odniesieniu do pozostałych twórców, których balety, są pozbawione skomplikowanej fabuły i treści, rozbudowanych wątków, nie opowiadają anegdot, nie informują o zdarzeniach, a raczej wytwarzają zmienną skalę nastrojów, pobudzeń emocjonalnych, ilustrują temperamenty; ich kompozycje są starannie i precyzyjnie przemyślane, zbudowane z podobną, jak u G. Balanchine'a niemal mistrzowską dokładnością i przejrzystością — rozbudzają i kształtują smak estetyczny i namysł nad kondycją ludzką.

**— W pierwszym okresie istnienia Het Nationale Ballet bogato był prezentowany repertuar klasyczny: „Giselle", „Sylfidy", „Jezioro łabędzie", „Śpiąca królewna", „Bajadera", „Pas de Quatre", „Don Juan", „Romeo i Julia" itd. Podczas pana kierownictwa zaznaczyła się przewaga repertuaru współczesnego...**

— Nie jest to informacja, ani w pełni ścisła, ani w pełni zgodna z prawdą. Jak panu zapewne wiadomo protoplastką współczesnego baletu holenderskiego, a także współzałożycielem i pierwszym kierownikiem naszego zespołu była Sonia Gaskell. Ona i jej współpracownicy sięgnęli wprawdzie do spuścizny klasycznej i zadbali o solidne i wszechstronne wykształcenie oparte na fundamentach wskazanej tradycji, jednakże od samego początku wprowadzali do repertuaru najcenniejsze pozycje ze światowego dorobku współczesnej choreografii, jak i również propozycje z zakresu eksperymentalnej awangardy. Owa polityka implikowała zatem poziom wtajemniczenia zawodowego, jak i oblicze artystyczne zespołu. To, że coraz bardziej oddalamy się od repertuaru klasycznego (choć niedawno opracowaliśmy wersje „Romea i Julii", „Bajadery" i „Jeziora łabędziego") było niejako antycypowane przez Sonię Gaskell.

**— Jakie są pana zdaniem zalety takiego repertuaru?**

— Przede wszystkim zaspokaja on potrzeby estetyczne i satysfakcjonuje coraz bardziej wysublimowane gusty holenderskiej publiczności. Pierwotnie ów wszechstronny repertuar i związany z nim odpowiednio wysoki poziom artystyczny był właściwą receptą i programem działania, który wpłynął na rozbudzenie nowych zainteresowań wśród szerokiego kręgu odbiorców, co było niezmiernie trudnym zadaniem ze względu na głęboko zakorzenione w naszym społeczeństwie w stosunku do sztuki baletowej odium wywodzące się z kalwinizmu. Natomiast współczesny repertuar, bardziej niż klasyczny, sensowniej moim zdaniem, koresponduje z nowoczesną i zlaicyzowaną kulturą i cywilizacją, a także z wynikającą z natury człowieka potrzebą ciągłej eksploracji. Poza tym zespół i ja czujemy się bardziej usatysfakcjonowani wtedy, gdy wypowiadamy się nawiązując do współczesnych form podawczych. Owe formy, ze względu na ich różnorodność, umożliwiają również częste kontakty z zagranicznymi choreografami, jednakże zamierzamy w przyszłości wprowadzać do repertuaru przede wszystkim kompozycje choreografów holenderskich.

**— Co pan sądzi o obowiązkach dyrektora i choreografa wobec zespołu?**

— Jako dyrektor dbam o to, by zespół stanowił wewnętrznie zintegrowaną całość — rozumiejącą się i szanującą rodzinę, która zmierza zgodnie do realizacji wspólnych wizji. W zespole nie wyróżniam nikogo — wszyscy są dla mnie solistami. Naturalnie są lepsi i gorsi, ale wspólnie neutralizujemy wszelkie próby „bycia gwiazdą". Dbam o to, by wszyscy osiągnęli równy i odpowiednio wysoki poziom artystyczny. W tym celu staram się zapewnić moim podopiecznym maksymalnie wszystko co potrzebne po to, by mogli bez reszty poświęcić się optymalnemu doskonaleniu rzemiosła i sztuki. Staram się oddalić od nich wszelkie kłopoty dnia codziennego. Dbam również o to, by zajmowali się wyłącznie baletem, bowiem uważam, że wielość i różnorodność zainteresowań w tym przypadku dekoncentruje i wpływa ujemnie na pracę i poziom prezentowanych utworów. Natomiast jako choreograf, jak również jako opiekun artystyczny zabiegam o to, aby wszyscy tancerze i choreografowie mogli w pełni wypowiedzieć się i afirmować w nieustannie zmiennym programie.

**— Czy mógłby pan określić, co inspirowało pana twórczość choreograficzną?**

— Nigdy nie byłem wybitnym solistą i nie tańczyłem wielkich ról i być może właśnie dlatego tak wcześnie skoncentrowałem swoją uwagę na choreografii. Naturalnie, najznakomitszym wzorem była dla mnie moja wielka nauczycielka Sonia Gaskell. Jednakże równocześnie pojawił się jakby drugi potężny stymulator — intuicja artystyczna, potrzeba samoistnej i autentycznej wypowiedzi. Zacząłem słuchać swojego głosu. Wkrótce głównie on decydował o zewnętrzym kształcie i wewętrznej logice i harmonii moich utworów.

**— Udostępnił pan swoje choreografie i jednocześnie współpracował z zespołami tej rangi co: Balet Rambert, Królewski Balet w Londynie, Królewski Balet Duński, czy Amerykański Teatr Baletu. Czy owe kontakty wpłynęły znacząco na pana twórczość?**

— Niewątpliwie. Dzięki owej współpracy stałem się artystą bardziej wszechstronnym, dojrzałym i wymagającym, jednakże nie potrafię precyzyjnie określić w jaki sposób i w jakich utworach ów wpływ się zaznaczył.

**— Czy interesował się pan także polskim baletem?**

— Owszem tak. Znam Conrada Drzewieckiego, widziałem i cenię jego zespół. Zarówno on jak i Henryk Tomaszewski zrealizowali w naszym teatrze po kilka choreografii. Ponadto pragnę powiedzieć, że interesuję się polską sztuką, która również wywiera pewien wpływ na moją osobowość twórczą.

**— Czy krytycy i recenzenci mają także wpływ na kształt pańskich dzieł?**

— Naturalnie, że bywają pomocni, ale jedynie wtedy, gdy znają się na balecie, ale takich jest niestety niewielu... natomiast moim niezawodnym, najbardziej surowym i wnikliwym krytykiem jest cały zespół, a jego uwagi znacząco wpływają na moje decyzje, choć jak powiadam słucham przede wszystkim swojego głosu.

**— Zadebiutował pan jako choreograf mając zaledwie 22 lata kompozycją „Nocna wyspa" do muzyki C. Debussy'ego. Co sprawiło panu wtedy najwięcej trudności?**

— To był wprawdzie udany debiut, niemniej jednak właśnie wówczas dużo kłopotu sprawiała mi praca z dużą grupą tancerzy i do dziś mam z tym problemy. Jednakże, jak sądzę, momi największym sukcesem była mocno rozbudowana kompozycja z udziałem wielu tancerzy — dwugodzinny balet „Life", który jest gorzkim pamfletem na społeczeństwo holenderskie, a w szczególności zaś na rodzinę królewską.

**— Co poradziłby pan młodemu choreografowi, który chciałby się poświęcić tej formie twórczości?**

— Czeka go niezmiernie trudne zadanie. Aby zaznaczyć swoją indywidualność trzeba konsekwentnie i uparcie nie załamując się porażkami dążyć wytrwale do wytyczonego celu.

**Rozmawiał:**
**JERZY KOSIEWICZ**

# SŁUCHAĆ SWOJEGO GŁOSU

## Rozmowa z RUDIM van DANTZIGIEM, kierownikiem artystycznym Het Nationale Ballet

*Richard Strauss: „Cztery ostatnie pieśni". Choreografia Rudi van Dantzig*

# AFERZYŚCI Z OKĘCIA CZY ROBOCZE KONIE?

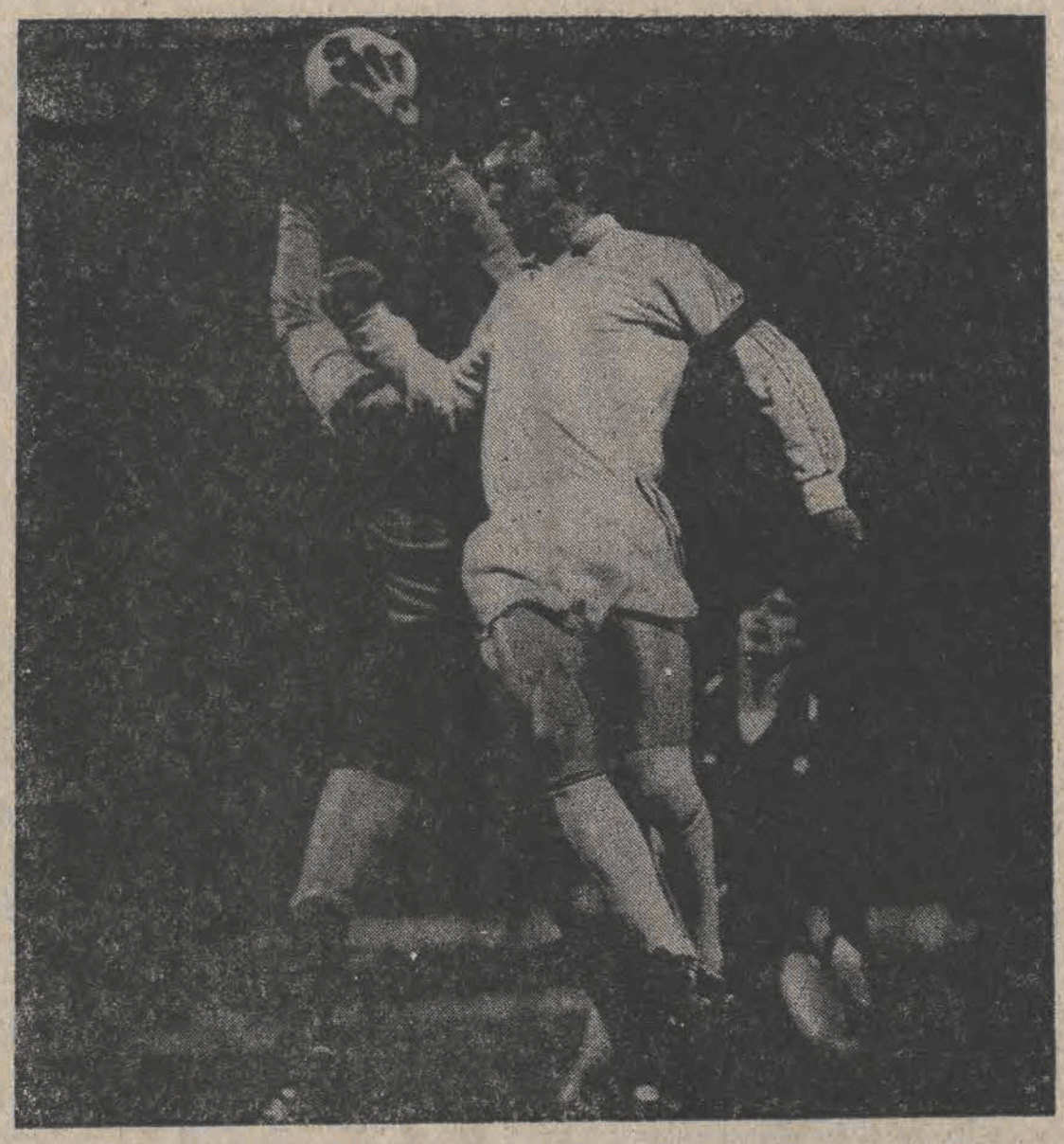

Foto: Zbigniew W. Nowak

Dalszy ciąg ze str. 1

**— Nie tylko. A krakowskie „Tempo"?**

**Z. BONIEK:** — Zapytam inaczej: dlaczego Legii nie lubią w Łodzi? Rywali na ogół się nie lubi.

**— Musi pan jednak przyznać, że Widzew jest ostatnio atakowany. Choćby z powodu wypadku Stanisława Burzyńskiego.**

**Z. BONIEK:** — Czy tylko piłkarzom zdarzają się takie wypadki? Jakoś do tej pory nie czytałem o podobnych wypadkach innych znanych osób. A przecież oni też jeżdżą samochodami i też, temu i owemu, zdarzało się mieć wypadek samochodowy. Czy jest jakaś inna moralność dla piłkarza i inna dla innych ludzi? A czy dziennikarze mają inną moralność niż piłkarze?

O Widzewie znów jest głośno, bo zabraliśmy głos na Okęciu. Czy nie mamy prawa wypowiadania swojego sądu? W naszym klubie każdy zawodnik ma prawo przedstawiania swoich opinii. Nie wiedziałem, że w reprezentacji obowiązują inne prawa.

**— Czy to znaczy, że w Widzewie jest taka demokracja?**

**Z. BONIEK:** — Chyba tak.

**— Rozmawiamy w piątek, 12 grudnia. Załóżmy więc, że waszą trójkę zdyskwalifikują. Co wtedy z drużyną? Czy poradzi sobie bez was?**

**Z. BONIEK:** — Oczywiście, że da sobie radę. Jeśli trener Jacek Machciński dobrze przygotuje zespół, to i bez nas dadzą sobie radę, i zdobędą tytuł mistrza Polski.

**— Macie jednak znów kłopoty z bramkarzem.**

**W. ŻMUDA:** — Dlaczego? Przecież teraz Gajda wraca do gry.

**— Wiele mówiło się o transferze Władysława Żmudy. Ile pan na tym zarobił?**

**W. ŻMUDA:** — Tyle, ile przewiduje Karta Piłkarza zatwierdzona przez GKKFiS. Tylko, że wiele mówiło się o pieniądzach, a nie o rzeczywistych przyczynach odejścia ze Śląska. Teraz przy okazji „afery na Okęciu" jest podobnie. Traktuje się nas jak robocze konie, a nie jak partnerów do rozmowy.

**— A konkretnie, ile?**

**W. ŻMUDA:** — 120 tysięcy złotych.

**Z. BONIEK:** — Jak pani zaproponuje łacetowi z „Dzwonka Częstochowskiego", żeby przeszedł do „Odgłosów", to pani mu też musi obiecać, że więcej zarobi. Każdy ma prawo chcieć więcej zarabiać i móc się wybić. Czy jest w tym coś złego?

**W. ŻMUDA:** — Przez 2 lata grałem z kontuzją i nikogo to nie obchodziło. Nikt się tym nie interesował, nikt nie napisał o tym ani słowa. Zawiesić człowieka w prawach wykonywania zawodu można w ciągu 5 minut, ale jak człowiek musi się leczyć, to ani PZPN, ani klub się tym nie interesował. Czy to jest w porządku?

**— Teraz jest w modzie zaglądać ludziom gdzie się tylko da. Do mieszkania również. Jak mieszkacie?**

**Z. BONIEK:** — Mieszkam na Chojnach. Mam mieszkanie 56 m kwadratowych powierzchni. Trzy pokoje z kuchnią. Ludzie opowiadają, że mam willę w Szczyrku. A ja mam od niedawna działkę w Sokolnikach. Postawiłem tam domek letniskowy, w którym można mieszkać od maja do sierpnia. Żadna willa. Czy nie mam do tego prawa?

**— I nie boi się pan kontroli?**

**Z. BONIEK:** — Nie. Wszystko, co mam, to mam z własnej pracy. Tylko ja wiem, ile mnie to kosztowało urazów, siniaków, kontuzji. Nie tylko satysfakcji, ale i cierpień. Proszę bardzo, każdy, kto chce może przyjść i mnie kontrolować. Nic nie mam do ukrycia.

**W. ŻMUDA:** — Od 10 miesięcy mieszkam w mieszkaniu wynajętym. Z ogłoszenia. Czekam na mieszkanie w „Osiedlu Młodych". Mieszkam z żoną.

**Z. BONIEK:** — I z psem.

**W. ŻMUDA:** — Nie wiem, ile jeszcze będę czekał na mieszkanie.

**— A skąd dostajecie uposażenie?**

**Z. BONIEK:** — Jestem zatrudniony w Spółdzielni Transportowej „Akord". Muszę chyba skądś mieć pensję, chociaż moim zawodem jest piłkarstwo. Gdzie dostanę kartki na mięso, jak nie będę nigdzie zatrudniony?

**W. ŻMUDA:** — Ja jestem zatrudniony w WZPB 1 Maja jako ślusarz. Do pensji z zakładu dopłaca mi jeszcze klub.

**— Ile dostajecie miesięcznie?**

**Z. BONIEK:** — W sumie 12 tysięcy złotych. To chyba wszyscy wiedzą. Dochodzą jeszcze premie. 4 tysiące złotych premii za wygrany mecz na miejscu, a 6 tysięcy na wyjeździe. Za wygrany mecz z Manchesterem na wyjeździe dostaliśmy po 3 tysiące złotych. Za remis u siebie — po 1500 złotych.

**— Robotnicy byli przeciwni płaceniu sportowcom pieniędzy w zakładach pracy. Czy nie mają racji?**

**W. ŻMUDA:** — Tak. Piłkarz to jest zawód i trzeba za to płacić. Ale to nie my ustaliliśmy takie zasady, jakie obecnie obowiązują.

**Z. BONIEK:** — Gdybym był robotnikiem w fabryce i czytał to, co o nas piszą w gazetach, to też bym się buntował. Tym bardziej, że nigdy nie miałbym możliwości wysłuchania tego, co myślą o tym piłkarze.

**— Czy nie byłoby lepiej, gdyby te wszystkie pieniądze płacił wam tylko klub?**

**Z. BONIEK:** — Byłoby lepiej. Człowiek w ogóle powinien dostawać płacę według pracy. Ale nie wiem, czy klub byłoby na to stać. Musiałoby więcej ludzi chodzić na mecze. Trzeba byłoby unormować sprawę transferów. Stworzyć kilka silnych drużyn. Odbudować zaufanie kibiców. To nie jest takie proste. Trzeba byłoby też lepiej i pełniej informować o tym, co dzieje się w piłkarstwie. Nie można przecież przekreślać drużyny po jednym przegranym meczu.

**— Jeśli wybucha jakiś skandal w polskiej piłce nożnej, to wiadomo, że musi w nim brać udział Zbigniew Boniek. Ile pan już ma kartek na swoim koncie?**

**Z. BONIEK:** — Wcale nie tak dużo. Chyba w Widzewie, a gram tu już 5 lat, ze cztery żółte i jedną czerwoną.

**— Za faule, czy za dyskusję z sędziami?**

**Z. BONIEK:** — Różnie. Czerwoną, to chyba za dyskusję z sędzią.

**— Ma pan opinię „pyskatego".**

**Z. BONIEK:** — Taką opinię mi urobiono.

**— A jaki jest pan naprawdę?**

**Z. BONIEK:** — Samemu trudno jest siebie ocenić.

**W. ŻMUDA:** — Ludzie Zbyszka mało znają. Jest bardzo koleżeński. A podstawową jego wadą jest to, że ma własne zdanie. A tego się na ogół nie lubi. Na Okęciu mówił w imieniu drużyny i to mu mają za złe.

**— Ale Bońka nie lubią i w Warszawie, i w Poznaniu. Dlaczego?**

**Z. BONIEK:** — Nie zgadzam się z panią. Jeśli kilku chłopaków krzyknie, że Boniek jest taki czy owaki, to ma to zaraz oznaczać, że mnie nie lubią? Na Okęciu, kiedy wcześniej wracaliśmy z Rzymu przyszli młodzi ludzie z kwiatami. Były oklaski. Więc chyba mnie lubią. Może niektórzy dziennikarze — nie. W Polsce ludzie potrafią być bezinteresownie zawistni. Może dlatego. Ale dziennikarze zawsze mogą na nas liczyć. My na nich nie zawsze.

**— Po Amsterdamie pana zawieszono. Ale na kilka dni przed meczem z RFN karę uchylono. Mówiło się, że kazano panu pisać podanie w tej sprawie. Napisał pan?**

**Z. BONIEK:** — Nie. Uważam, że zawieszenie mnie wtedy było krzywdzące. Uchylono karę bez mojej interwencji w tej sprawie.

**— Dlaczego uważa pan, że to było krzywdzące?**

**Z. BONIEK:** — Kiedy występuję w reprezentacji jestem piłkarzem PZPN. W meczu z Holandią grałem aktywnie, nie zapiłem, nie narozrabiałem. PZPN nie miał do mnie pretensji. Jeśli moje zachowanie nie podobało się kilku dziennikarzom, to na jakiej podstawie PZPN mnie zawiesił w wykonywaniu zawodu?

Nie chcę twierdzić, że jestem bez grzechu. Ale nie szczekałem, nie wyrażałem się wulgarnie. Mam chyba prawo do ostrej dyskusji. A to nie podobało się kilku ludziom, którzy mają dostęp do gazet. Skutki tego są znane.

Poza tym, stroną zainteresowaną w tamtej sprawie byli dziennikarze i oni byli też świadkami. Czy to jest w porządku? Podobnie zresztą jest w sprawie z Okęcia.

**— Mówiło się, że na Okęciu Władysław Żmuda rzucał „wiązankami".**

**W. ŻMUDA:** — Nic takiego nie było. Chcieliśmy porozmawiać z kimś o sprawie Józka Młynarczyka. A dziennikarze z telewizji zaczęli podtykać nam mikrofon. Poprosiłem, aby poczekali z 5 minut i będziemy mogli porozmawiać.

**— Ale Zbigniew Boniek krzyczał: — weźcie tę kamerę!**

**Z. BONIEK:** — Jak będę rozmawiał prywatnie w kawiarni z kimś i ktoś podejdzie i podstawi mikrofon, aby nagrać moją rozmowę, to mam się na to zgodzić?

**— Łukasz Jedlewski w „Przeglądzie Sportowym" z 3 grudnia nazwał was „bandą czworga", a M. Kasprzyk w „Tempie" z 4 grudnia nazwał was „młodymi bykami".**

**Co macie do powiedzenia na ten temat?**

**Z. BONIEK:** — Nie pora jeszcze o tym mówić.

**W. ŻMUDA:** — Sport jest chyba jedyną dziedziną naszego życia, gdzie można tak pisać o ludziach. Jeśli ktoś pisze o mojej grze źle, to nie mam o to pretensji. Ale na jakiej podstawie ingeruje się w moje życie prywatne?

**— Mamy dziś piątek, 12 grudnia. Decyzja w sprawie z Okęcia miała być już wczoraj. Dlaczego jeszcze się zwleka?**

**W. ŻMUDA:** — Poszukiwano większej sali, aby można było zrobić konfrontację drużyny, działaczy i dziennikarzy.

**— Od jak dawna funkcjonuje rada zawodnicza reprezentacji?**

**Z. BONIEK:** — Od niedawna. Przed wyjazdem na Maltę mieliśmy spotkanie z dziennikarzami. Było to takie pojednanie po sprawie amsterdamskiej. Wtedy nam zarzucono, że nie mamy swojej rady. Tośmy ją powołali. Wybrano 6 osób: Władek Żmuda został przewodniczącym, członkami: Staszek Terlecki, Wojtek Rudy, Paweł Janas, Marek Dziuba i ja. Wybraliśmy taką dużą radę, bo reprezentacja jest płynna. Dzięki temu jednak, zawsze te trzy osoby będą w tej reprezentacji, jeśli inni akurat nie będą w niej grali.

**— I wystąpiliście w sprawie Józefa Młynarczyka. Trener Ryszard Kulesza powiedział, że nie było żadnego szantażu, tylko prosiliście, aby Młynarczyk mógł pojechać. Czy rzeczywiście groziliście, że jak nie pojedzie, to i wy nie pojedziecie?**

**Z. BONIEK:** — Ja tego nie powiedziałem.

**W. ŻMUDA:** — Tego w ogóle nie było.

**Z. BONIEK:** — Korzystając z okazji chcę złożyć następujące oświadczenie: żadnego szantażu nie było! Próbowaliśmy tylko wyjaśnić trenerowi, że Józek Młynarczyk niedawno stracił ojca, że została samotna kaleka matka, że Józek ma jeszcze inne poważne kłopoty. Wypił, ale wcale nie był pijany. Czy za coś takiego trzeba przekreślać dorobek człowieka, karać go najwyższą karą, bo zakazem uprawiania zawodu?

Wyjechaliśmy, a tu nas osądzono, nie wysłuchawszy, co mamy do powiedzenia w tej sprawie. Po powrocie z Rzymu prosiliśmy, abyśmy mogli powiedzieć ludziom, którzy tak się na nas obrazili, jak to było naprawdę. Nagrano nasze wypowiedzi, ale już minął tydzień i nic się nie ukazało. Tylko „Przegląd Sportowy" je dał, ale ze swoim komentarzem. W łódzkiej telewizji mogłem powiedzieć, jak to było.

**— Ile macie lat?**

**Z. BONIEK:** — Ja mam 25.

**W. ŻMUDA:** — Ja mam 27.

**— Czy uważacie, że trzeba was ciągle jeszcze wychowywać?**

**Z. BONIEK:** — W innych środowiskach też są ludzie, którym można to i owo zarzucić. Jeśli mnie zdyskwalifikują, to czy przez ten fakt zmieni się mój charakter?

**— Kiedyś w „Sportowcu" powiedział pan, że w reprezentacji nie panuje taka atmosfera, jak w Widzewie. O co chodzi?**

**Z. BONIEK:** — Reprezentacja nie może być zbiorem poszczególnych zawodników z poszczególnych klubów. Musi to być zgrana grupa piłkarzy i działaczy. Kiedy Widzew gdziekolwiek jedzie, to zawsze z nami jedzie ten sam człowiek, który nas dobrze zna. W reprezentacji ciągle zmieniają się działacze. Jak robi się jakaś sprawa konfliktowa, to nie wiedzą, jak postąpić, bo nas nie znają.

**— Czy prezes Ryba musiał jechać po was do Rzymu? Czy nie mogliście wrócić sami?**

**Z. BONIEK:** — Prezes przyjechał, aby nas powiadomić o decyzji PZPN, ale do dziś nie mamy pisemnego zawiadomienia o decyzji PZPN. A przepis zawarty w Karcie Praw i Obowiązków Piłkarza mówi, że o karze należy zawodnika zawiadomić pisemnie. O zarzutach wobec nas wiem z gazet, że był jakiś szantaż, terror i temu podobnie. Jak przyjdzie do sprawy, to jeszcze dorzucą, że kazałem zabrać kamerę, że dyskutowałem z panem Blautem, że w ogóle mówiłem.

**— Czy to znaczy, że nie wierzycie w sprawiedliwość?**

**W. ŻMUDA:** — W piłce nożnej nie ma sprawiedliwości.

**— A nie liczycie na trenera Ryszarda Kuleszę?**

**Z. BONIEK:** — Znamy go i wiemy, że powie, jak było naprawdę. Ale, jeśli tak, to powstaje pytanie: o co tu w ogóle chodzi? Dlaczego nas w ogóle zawieszono?

**— Czy ktoś wam powiedział coś złego po historii z Okęcia?**

**Z. BONIEK:** — Nie.

**W. ŻMUDA:** — Sporo rozmawiałem z ludźmi. Nie zarzucają nam żadnego przestępstwa. Przeciwnie.

**Z. BONIEK:** — Ale nie mamy możliwości wytłumaczenia wszystkim, jak to było na Okęciu.

**— O Józefie Młynarczyku napisano, że nie powinien już nigdy występować w reprezentacji.**

**Z. BONIEK:** — Ja bym zaproponował, żeby ten ktoś już nigdy nie pisał.

**— Nie lubicie dziennikarzy?**

**Z. BONIEK:** — Nie czuję awersji. Chętnie z dziennikarzami rozmawiam. Narażam się przez to na oszczerstwa ze strony innych, albo na prześmiewki. Dlatego różnie myślę o różnych dziennikarzach.

**W. ŻMUDA:** — Dziennikarze nie powinni pisać o naszych sprawach osobistych, skoro nie piszą o osobistych sprawach innych ludzi. Powinni pisać o tym, co i jak robimy.

**Z. BONIEK:** — Gdybym ocenił panią tylko na podstawie tego, że pali pani dużo papierosów, a nie na podstawie tego, co i jak pani pisze, czy byłoby to sprawiedliwe?

**— Czy w Widzewie jest rada zawodnicza?**

**Z. BONIEK:** — Nie ma. Każdy ma prawo zabierać głos w sprawach drużyny.

**— Jakiej kary się spodziewacie?**

**Z. BONIEK:** — Mogę zaryzykować przewidywania. Dla Józka Młynarczyka rok zawieszenia. Dla mnie i Staszka Terleckiego po pół roku bezwzględnej dyskwalifikacji. Władek Żmuda dostanie z zawieszeniem.

Chociaż może być i tak, że dostanę więcej od Młynarczyka.

**W. ŻMUDA:** — A dlaczego ja mam dostać najmniej?

**Z. BONIEK:** — Bo ty jesteś naszym najlepszym alibi. Gdyby mi ktoś powiedział, że Władek się zbuntował, a bym przy tym nie był, to bym się serdecznie uśmiał. Władek jest spokojny, zrównoważony. Zanim coś powie, pięć razy się zastanowi. Nigdy nie krzyczy. I on ma być buntownikiem?

**W. ŻMUDA:** — Ale ja byłem kapitanem.

**— Jeżeli w radzie zawodniczej było więcej osób i wszyscy brali udział w rozmowie z trenerem Ryszardem Kuleszą, to dlaczego do kraju wróciliście tylko w czwórkę?**

**W. ŻMUDA:** — Bo tu zagrały nazwiska. Boniek, Terlecki są bardzo kontrowersyjni. Ja też miałem tę historię ze zmianą barw klubowych.

**Z. BONIEK:** — Może jeszcze być zmiana kwalifikacji. Nie szantaż, nie terror, a niesubordynacja. Ale najważniejsze, żeby żona i dziecko byli zdrowi.

Martwię się tylko tym, że kiedy na święta pojadę do rodziców, to będą na mnie krzywo patrzyli. Chcieliby być ze mnie dumni, a tu okazuje się, że mają syna terrorystę, szantażystę i buntownika. Wychodzi na to, że źle mnie wychowali. A tu przecież nie ma ich winy.

**— Może nie będzie tak źle?**

**W. ŻMUDA:** — Zobaczymy.

Rozmawiała
BOGDA MADEJ

## LEWYM OKIEM

Dawno temu, bo w marcu, napisałem felieton o tym, że szafy grające w naszych kawiarniach wyposażone są z maniacką wręcz konsekwencją wyłącznie w płyty angielskie, w angielskojęzyczne przeboje — a może i nie przeboje, bo to nieprawda, że po rynku światowym krąży w każdej chwili sześćdziesiąt przebojów naraz, a tyle co najmniej płyt zawiera jedna szafa. Dopraszałem się jak łaski — wcale nie walcząc generalnie z modnym młodzieżowym łomotaniem w czaszkę — żeby dać jakąś szansę także gościom o trochę innych gustach, niech by i oni znaleźli coś dla siebie w kawiarni, która nie ma nad wejściem napisu: „dorosłym wstęp wzbroniony", ani „lokal tylko dla big-bitowców".

Cóż — nawet z takim minimalistycznym postulatem nie chce się zgodzić znany publicysta muzyczny, Roman Waschko. W „Kulisach" z 9. XI. br. opublikował on felieton pt. „Lewym uchem", co od razu nawiązuje do mojego lewego oka i sugeruje, że nie tylko niedowidzę („Ćwiek niedowidzi, bo felieton ma tytuł „Lewym okiem"), ale i niedosłyszę i dlatego zapewne nie wytrzymuję łomotania zamiast muzyki dłużej niż przez 2—3 taśmy.

Muszę przyznać, że nie rozumiem takiej arcynietolerancyjnej postawy. Skąd się to bierze — to bardzo pewne siebie przekonanie, że ładne jest wyłącznie to, co mnie się podoba? Albo w ujęciu „pokoleniowym": ładne i dobre jest wyłącznie to, co ma swoich „fanów" wśród młodzieży? Czy naprawdę postulat szerszego wyboru jest przejawem zacofania i niezrozumienia interesu przemysłu gastronomicznego?

Mowa była nie o dyskotece, stanowiącej teren wyżywania się młodzieży bardzo młodej. Instytucja dyskoteki moim zdaniem niewiele ma wspólnego z pojęciem kultury muzycznej, z umuzykalnieniem, z kulturą słuchania. Chodziło o niedużą, zwyczajną kawiarnię, z rzędu takich, do jakich jeszcze niedawno chodziło się, żeby pogadać, pomilczeć, podumać. „W maleńkiej cichej tej kawiarence" też grał „elektryczny fortepianik" i było ładnie. Kto chciał mógł przy tym także zatańczyć, nie zagłuszając i nie ogłupiając ławiną decybeli wszystkich obecnych.

A przede wszystkim: dlaczego to wszystko może być i musi być wyłącznie po angielsku? Czy oprócz niewątpliwie wysokiej jakości artystycznej i technicznej angielskich i amerykańskich nagrań muzyki rozrywkowej nie działa tu przemożny czynnik snobizmu, snobizmu — jak pisałem w marcu: — „na wtajemniczenie w dyskotekową sitwę, w rzekome zafascynowanie najnowszymi stylami muzyki"?

Płyty dobiera kierownik kawiarni, a nie młodziez — pisze Wascho. Dobiera takie — pisze dalej — jakie podobają się publiczności, i „nie może sobie pozwolić na umieszczenie w szafie płyty, która być może kiedyś się spodoba". Myślę, że złym kierownikiem restauracji byłby ktoś, kto by sześćdziesiąt dań w karcie zestawił z samej tylko baraniny z ryżem. Myślę, że z tych sześćdziesięciu rzekomo przebojowych płyt połowa nie jest nastawiana nigdy. Myślę, że mają rację Niemcy, Czesi, Francuzi i inni (Amerykanie oczywiście też), żądając — także od naszych występujących tam gościnnie zespołów — śpiewania w ich ojczystym języku, ich piosenek — bo oni je znają, pamiętają, lubią i nucą do wtóru śpiewakowi.

Roman Wascho przytacza mój „pojednawczy apel": „Zostawcie jakąś szansę także tym bynajmniej nie głuchym i nie zwapniałym klientom, którzy primo: mają trochę inny gust muzyczny; secundo: nie znają (bo nie muszą) języka angielskiego i nie chce im się (bo nie muszą) udawać, że znają". Ten mój pojednawczy apel kwituje Wascho tak. „Taką muzykę i to w dobrym gatunku można znaleźć w różnych audycjach i różnych porach w programie III Polskiego Radia".

Czyli: kto lubi inną muzykę niż dyskotekowy, angielsko-amerykański, supermodny łomot, niech siedzi w domu i słucha radia.

I to był waśnie główny moral wypowiedzi redaktora Waschki w „Kulisach", który poddaję niniejszym pod osąd szanownych Czytelników.

ĆWIEK

# SIEDŹ W DOMU I SŁUCHAJ RADIA

## SPORT

Chciałabym być obiektywna, choć nie wiem, czy to mi się uda. Będę się jednak bardzo starała. Piszę ten felieton we wtorek, 16 grudnia 1980 roku o godzinie 8, i to jest moment bardzo istotny, gdyż właśnie o godzinie 7.40, w „Sygnałach dnia", powiedziano, że 15 grudnia przez 10 godzin obradował Wydział Dyscypliny i Gier PZPN przy udziale działaczy, piłkarzy i dziennikarzy, wszystkich, którzy byli świadkami zajścia na Okęciu, i po 10 godzinach obrad Wydział Dyscypliny i Gier PZPN nie był w stanie wydać werdyktu.

**A tymczasem?**

A tymczasem dysponuję ogromną ilością wycinków prasowych, w których taki werdykt już dawno wydano, odsądzając kilku piłkarzy od czci i wiary. Wydano werdykt gdy piłkarzy nie było w kraju, a więc bez zamienienia z nimi choćby jednego słowa. Mamy akurat odnowę, do której się wszyscy gwałtownie zapisują, i słyszałam, że opowiadając się za tą odnową wielu postuluje, aby nie wracać do takiej praktyki, kiedy kogoś się oskarża, z kimś się polemizuje, kogoś się potępia, nie dając mu możliwości obrony swoich poglądów, swego postępowania. I oto wielu z tych, którzy zapisali się do odnowy, najspokojniej w świecie wróciło do starej i potępianej praktyki. Jak gdyby nigdy nic.

Niektórzy mają za złe zarządowi RTS Widzew, że najpierw zawiesił swoich piłkarzy, a później zmienił swą decyzję i piłkarzy „odwiesił". Zrobiono to jednak po rozmowie z nimi, a więc biorąc pod uwagę ich racje. Natomiast potępiający działaczy RTS Widzew nie rozmawiali z nimi na ten temat. Im to nie jest potrzebne, oni wiedzą lepiej. Klania się stary, powszechnie potępiany, styl arbitralny. Co innego bowiem deklaracje o zapisywaniu się do odnowy, a co innego łatwa, dobrze wypróbowana, od lat stosowana praktyka.

Do odnowy zapisał się też Bohdan Tomaszewski, choć w felietonie z 14 grudnia 1980 roku, drukowanym w „Kulturze", przypomina, że pisał o podobnych sprawach i miał takie zdanie jak dziś jeszcze przed sierpniem 1980 roku. I to jest prawda. Tylko, że jakoś felietoniści postarzeli nam się gwałtownie i patrzą na świat nie w oparciu o swoje bogate doświadczenie, które zwykle bywa podstawą mądrości życiowej, ale przez pryzmat wspomnień,

# Wszyscy tacy bezkompromisowi

usiłując widzieć świat dzisiejszy na wzór i podobieństwo świata minionego. — Kiedyś, panie, to było życie! Tak coraz częściej patrzy na świat również mistrz felietonu KTT.

Bohdanowi Tomaszewskiemu sport widzi się taki, jak bywał w czasach jego młodości. To był inny sport, to były inne czasy. Dziś jest trochę inaczej. I choć nie mam o naszym sporcie najlepszego zdania, to przecież sądzę, że trzeba oceniać go z pozycji realnej, a nie porównując do tego, co było. Bohdan Tomaszewski uważa, że Zbigniew Boniek jest dobrym piłkarzem, ale złym sportowcem. A kto to jest dobry sportowiec? Czy przypadkiem Zbigniew Boniek i jego koledzy nie są młodymi ludźmi uprawiającymi zawód piłkarza? Skoro Grzegorz Lato, Włodzimierz Lubański i kilku innych, po zakończeniu kariery w Polsce, z powodzeniem jeszcze grają w zawodowych klubach europejskich, to, przepraszam ale, co to jest? Bądźmy więc realistami.

I KTT i Bohdanowi Tomaszewskiemu nie podoba się (Innym piszącym o tej sprawie też) że Zbigniew Boniek, Władysław Żmuda, Stanisław Terlecki odważyli się mieć swoje zdanie. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy że Władysław Żmuda był kapitanem drużyny i miał prawo zabierać głos w sprawie każdego członka drużyny. Na boisku i wobec najbardziej neutralnego sędziego też ma takie prawo, a więc i wobec trenera czy działaczy również. Wszystkim się bowiem nasi sportowcy jawią jako niewinne baraniątka, a nie młodzi, ale dorośli ludzie, którzy też mają prawo mieć swoje zdanie, nawet w najbardziej kontrowersyjnej sprawie. W Kasprzyk z krakowskiego „Tempa" (4 grudnia 1980 r) nazywa piłkarzy „młodymi bykami" i „gówniarzami". Język krakowskiego „Tempa" to niestety osobny temat.

Bohdan Tomaszewski domaga się również dymisji działaczy RTS Widzew. Mam tylko jedno pytanie: czy z nimi w tej sprawie rozmawiał? Czy poznał racje działaczy Widzewa?

Przypominam: Wydział Dyscypliny i Gier PZPN po 10 godzinach dyskusji nie był w stanie wydać werdyktu. Może ten fakt zmusi kogoś do myślenia. Chociaż wątpię.

BOGDA MADEJ

## TELEWIZJA

Wydaje się jakbyśmy ostatnio nieco przycichli Gazety wracają do namaszczonego stylu informacji PAP, tygodniki kończą jeszcze jakieś polemiki, a przyśpieszony od wielu tygodni rytm zebrań ulega wyraźnemu spowolnieniu. Naturalna to pewnie, po okresie burzy i naporu, kolej rzeczy. A może tylko tak mi się wydaje? Przecież to wszystko, co zostało dotychczas wykrzyczane, z pasją wynegocjowane, w rozlicznych porozumieniach podpisane, jest faktem, który obecną rzeczywistość przebudowuje, rekonstruuje, bądź tworzy od nowa. Może rzeczywiście po okresie emocji i gorączki nastaje czas racji i chłodnego kalkulowania. Wiele spostrzeżeń by na to wskazywało.

Telewizja, jakby bez wiary w nowy bieg administrowania gospodarką inicjuje akcję „w poszukiwaniu miliardów". Przyjmuje na siebie rolę wielce oryginalną i nie mieszczącą się w uprawianym dotychczas emploi Oglądam te programy z uczuciami dość mieszanymi. Bo oto ten bezsprzecznie zbożny cel, o efektach już zauważalnych (czy naprawdę dadzą się policzyć w miliardach pokaże czas), ujawnia jednocześnie oczywiste braki w zarządzaniu gospodarką materiałową, mimo namnożonych zjednoczeń, central i ministerstw. Jeśli to jest taki prosty pomysł, posadzić dwóch panów przy kilku telefonach i dalekopisach, aby znaleźć miliardy, no to coś tu w ogóle nie gra. Nie będę się wdawał w dalsze rozrachunki, bom laik. Tak czy inaczej, jeśli z tego poszukiwania miliardów coś wyjdzie, to choć nie mam pojęcia o walcowanej taśmie, ścierpię i to.

Zresztą nie tak dawno pisałem na tym miejscu o odpowiedzialnych funkcjach społecznych dziennikarzy-publicystów, i nie chciałbym sobie przeczyć. W wielu przypadkach bywa przecież i tak, że upór i konsekwencja dziennikarska przynosi pozytywne rezultaty. Oto na przykład redaktorzy programu „Tylko w niedzielę" (Naczelna Redakcja Publicystyki Kulturalnej), podejmując w listopadzie sprawę nieobliczalnego w skutkach zarządzania w Muzeum zamkowym w Malborku, doprowadzili do radykalnych, a słusznych rozwiązań. Dyrektor Zamku podał się do dymisji i jest nadzieja, iż arcydzieło architektury średniowiecznej, które przetrwało całe wieki, postoi jeszcze jakiś czas. Ale i w tym przypadku można zapytać, gdzie byli ci, którzy przede wszystkim o właściwe rozwiązania winni zadbać.

Dziennik Tv (13.XII.) wrócił do tematu, który prezentował swego czasu bulwersujący opinię publiczną dokument „Robotnice". „Czy coś się u was zmieniło od czasu prezentacji filmu?" — pytał reporter. — Ano dostaliśmy lepsze i wygodniejsze buty, lżejsze fartuszki, a buty w których pracujemy, mają być jeszcze wygodniejsze — odpowiadały skłopotane pytaniem robotnice. I tyle w zasadzie. Smutne to, ale prawdziwe. Z min odpowiadających kobiet wynikało, że dobre chociaż to, że ktoś w ogóle ich warunkami pracy się interesuje, że mają nadzieję.

# ODNOWY DZIEŃ POWSZEDNI

Najlepsze reportaże, co jest prawie regułą, przyniósł cykl pod redakcją Jacka Snopkiewicza. „Blisko i daleko". W jego sobotniej emisji (13.XII.) obejrzeliśmy dwa tytuły: „Wisienka kat. III" oraz „Dzisiaj decyzji nie podejmę" Pierwszy z roku 1978, drugi z ostatnich tygodni. Oba dotyczyły problemu, który jeszcze nie tak dawno obłożony był cenzorskim zapisem, czyli pogłębiająca się chorobą alkoholizmu. Oba przedstawiały społeczność wiejską kobiet, które występują przeciw rozpijaniu wsi, a tym samym przeciw rozmaitym gminnym decydentom. Warto było te reportaże obejrzeć choćby i dlatego, że obnażają one głupotę (nie znajduję żadnego eufemizmu) opłotkowych kacyków. Oto naczelnik gminy, broniąc się przed zarzutami, opowiada, że GS do handlu alkoholem musi dokładać, aby móc go w sklepie sprzedawać! Inny jeszcze zasłania się argumentem, że inwestor knajpy nie poinformował go, iż jej otwarcie w pobliżu szkoły może mieć negatywne skutki! Usłyszeliśmy również, że nie pozwalając chłopu wypić stu gram, ograniczamy jego rozwój kulturalny. Przebił wszystkich w tej orczykowej sofistyce jakiś sekretarz, który apel o zlikwidowanie sprzedaży alkoholu uznał za atak na partię, który z pewną siebie miną, ów krzyk zdesperowanych kobiet określił jako podszept wrogów socjalizmu, „tych, których znamy z Wybrzeża". Był to reportaż Blanki Danielewicz.

W ubiegłym tygodniu powtórzono znów film Bohdana Poręby „Prawdzie w oczy", tym razem w cyklu „Robotnicze sprawy". Obraz ten powstał w swoim czasie jako krytyka lat sześciesiątych (w gabinetach dyrektorów wiszą portrety Gomułki), a zapowiedź nowego, które niosły lata siedemdziesiąte (tak jak „Dyrektorzy"). Dziś, gdy kończy się rok osiemdziesiąty, film Poręby aktualizuje się jako gorzka prawda o latach siedemdziesiątych Jak nie mam nic przeciwko Bohdanowi Porębie, to nie chciałbym aby jego dzieło stało się ponadczasowym arcydziełem. Ale to się okaże za jakieś dziesięć lat.

Nie obejrzałem środowego filmu (10.XII.) o Czesławie Miłoszu. Wprawdzie mamy cotygodniowe przeboje w niedzielne przedpołudnia, ale audycja ta — jak sama nazwa wskazuje — przeznaczona jest dla czegoś w rodzaju „Słońca Jamajki" Jedyna nadzieja, że zobacze jeszcze kiedyś ów film w „Studiu-Bis" Że nie zobaczę? Wierzę, że tak. Dwa tygodnie temu dopominałem się o spotkanie z Jerzym Krzysztoniem i proszę — obejrzałem je w niedzielę z pełną satysfakcja, tak jak wszyscy, którzy czytali „Obłęd".

GRZEGORZ GAZDA

## INTERWENCJE

Za miesiąc Anna urodzi dziecko. Jest uczennicą jednego z łódzkich liceów medycznych. Już dziś kocha i pragnie tego dziecka. Postawiło ono jednak swych rodziców w sytuacji bez wyjścia...

Anna w 16 roku życia uległa wypadkowi samochodowemu. Była wtedy w pierwszej klasie. Po wypadku stwierdzono utrwaloną nerwicę i 30 proc. utraty zdrowia. Głęboka rana głowy, mimo zaleczenia, pozostawiła ślady w postaci częstych bólów, trudności koncentracji. Przede wszystkim jednak oszpeciła dziewczynę, stała się przyczyną kompleksów i niepewności. Lekarze zdecydowali się na operację plastyczną. Dopiero czwarta z rzędu operacja, polegająca na przeszczepieniu tkanki, przykryła obnażoną kość czoła. Blizna jednak pozostała, a leczenie w szpitalu zabrało Annie rok nauki. Odrobiła jednak zaległości, bo jest ambitna i pracowita, zawsze znajduje się w czołówce klasy.

Poznała w tym czasie Darka. Przed nim nie musiała się już krępować swojej widocznej blizny, którą dotąd nerwowym ruchem głowy starała się zakrywać włosami. Po dwóch latach znajomości z Darkiem, dziewczyna zaszła w ciążę, co wydało się prawdziwą tragedią. Anna pochodzi z rodziny wielodzietnej. Wraz z rodzeństwem (dwie siostry-bliźniaczki i brat) wychowywana była przez matkę. Ojciec, wiecznie ścigany za niepłacenie alimentów, nie przejawiał najmniejszego zainteresowania rodziną. Matka — kelnerka, z niewielkiej pensji, rzadko i nieregularnie otrzymywanych alimentów, zasiłków rodzinnych i stypendiów szkolnych dzieci, przez 10 lat samotnie utrzymywała dom, stale „wiążąc koniec z końcem". Z natury chorowita, nigdy nie miała czasu na leczenie. Aż skończyło się szpitalem. Tam też udałam się, aby porozmawiać z matką Anny.

— *Nie umiem już dbać o swoje sprawy, jestem zmęczona 10-letnią katorgą małżeńską, a potem szarpaniem się, aby dzieciaki wiedziały, że mają chociaż matkę. Pewnie, że nie pochwaliłam ciąży Ani. Już tak niewiele zostało jej przecież do dyplomu; miałaby dobrą pracę, utrzymałaby się i potem mogłaby myśleć o założeniu rodziny. Z drugiej jednak strony, wiem, że oni bardzo się kochają, że Darek jest opiekuńczy i dobry. Sami zdecydowali się na utrzymanie ciąży, więc zapożyczyłam się i urządziłam wesele. Może ona znajdzie szczęście w małżeństwie... Wydawało mi się, że ślub rozwiąże problem, tym bardziej, że dyrektorka pozwoliła dokończyć Ani szkołę.*

# URZĘDNIK I... SZCZĘŚCIE

Darek wtedy pracował od półtora miesiąca w Fabryce Osprzętu Samochodowego „Polmo" — jest technikiem-mechanikiem. Nie przewidział, że dostanie powołanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Zbiegły się więc dwie ważne życiowe sprawy. Wyjechał do Warszawy. Otrzymuje miesięczny żołd, wystarczający na papierosy i drobne wydatki. Anna natomiast, wedle funkcjonujących przepisów, jako mężatka, pozbawiona została stypendium w szkole. Matce nie przysługują na nią alimenty i zasiłek rodzinny, mimo, że utrzymuje córkę nadal, a także zięć spędza czas na przepustkach w domu Anny. Wydatki na przybory szkolne, ubranie i życia pokrywa nadal matka. A wkrótce dodatkowe wydatki związane z porodem córki.

Darek przyjechał właśnie do Łodzi na przepustkę. Spotkałam tę parę podczas wizyty w szpitalu u matki. Są młodzi, odpowiedzialni, dużo mówią o swoich zawodach (Anna odbywa praktyki i już przygotowuje się do obrony pracy dyplomowej, interesuje ją chirurgia plastyczna). Szkoda tylko, że brak obojgu radości życia. Małżeństwo uwikłane jest w kłopoty, którymi nie powinno być nękane teraz, gdy ma się urodzić dziecko.

— *Byłam w Wydziale Spraw Społeczno-Administracyjnych Urzędu Dzielnicowego Łódź-Polesie.* — mówi Anna. — *Istnieją bowiem przepisy, które w szczególnych przypadkach losowych zwalniają żołnierza z wojska, gdy jest jedynym żywicielem rodziny. Przyjął mnie urzędnik informując, że zwolnienie z wojska jest problematyczne, chyba, że wtedy, gdy np. żona jest inwalidą I grupy. Natomiast niekiedy przysługuje zapomoga pieniężna, wypłacana regularnie. Naszą sytuację urzędnik uznał za niezłą, bo mamy jeszcze rodziców: dwie matki, nie mogące przecież nas utrzymywać. Rodzice powinni nam pomóc. Z bezsilności rozpłakałam się, wtedy urzędnik stwierdził pouczająco: „płakać to trzeba było najpierw, a nie teraz przychodząc po łaskę, gdy już się jest w ciąży"..*

— *Wiem ze swej strony* — wtrąca Darek — *że wszelkiego rodzaju zwolnienia udzielają wojskowe komendy uzupełnień i rekrutacyjne, według przepisu o jedynym żywicielu rodziny. W wojsku jestem technikiem nadzoru i nieraz spotkałem się z przypadkiem zwolnienia żołnierza według tego przepisu, lub wtedy, gdy był jedynym opiekunem rodziny. Dziwne, że moją żonę zbyto informacją o tak kategorycznym przepisie, który nie uwzględnia sytuacji innej, niż inwalidztwo I grupy.*

W Urzędzie Dzielnicowym, w aktach sprawy jest decyzja o przydzieleniu żołnierzowi zapomogi co miesięcznej, gdyż rzeczywiście jest jedynym żywicielem rodziny, mieści się więc w wymaganiach rozporządzenia Rady Ministrów z 7.09.1979 r. „*w sprawie udzielenia odroczenia zasadniczej służby wojskowej oraz uznawania poborowych za jedynych żywicieli rodzin*" (Dz. U. Nr 21, poz. 124).

Annie i Darkowi zależy jednak bardziej na skróceniu służby wojskowej (Darek ma już za sobą jeden rok wojska), bo przecież chodzi o opiekę nad dzieckiem, zanim ewentualnie będzie mogło być ono posyłane do żłobka. Anna musi po porodzie jak najszybciej wrócić do szkoły i regularnie do niej uczęszczać.

— *Ustawa nie przewiduje takiej sytuacji, w której matka-żona żołnierza jest uczennicą* — mówi urzędnik. — *Wydaje mi się, że możliwe jest w tym przypadku otrzymanie zapomogi. Za pieniądze młodzi mogą sobie zorganizować jakąś pomoc do dziecka...*

Niestety, istnieje tu typowa luka między lapidarnością przepisów a życiem. Zapomoga wynosi 2100 zł. Wiadomo, ile kosztuje pomoc do dziecka, na którą mogą sobie pozwolić rodzice dobrze sytuowani, a nie młode małżeństwo, które na dobrą sprawę nie miało jeszcze okazji wkroczyć w to swoje wspólne życie. Darek, dzięki dobremu zawodowi i możliwości pracy na dowolną zmianę, mógłby utrzymać rodzinę i zaopiekować się dzieckiem, gdy Anna będzie kończyć szkołę.

Oboje są zatroskani, zmęczeni ciągłym zbieraniem zaświadczeń i dokumentowaniem swojej trudnej sytuacji w różnych instytucjach. Nie bardzo wiedzą, jaka będzie ich najbliższa przyszłość. Szczęście jest tak blisko, a jednak nie mogą jeszcze po nie sięgnąć.

EWA KAFARSKA

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680 99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje NBP XV odd. zał w Warszawie nr 1153 201045-139. prenumerata ta jest droższa od RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00 958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i urzędy pocztowe. Cena prenu- wy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2807. G-2.

# SZOPKA POLITYCZNA

## FRAGMENTY

WIESŁAW MACHEJKO,
JAROSŁAW WARZECHA,
JERZY WILMAŃSKI

### (Trzej Królowie i Pastuszkowie)

**KRÓL:** Powiedzcie nam zaraz mili pastuszkowie
Kędy droga do szopki wiedzie dziś, albowiem,
Jakoś blado GWIAZDA wskazuje kierunek...
**PASTUSZEK:** Iść którędy? Gdzie droga? Toć ludu frasunek!
**K:** Fakt, wszyscyśmy w kropce! Wyprowadźcież z kropki!
**P:** Z tym największy ambaras. Są tu dziś dwie szopki:
Jedna jest niezależna a druga branżowa...
**K:** Jakże to? Dach tam jeden... Jeden żłobek chowa!
**P:** Żłobek pusty...
**K:** Jak pusty Czy nie ma dzieciątka?
**P.** Jest, ale całkiem gołe...
**K:** Gdzie sianko?
**P.** Wyżarły bydlątka.
**K.** Wyżarły! Goluteńkie! Rety! Wszyscy święci!
**P:** Dziś nie święci... lecz święci z poprzedniej kadencji.
**K:** A my tu dary niesiemy z mirry i kadzidła...
**P:** Kadzidła mamy dosyć. Woń kadzideł zbrzydła.
Mirrą się nie ogrzeje. Złota trza nam miałkę.
Ucieszycie dziecinkę twardziuchnym dolarkiem?
Gdyby dał każdy z królów miliardów po dychu
Wnet byłoby po biedzie, długach, po strajkach, po krzyku...
**K:** Szopka za hipotekę. Są weksle nad strzechą?
**P:** A wiecie ile kosztuje jedno TELE-ECHO?
Czy kolędy — festiwal w kurorcie Sopocie?
Snać kiepscy z was królowie. W nic wglądu nie macie"
(Na melodię: „Jezus malusieńki...)
Naród golusieńki.
Dokoła kolejki.
Płacze z zimna...
**K:** Dość! Po co te jęki? Czy słyszycie jak dziarsko dudni gdzieś muzyka?
**P:** To na duchu lud krzepi redakcja Dziennika!
**K:** Oni jeszcze nadają? Jeszcze ich nie zdjęli?
**P:** Nie! Bo mając Bartosza nie tracą nadziei!
**K:** W telewizji, jak słyszę, bez Kozery, zmiany?
**P** Innego coś myślimy, co inne gadamy.
**K.** Tak. Przecież do niedawna okrutnie źle mieli:
**P:** Co innego gadali, co inne myśleli.
**K:** Cóż począć, znów odnowa, straszne mamy czasy...
**P.** Chyba dla tych co chcą się oderwać od Klasy...
**K:** Od Klasy! Od Józefa? Wszak z nim radio, prasa?
**P:** Gdy zamilkli klasycy znowu głos ma Klasa.

(Na mel. „Umarł Maciek umarł")

Zdjęli Maćka zdjęli! Już siedzi na desce.
Oj, gdyby go nie zdjęli przemówiłby jeszcze!
Maciek pierwszy był na świecie
Za odnową — w gabinecie...
I kolektywną nie som
Lecz z hostessą!
Dzisiaj każdy mu wytyka
Że ostrego miał Patyka... Oj dana dana
dana miał Patyka!
Bo w Macieju taka dusza jak mu grali tak się ruszał

### Szczepański:

(śpiewa)
Umarł Maciek umarł
już leży na pryczy
A co mu zabrali
nie sposób policzyć
Bo w Macieju takie chęci
że go każdy pieniądz nęcił
oj dana moja dana dana dana
Umarł Maciek umarł
już nie straszy ludzi
Umarł z takim hukiem
aż się NIK obudził
Bo w Macieju tyle siły
że sie posły pobudziły
oj dana moja dana dana dana
Umarł Maciek umarł
już nie sprasza gości
Kto nam będzie mówił
dziś o moralności
Bo w Macieju takie słowa
że niech schowa się odnowa
oj dana moja dana dana dana

### Św. Józef:

Idź do piekła zła duszo lub lepiej do Sztumu,
Za dużo wokół ciebie swądu zgiełku szumu...
Nie psuj więc atmosfery ucisz swoje krzyki
Zbliża się tu Rakowski — sam szef „Polityki!"

### Rakowski:

(na mel A. Bartelsa „A tu jest Warszawa")

Gdy się tylko jakaś szopka
W kraju tym wydarzy,
Niezbyt szybko, ale kopsam
Tam mych dziennikarzy!
Jedzie Urban, Mozołowski,
Wróblewski i Passent,
Potem szopka, choć stwór boski,
Ma laicką prasę.
By zobaczyć o co chodzi,
Sam dziś tu przybyłem
Sam napiszę jak się rodzi
NOWE rosnąc w SIŁĘ!
I otwarcie narodowi
Powiem po „Dzienniku"
Że maluśki się urodził,
Lecz nie róbmy krzyku!
Że w ten sposób ostatecznie
Nie grozi nam kula...
Załatwiono zaś bezsprzecznie
Narodzin postulat...

### Papież, Dejmek, Kowalski

**DEJMEK:** Zrobiłbym z tego, Papo, sztukę dla „Nowego"
**PAPIEŻ:** Pójdź synu...
**DEJMEK:** Zawsze dobrze jest mieć coś świętego...
**PAPIEŻ:** Kazimierzu! Weź talon na zbawienie duszy!
**DEJMEK.** ...coś świętego czego mi cenzura nie ruszy.
**PAPIEŻ** Twoja siostra Skuszanka magluje mój dramat...
**DEJMEK** Ja zrobię faktomontaż! Wojtyła to rama, w niej
Modrzewski, co Rzecz był, Naprawiał niezgorzej,
Bratkowski i Jasiński!
**PAPIEŻ:** Ten Jakub — in? Boże!
Oj talon na zbawienie zwrócić będziesz musiał!
**DEJMEK:** Protest-songi u Młynarskiego zamówię Wojtusia.
**PAPIEŻ:** Młynarskiego? Więc zgodne znów myśli i cele!
To jeden sprawiedliwy co bez plewów miele!
**KOWALSKI:** Ja też proszę o talon... Mam duszę w złym stanie.
**PAPIEŻ** Niestety w międzyczasie system uległ zmianie!
Miast zamieniać korzystnie starą rzecz na nową
Duszy swojej wymianę traktuj docelowo:
Oszczędzaj, pucuj. Kaziu, jak tylko potrafisz,
W dniu odbioru dasz cenę jaką wskaże afisz...
**KAWALSKI:** (nie załamany wychodzi śpiewając)
Brawo Kowalski!
Mało Kowalski!... itd.
**DEJMEK:** Co z tekstem dla mnie, Papo? Mamona od razu!
**PAPIEŻ:** Nie stworzę! Weź Wawrzaka. Nie męcz Ojca, Kaziu!
Przychodzę Jezuskowi i jak dziś pośpiewać...
Bo śpiewacie coś cienko... Brak mi Kazimierza!
Nikt drugi nie ma w kraju ten co on La Scali!
La Scali... możliwości! Nie tylko w wokali!
On w radio uczy śpiewać! Tańczy w musicalu
Wieczorem troszkę czasu zajmie mu opera.
Lecz zaraz w telewizji zaśpiewa szlagiera!
Chciałbym by tu społecznie zanucił coś rzewnie...
Chyba, że mu są bliższe te basy cerkiewne!
(tu w muzyce motyw z piosenki „Wypiłem czarkę miodu")
NO! Gdyby tak, to Kaziu! Już mnie swędzi łapa!
**KAZIO**
**KOWALSKI:** Nie! Nie! Już się przebieram! Jestem! „O mein Papa!"
(tu w muzyce motyw z musicalu „O mein Papa")

(przejście do wyliczankowej części arii Figara z „Cyrulika sewilskiego")
W gali — Kowalski!
W Scali — Kowalski!
W kinie — Kowalski!
W gminie — Kowalski!
Czy studio Gama
Czy krwawy dramat
Kazio Kowalski
Śpiewa i gra!
Brawo Kowalski
Klawo Kowalski!
Mało Kowalski!
Całość Kowalski!
Nocą Kowalski!
Z mocą Kowalski!
Nie na pół basa...
Na cały bas?
Na suspens wszelki
Kazimierz Wielki!
Basuje massom
Profundo basso...o...oo... (i tak dalej do głębi)

**PAPIEŻ:** To nie bardzo pasuje...
**KAZIO:** Więc może czastuszki?
A może coś z „Mefista"?
**PAPIEŻ:** Apage!!! Maluśki czeka na kołysankę! Kaziu! Nie męcz ojca!
**KAZIO:** Sorry! Pardon mon Papa! Czort: dusza mołojca!
(Kolęda „Jezus malusieńki" — zaczyna Papież, Kazio się dołącza)
**PAPIEŻ:** Jezus nagusieńki
Leży wśród stajenki,
Płacze z zimna,
**KAZIO:** Nie utkała matula sukienki.
**PAPIEŻ:** Sukienki nie tkała,
**KAZIO:** Strajkować musiała,
**PAPIEŻ:** Nocką ciemną...
**KAZIO:** Czwartą zmianę
W komercyjnym stała...
**PAPIEŻ:** Wprawdzie już uświęcaniom postawiłem szlaban
Jako Polak wywołam jeszcze jeden raban:
Górnicy hołd oddają swej świętej: Barbarze
Załatwię, żeby świętą mieli też włókniarze!
**KAZIO:** A gdy cię papo, twe święto Officjum ofuknie?
**PAPIEŻ:** Powiem: kardynałowie! Poróbcie we włóknie!
**KAZIO:** W twej nowej homilii co będzie pointą?
**PAPIEŻ:** Jesteś łódzka włókniarko żywa polską świętą!
**ŚW. JÓZEF:** Co królowie tak wieją? Tak portkami trzęsą?
**WAŁĘSA:** Jak to przed kim? Przede mną! Przed Lechem Wałęsą!
Przez Solidarność z wami w szopce się znalazłem...
**ŚW. JÓZEF:** Co prócz rządu masz w garści?
**WAŁĘSA.** Mam kolegę Gwiazdę
**WAŁĘSA:** (Wałęsa na mel. „Furmana")

Od sukcesu do sukcesu
A na tyłkach stare dessous!
Od Hortexu do Minexu
Hej, wio! Hetta, wio! Hetta wiśta brrr...
Wszystkich nas ciekawość budzi
Czemu takich zdolnych ludzi
Za granicę nie wysłali

By rozwalić kapitalizm?
Dostać dziś za swoje mają,
Że ich „swoje" było kraju
Dolarowy dziś ananas
Cierpi w sadzie za kraj, za nas! Hej wio...
hetta wista brr...
**PASTUSZKOWIE:** (na mel „Błysnęło, huknęło")
Jak stanęli portowcy — to odeszły bogi!
Jak prosili: pomóżcie... tośmy im pomogli. Hej!
**WAŁĘSA** (śpiewa):
Płyń barko moja
pogoda sprzyja
niech cię omija
interwencyja!
(mówi)
Jako główny elektryk w Rzeczypospolitej
korków tu nawkręcałem żeby łatwiej przy tej jasności, co błysnęła tak niespodziewanie,
Polak z Polakiem zasiadł na wspólne gadanie.
Lecz by nikt nas nie zrobił w jajo albo w konia,
mam na wszelki wypadek kolegę Kuronia.
**DIABEŁ:** Do rzeczy!
**WAŁĘSA:** Już powracam! Niech wąsa podkręcę.
Jest nieprawdą jakoby szło tylko o więcej.
Szło o lepiej, o pełniej, o honor, tak powiem.
I pozwólcie, że znowu podkręcę, albowiem
Ciągle trzeba podkręcać! Podkręcać panowie!!!
Pamięć krótka... kto w garnku zamiesza z bigosem
Niech nie myśli, że bigos ten nowy choć trochę!
**DIABEŁ:** Ktoś się dzisiaj wałęsa, a kto inny pyka.
**ANIOŁ:** Być może taka właśnie jest dziejów logika.
**ŚW. JÓZEF:** Stefana Bratkowskiego wpuścić tutaj trzeba
Był długo na indeksie — może iść do nieba!
Lecz on przyjął pokutę na tej biednej ziemi,
Wierząc, że coś w polskim dziennikarskie zmieni.
**BRATKOWSKI:** Odeszło dwóch Edwardów, przyszło trzech Stefanów,
A z nich każdy na straży stoi racji stanu.
Pierwszy Stefan-kardynał co ma chody boskie.
Drugi Stefan ten z Biura — chody marksistowskie.
A jam nad dziennikarzy jest stowarzyszeniem.
W moim herbie mam Przyszłość oraz Doświadczenie:
Kolejność nazw zmieniłem w imię świadomości,
Że kto ma doświadczenie nie ma już przyszłości...
Lecz póki co pociągnę mój z Foksalu wózek
Może mi dopomoże jeden Klasa-Józek.
We dwójkę zawsze raźniej. A dziś takie czasy,
Że biada temu kto się oderwie od klasy.
(Na mel. „Stawaj waszmość za koleją" — „Kurdesz")
Stań Bratkowski za koleją,
I tam tagodź gdzie się leją:
Purlitzery i Fuciki,
„Polityki" i „Dzienniki" (sygnał DTV)
— Tu sprawa prenumerat a tu kombinaty,
Tu cenzura, a tu znów powroty cy-taty,
Z „Nowoczesnością" dobrze jest połączyć „Życie"
Hej w opozycji mi się żyło znakomicie!
Na panelach, kolokwiach upływały latka.
A teraz mnie upupiła prezesowska klatka,
W co wolno było strzelać Wolnemu Strzelcowi
Nie przystoi notablom, a cóż prezesowi?
O! Żegnaj battle-dressie, żegnajcie pepegi!
Ja wyfraczonych VIP-ów powiększam szeregi!
O! Żegnaj kiosku piwny z kufelka szermaniem!
Teraz press-konferencje będą przy szampanie...
Już krzywo moją brodę widzą w piedestale...
Pal diabli! Brodę stracę, lecz wąsy ocalę!
Choć coraz częściej myślę, o niech to cholera...
Wspaniałą żółć zamienić w złotego Parkera?!
**ŚW JÓZEF:** Zza Bratkowskiego się wyłania cenzor. Nic nie mam do dodania.
**CENZOR:** (na mel. „Już nigdy")
Patrzę na twoją kaligrafię
którą dziś dostałem znów,
Lecz już poskreślać nie potrafię
tych jeszcze wczoraj wrogich słów
Wszystko zrozumiałem już!
Tamto zapomniałem, cóż?
Sam się pozmieniałem, mus?!
I szlus.
Już nigdy... tra, ra, ra, ra...
(odchodzi szlochając rozdzierająco)

*Karykatury: Stanisław Ibis-Gratkowski*

---

Całość wystawiona będzie w styczniu 1981 roku w Domu Środowisk Twórczych w reżyserii i scenografii Jerzego Michalaka.